

Dawka miłości

SEKS W S - F

S - F jako gatunek ściśle powiązany z literaturą przygodową i młodzieżową jeszcze do niedawna pozbawiony był wyraźnych wątków erotycznych. I choć psychoanaliza bezceremonialnie wskazywała na wysublimowany, erotyczny charakter tej literatury - i tak przykładowo fallus miał być symbolizowany przez raketę - to jednak prawie nikt nie brał tych psychoanalitycznych fantazji na serio. Trudno było bowiem znaleźć wyraźne motywy erotyczne w powieściach takich mistrzów s - f jak: Asimov, Clark, de Camp, Norton, Leiber czy Heinlein. Dopiero kontrkultura, która tak głęboko przeorała kulturę Zachodu, dokonała poważnego wyłomu w purytańskim charakterze science fiction. Nawet taki wielki piewca tradycji purytańskich jak Robert Heinlein dał się ponieść duchowi czasu i napisał powieść sławiącą wolną miłość i narkotyki. Choć wielu z wielkich, jak chociażby Andre Norton, nie dało się zwieść wymogom nowych czytelników i pozostało wiernymi tradycyjnym wartościom. to jednak „nowa fala” pisarzy s - f już bez zbytnich zahamowań sięgała po erotykę. W chwili obecnej tak wielcy (tacy jak Silverberg, Varley, Farmer), jak i mali wkomponowali w swe utwory erotykę.

Prezentowana antologia zawiera opowiadania mniej znanych pisarzy. bowiem zależy nam na tym, by pokazać polskiemu czytelnikowi jak tradycyjne motywy s - f (inwazja obcych, cudowny wynalazek, inne cywilizacje itd.) wykorzystane mogą być w literaturze erotycznej. Nie ulega bowiem wątpliwości, iż większość opowiadań z tej antologii traktuje s - f jedynie jako pretekst do opisu wyobraźni erotycznej.

DEAN WESLEY SMITH

KRISTINE KATHRYN RUSCH

Modelowy kochanek

Mężczyznę *dla Pań* dostarczono Cathleen w piątek po południu, w czasie gdy była w pracy. W firmie „Najlepszy Mężczyzna dla Pań” zostawiła klucze do mieszkania, aby pracownicy mogli przygotować wszystko przed jej powrotem do domu. Cathleen była prezydentką dziennika o 23:00. Zaraz po audycji złapała pierwszą wolną taksówkę i kiedy ta zatrzymała się przed domem, niemal zapomniała zapłacić kierowcy.

Jej przytulny living - room pachniał lekko atramentem i świeżo sparzoną herbatą. Na stolikach z drewna tekowego stały róże. Białe meble z brązowymi elementami wyglądały wręcz zapraszająco. Zamknęła drzwi za sobą i przekręciła klucz w zamku. Ken, jej *Mężczyzna dla Pań* wyszedł z kuchni. Miał na sobie czarny, jedwabny szlafrok - kimono, który rozchylając się aż do pępka ukazywał lekko owłosiony tors. Delikatnymi rękami obejmował filiżankę z herbatą. Miał czarne włosy i czekoladowo zabarwione oczy. Cathleen wstrząsnął dreszcz.

Ken uśmiechnął się w formie powitania, jako że nie umiał mówić. Nie mogła pozwolić sobie na mówiący android - zwłaszcza taki, którego głos wydałby się jej seksy. Nienawidziła dźwięków brzęących metalicznie, a choć firma „Najlepszy Mężczyzna dla Pań” szczyciła się perfekcyjnym wykonaniem androidów, to jednak nie udało się im pozbyć płaskiego głosu modeli. Zdecydowała się zatem na milczącego Kena, sądząc, że cichy mężczyzna jest lepszy od gadatliwego.

- Hello - powiedziała, czując się nieco niezręcznie. Nigdy dotąd nie była z nim sam na sam. Właściwie, widziała go tylko raz, na zapleczu sklepu firmowego. Miała wtedy podłączone do wszystkich

tętnic kable w celu pomiaru reakcji fizycznej ciała na Kena. Technik w kółko powtarzał, że jest on dla niej wprost wymarzony, Najlepszy.

Ken wręczył jej filiżankę z herbatą. Ścianki naczynia były ciepłe. Aromat podrażnił jej nozdrza. Wypiła łyk, po czym odstawiła filiżankę.

- Najpierw muszę się przebrać - powiedziała.

Ken uśmiechnął się nieco szerzej, zbliżył do niej i powoli rozpinał jej bluzkę. Jego palce przesuwaly się po skórze Cathleen, czuła, że zaczynają jej płonąć policzki. Była otumaniona, jak wtedy, gdy wpije za dużo alkoholu. Ken dotykał ją delikatnie, we właściwy sposób. tam, gdzie zawsze chciała być dotykana. Cathleen jęknęła i przyciągnęła go do siebie z takim pożądaniam, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie odczuwała wobec żadnego mężczyzny.

Minęło już kilka miesięcy od jej rozvodu. Codziennie w drodze do pracy w lokalnej stacji telewizyjnej Cathleen przechodziła obok budynku z chromowanej stali i szkła. W dniu, w którym obchodziłaby rocznicę ślubu, przystanęła tam i nie przeszkadzało jej, że tłum w godzinie szczytu przeciska się koło niej, gdy pochłonięta odczytywała szyld:

NAJDOSKONALSZY MĘŻCZYŻNA DLA PAŃ WSTĄP PO INFORMACJE

Za oknem wystawowym pyszniły się soczystozielone rośliny. W narożniku przy drzwiach prezentowano projekcję holograficzną. Hologram przedstawiał mężczyznę, który opuszczał ręce wzdłuż swego półnagiego ciała i zarazem uśmiechał się zachęcająco.

Krew wzburzył jej mgliście znajomy zapach piżma. Skądś go znała, ale nie umiała go zlokalizować. Hologram powoli zmieniał się - - włosy mężczyzny o nieokreślonym kolorze stawały się czarne, jego bezbarwne dotąd oczy - brązowe, a bezkształtna twarz zaczęła przypominać twarz Roberta.

Cathleen westchnęła zdegustowana. Jej były mąż Robert nie był ani mężczyzną dla pań, ani tym bardziej najdoskonalszym w jakimkolwiek sensie. Matka powtarzała jej zawsze, że kobieta, która pożąda mężczyzny, nigdy go nie znajdzie: tak właśnie było z

Cathleen od czasu rozwodu. Drzwi z chromowanej stali otworzyły się i po chwili znalazła się w sklepie.

Wyczuwało się w nim lekki zapach seksu, jak gdyby opuszczono go właśnie po odbyciu stosunku. Duże rośliny przy oknach zasłaniały widok na zewnątrz. Na pluszowej wykładzinie dywanowej leżały stosy poduszek, a ręcznie rzeźbione japońskie parawany przedstawiające kochanków, rozdzielały pokój na części. Czowała się tak, jak gdyby weszła do sypialni bardzo bogatego człowieka.

Kiedy ze świstem zamknęły się za nią drzwi, z zaplecza, zza czarno - złotych drzwi wyszedł wysoki mężczyzna, o srebrzących się na skroniach włosach. Miał na sobie ubranie w szarym odcieniu, który podkreślał kolor jego włosów i ukrywał bruzdy na twarzy. Cathleen uznała, że miał około czterdziestu pięciu lat, choć równie dobrze mógł mieć i sześćdziesiątkę.

- Czym mogę służyć? - zapytał, a jej przez chwilę wydawało się, że w głosie słyszy ślad afektacji. Zrobiła krok do tyłu. Mężczyzna miał jednak wygląd człowieka rzeczowo podchodzącego do sprawy, a rzekoma afektacja musiała być wytworem jej własnej wyobraźni.

- Zainteresował mnie szyld w oknie wystawowym - odpowiedziała.

Tym razem rzeczywiście uśmiechnął się, ciepło i szczerze, tak jak gdyby chciał jej pomóc w uzyskaniu najwspanialszej rzeczy całego życia.

- *Mężczyzna dla Pań* jest zupełnie wyjątkowym produktem, proszę pani. Czy chodzi o panią, czy o kogoś innego? Niemal skusilo ją, by powiedzieć, że szuka prezentu urodzinowego dla przyjaciółki, ale odparła:

- Dla mnie.

- Doskonale - złączył dłonie i ciepło spojrzał. Wydawał się być starszym, wrażliwym człowiekiem. Cathleen potrząsnęła głową. To miejsce zaczynało wywierać na niej dziwne wrażenie.

Właściciel cofnął się do małego, hebanowego stoliczka z tyłu sklepu. Odsunął blat, który odsłonił ekran komputerowy.

- Czy pani zna nasze produkty? - zapytał.

Cathleen przecząco kręciła głową. Być może nie powinna była wchodzić do tego sklepu. Było tu dziwnie, zaczęła odczuwać zawroty głowy.

Mężczyzna nacisnął przycisk i drzwi z tyłu pokoju otworzyły się. Pojawiła się w nich smukła kobieta w białej sukni. Sprzedawca powiedział:

- Pani chciałaby zobaczyć nasze modele.

Kobieta skinęła głową:

- Proszę za mną.

Poprowadziła Cathleen przez labirynt japońskich parawanów. Za każdym z nich znajdowały się poduszki i lampki wykonane z drewna i papieru. Wyglądało to zapraszająco. Cathleen miała właśnie zapytać, dlaczego sprzedawca nie mógł zademonstrować jej modelu, kiedy zatrzymali się przed jednym z parawanów.

- On jest za tym parawanem - powiedziała kobieta. On? Cathleen zmarszczyła brwi. Przecież to tylko model. Kobieta czekała, aż Cathleen podejdzie, obeszła więc parawan i przed jej oczyma ukazał się nagi mężczyzna.

Jego głowa spoczywała na poduszce, ciemne włosy w lekkim nieładzie, jak gdyby nie przywiązywał wagi do swego wyglądu. Miał ciemne oczy i cienkie, zapraszające wargi. Cathleen wpatrywała się, przesuając spojrzenie z owłosionej piersi w dół, w kierunku wąskich bioder.

Kiedy towarzysząca jej kobieta dotknęła ją w ramię, Cathleen niemal podskoczyła.

- Zostawiam panią z nim - powiedziała. - Proszę się nie spieszyć.

Model poprawił sobie poduszkę. Cathleen głęboko odetchnęła. Rozumiała już, dlaczego właściciel sklepu nie przyszedł tu z nią. Chociaż wiedziała, że model był sztuczny, odczuwała podniecenie z powodu bezpośredniej bliskości nagiego mężczyzny. Gdyby prawdziwy mężczyzna obserwował ją w czasie, kiedy oglądała model, odczuwałaby jeszcze większe zakłopotanie.

Cathleen usiadła obok androidu. Kiedy pochyliła się nad nim, poczuła ciepło jego ciała. Jego oddech miał zapach mięty. Jaki

prawdziwy! Wydawał się być jak człowiek. Nie miała pojęcia, że tak dalece zaawansowano już technologię. Kiedy przesunął palcami po jej ramieniu, poczuła mrowienie na skórze. Lekko, a zarazem stanowczo przycisnął jej bark tak, że znalazła się tuż obok niego.

Wsunął rękę w jej włosy i przytrzymał głowę, a gdy poczuła jego usta przy swych, przez całe jej ciało przeszły małe płomyczki. Od lat już nie udało się jej tak szybko rozbudzić. Zaczęła go całować - rękę przesuwała w dół jego ciała, czując mocną budowę bioder, sztywne włosy wokół pachwiny - zapominając, że jest w sklepie, za parawanem, prawie kochając się publicznie. Z androidem.

Odsunęła się.

Jego ciało było doskonałe. Obrócił się na bok tak, że w pełni widziała jego erekcję. Cathleen głęboko odetchnęła, wygładziła włosy i wstała. Nie pamiętała, by ktokolwiek tak dobrze ją całował. Przez chwilę niemal zapomniała, że jest to maszyna. Wydawało jej się, że o to właśnie chodziło. Poprawiła bluzkę i wyszła z za parawanu.

Kobieta czekała na nią siedząc na pufie w dalszej części pokoju.

- Czyż nie wspaniały?

Cathleen skinęła głową, nadal zbyt poruszona, by odpowiedzieć.

- Czy zakup interesuje panią?

Kogo by nie interesował? - pomyślała Cathleen.

Kobieta uśmiechnęła się:

- Niektórzy kupują od razu, ale to znaczna inwestycja. Łatwiej jest wypożyczyć, a później ewentualnie wymienić, kiedy będą nowe, ulepszone modele.

Cathleen wzięła głęboki oddech, jak miała zwyczaj czynić przed wejściem na antenę i powiedziała:

- Proszę o bliższe informacje.

Kobieta zaprowadziła ją do pokoiku obok głównej sali. Tam omówiły cenę - około jednej czwartej wysokiej miesięcznej gaży Cathleen - i Cathleen wypełniła kwestionariusz dotyczący jej upodobań seksualnych. Wpłaciła niewielką kaucję i podpisała kilka dokumentów, z których większość stanowiły kopie kontraktu, na

który rzuciła tylko okiem. Zgodziła się przyjść dwukrotnie w ciągu następnych dwu tygodni przed otrzymaniem swego *Mężczyzny dla Pań* : raz w celu wykonania testów zapachowych, a drugi raz, aby sprawdzić, czy ona i jej nowy partner są kompatybilni.

Dopiero gdy przeszła dwie przecznice, uspokoiło się wreszcie tempo uderzeń jej serca. Wróciła do studia telewizyjnego z przekonaniem, że chciałaby mieć swego *Mężczyznę dla Pań* o wiele wcześniej niż przewidywała data dostawy, czyli dopiero za czternaście dni.

*

Właśnie w dniu, w którym miała nastąpić dostawa, Tom, nowy dyrektor do spraw produkcji, wezwał ją do siebie. Sala dziennika pachniała atramentem, którego zapach - według testów firmy „Najlepszy Mężczyzna dla Pań” - był dla Cathleen ponętny. To zdumiewające, jak zapachy mogą podniecać. Zapukała w szklane drzwi z nazwiskiem Toma wypisanym stylizowanymi, złożonymi literami, a kiedy drzwi się otworzyły, powitał ją lekko piżmowy zapach jej ulubionej wody kolońskiej.

Skup się, rozkazała sama sobie. Spojrzała w twarz człowieka, którego widziała pierwszy raz w życiu. Uśmiechnął się, a jego oczy lekko zmrużyły się w kącikach. Twarz o mocno zarysowanych szczękach miała nieprzenikniony wygląd, który cenią ogólnokrajowe sieci telewizyjne. Jednak wskutek białej szramy pod lewym okiem oraz ospowatej cery, prawdopodobnie przed kamerą nie wzbudzał zaufania. - Miło mi, że mogę cię wreszcie poznać, Cathleen.

- Dziękuję panu. - Zwróciła się do Toma, by dokończył prezentacji. Tom odchylił się w krzesle do tyłu. - Przedstawiam ci Justina Jennersa. Na razie został dyrektorem działu wiadomości, do czasu, gdy zatrudnimy kogoś na stałe.

Cathleen zmuszała się do ciągłego potakiwania i uśmiechu. Ostatnio była nadmiernie obciążona, ale nadal dobrze pracowała. Sądziła, że to właśnie ona dostanie stanowisko dyrektora. Była przecież szefową programu z najdłuższym stażem.

- Tom uznał, że lepiej będzie sprowadzić osobę spoza firmy, ażeby dopomóc audycji w okresie przejściowym - powiedział Justin.

- Brzmi rozsądnie - odpowiedziała Cathleen, siląc się na spokój w głosie. Wywoływanie antagonizmów nie miało sensu. Decyzję już i tak podjęto. Miała jedyną szansę: dobrze pracować i ubiegać się o to stanowisko ponownie w przyszłym roku.

- Chciałem, żebyś wiedziała pierwsza, Cathy - powiedział Tom, a z jego głosu wyczuła, że może odejść.

- Dziękuję - powiedziała. Drzwi zamknęły się za nią. - Stokrotne dzięki.

Kiedy pojawił się Ken, Cathleen niemal zapomniała o pracy. Nikt nigdy nie dotykał jej tak jak on. I nikt też nie mógł. Ken znał wszystkie jej sfery erogeniczne. Jego palce były gorące i wrażliwe na napięcie, a chemia ciała perfekcyjnie odpowiadała jej ciału. Wytwórnica uczyniła go lepszym niż którykolwiek mężczyzna. Była olśniona - mimo że kochanie się pozbawiło ją snu przez sześć kolejnych nocy. Wtedy Justin zaprosił ją na kolację.

Gdy stał przed nią po emisji wiadomości, był lekko zdenerwowany, ręce splótł na plecach. Mimo niezwykłego zmęczenia wypadła dobrze, była tego pewna. Wprawdzie Ken nie pozwalał jej zasnąć przez większą część nocy, pokazując pozycje, o których wcześniej nie miała pojęcia, wiedziała, że Justin nie mógł mieć zastrzeżeń do jej występu w wieczornej audycji. Być może miał zastrzeżenia do jej pracy w ogóle. Ken odbierał jej niemal całą zdolność koncentracji.

Justin zabrał ją do cichej restauracji niedaleko studia. Była to restauracja meksykańska, o stylizowanym wnętrzu i wielobarwnych tkaninach na ścianach. Kiedy szli za kelnerem do swego stolika, Justin trzymał ją za ramię. Podsunął krzesło, a ona uśmiechnęła się. Miło jest spotkać kogoś, kto jest takim dżentelmenem, nawet jeżeli zabrał jej stanowisko.

Podczas kolacji dyskutowali o współpracownikach i o całej stacji. Kiedy po jedzeniu sączyli drinki, Justin opowiedział jej trochę o sobie. Cathleen błądziła myślami wokół Kena.

Sama myśl o nim pobudzała ją. Chciała być już w domu. Pomyślała o jego delikatnych pieszczotach, niemal niedoścignionej perfekcji wyglądu, lekko piżmowym zapachu ciała.

- Przepraszam - powiedział Justin - powinienem był wcześniej skończyć.

Cathleen spojrzała na niego, czując się tak, jakby właśnie obudziła się z głębokiego snu.

- Czuję się świetnie.

- Nie - powiedział. - Jesteś zmęczona. Jak się czujesz naprawdę?

Odsunęła z twarzy pasemko włosów. - Ostatnio nie sypiam zbyt dobrze.

- To widać. - Odstawił filiżankę z kawą, a ona nawet nie pamiętała, że ją zamawiał.

- Możesz przyjść jutro trochę później niż zwykle. Wyśpij się dobrze.

Zrobiła się czujna. Oto następowała ta część wieczoru, w której zamierzał mówić o jej wynikach w pracy.

Justin położył pieniądze na rachunku i delikatnie dotknął jej dłoni.

- Chciałbym odwiedzić cię do domu.

Cathleen przytaknęła, czując ulgę. Zamierzał po prostu rozmawiać. Nic więcej. Stłumiła westchnienie. Do domu, to dobry pomysł. Ken czekał na nią, prawdopodobnie już w sypialni, nagi, wyciągnięty na łóżku.

W piętnaście minut później Justin_ zatrzymał samochód przed domem, pochylił się i pocałował ją. Jego usta miały smak piwa, potraw meksykańskich i kawy. Przyciskał wargi zbyt mocno, język był zbyt nachalny. Próbowała odsunąć się, ale mocno trzymał jej ramiona.

- Chciałbym pomóc ci w zaśnięciu.

Cathleen odsunęła się. Bolały ją ręce w miejscu, gdzie je przytrzymał. - Nie, nie lubię wiązać się z kimkolwiek z pracy.

Twarc Justina była niewidoczna.

- Całkiem rozsądnie. - Głos miał napięty, niemal wściekły. - Jak to dobrze, że nie jestem stałym pracownikiem, co?

- Tak - odpowiedziała, choć wcale nie była pewna, czy tak właśnie sądzi: Jego ton przyprawiał ją o lekki dreszcz i przypomniała sobie sytuacje, w których słyszała już tę samą złość w głosie innych mężczyzn. Jeżeli nie zadziała szybko, za chwilę ta randka zakończy się próbą gwałtu. Siliła się na spokojny głos.

- Dziękuję, kolacja była wspaniała.

- I ja dziękuję. - Dotknął pasemka jej włosów. Wydawało się, że wściekłość mu przeszła - jeżeli w ogóle była prawdziwa. - Wobec tego, warto chyba powtórzyć.

- Zgoda. - Przytaknęła, by nie mieć poczucia winy. Chwyciła klamkę od drzwi samochodu, otworzyła je i wysiadła. - Dziękuję za wszystko.

- Zobaczymy się jutro. - Uruchomił silnik. - Wyśpij się trochę.

- Tak. - Stała na chodniku i obserwowała, jak samochód odjeżdża od krawężnika. W ciemności, za jej plecami, szumiały obrotowe spryskiwacze trawników, tworząc mgliste fale chłodu na jej nagiej skórze.

Była zmęczona. Zawróciła w stronę domu i szła omijając mokre łaty, będące efektem pracy spryskiwaczy. Otworzyła drzwi mieszkania. Wchodząc, po raz pierwszy poczuła wyczerpanie. Zanim nastał Ken, sypiała zwykle po osiem godzin każdej nocy.

Living - room rozświetlały lampy, ukazując stojącego pośrodku Kena, wspaniałego w swej nagości. Cathleen podeszła do okna i zaciągnęła zasłony. On nie ma żadnego poczucia przyzwoitości - choć właściwie, skąd ma je mieć. Był tylko maszyną. Uśmiechnęła się do niego, ze zdziwieniem stwierdzając, że pierwszy raz nie jest nim wcale zainteresowana.

- Myślę, że nie potrzebuję niczego więcej oprócz ciepłego kakao i długiego snu - powiedziała. Zdjęła buty, odłożyła torebkę na krzesło przy drzwiach i poszła w kierunku kuchni.

Ken jednak położył rękę na jej plecach, obrócił dookoła i pocałował. Jego pocałunek był o całe niebo lepszy od Justina. Ken wiedział, jak dotykać jej ust, jak rozpaścić ogień w jej ciele. Ogień już

się tlił, ale ona nie chciała go tej nocy rozpalać. Ważniejszy był sen. Odsunęła go.

- Dziś nie, Ken.

Nie chciał pozwolić jej odejść. Ciągle całował, rozbudzał, dotykał uszu, szyi, piersi, każdej części jej ciała, która gwarantowała głęboki bodziec seksualny. Coraz trudniej było przestać. Była to jednak także kwestia zasad.

- Nie, Ken.

Jego usta zatopiły się w jej. Czowała smak wody, chłodu i świeżości. Jego pocałunek odświeżał, lecz czegoś w nim brakowało, być może tej niewielkiej niezręczności, która cechowała Justina.

Do licha, była skonfundowana.

- Stop, Ken.

Przestał i odsunął się. Polecenie: STOP było bardzo ważne. Ken musiał jednak wyczuwać jej wahanie, ponieważ nadal głaskał jej twarz dłonią. Sięgnęła po nią i odsunęła.

- Chcę po prostu spać - powiedziała. - Obejmij mnie tylko.

Wziął ją w ramiona. Jego dotyk zapewniał dobro i bezpieczeństwo. Wspierała się na nim, ciesząc się jego ciepłem.

Ręce przesunął na jej talię i wsunął pod bluzkę. Poczowała delikatne mrowienie skóry pod dotykiem jego palców. Ciało reagowało akceptująco. Powstrzymywała się, by nie położyć swych dłoni na jego nagich plecach.

- Muszę iść spać - powtórzyła, choć wiedziała, że na nic się to nie zda. Ken został zaprogramowany, by zaspakajać ją, dogadzać seksualnie, a nie inaczej. Nie mogła pozwolić sobie na kolejną noc bez snu. Przesunęła rękę w górę po plecach Kena, żałując każdego swego ruchu. W końcu palce odnalazły pieprzyk, w którym schowany był wyłącznik Kena. Nacisnęła raz. Dwa razy.

On jednak uśmiechnął się tylko i nadal pieścił jej ciało. Po raz pierwszy na samym dnie żołądka odczuła panikę.

Pracownicy firmy „Najlepszy Mężczyzna dla Pań” zapewniali, że wyłącznik stanowi ostateczne zabezpieczenie. To ona miała kierować

Kenem. Nie mogło się zdarzyć, by był nieposłuszny.. Przynajmniej tak właśnie ją zapewniano.

Ken schylił się i uniósł ją w swych ramionach jak w kołysce. Obrócił się i skierował do sypialni.

Walczyła, napierając na niego. Trzymał ją tak mocno, że niemal odczuwała tworzące się siniaki. Dwukrotnie odnalazła wyłącznik i przycisnęła go. Lecz Ken nadal się poruszał. Delikatnie położył ją na łóżko i przytrzymał, zanim powtórnie zdążyła podjąć próbę wyszarpięcia się. Jedną ręką przytrzymał ją, drugą rozsuwał nogi.

- Stop! - krzyczała. - Natychmiast przestań! Popatrzył na nią i uśmiechnął się.

- W żadnym razie - powiedział.

Jego słowa tak ją zaskoczyły, że przestała się wyrywać. Skorzystał z tej chwili, aby przywiązać jej prawą stopę luźno do ramy łóżka. Pochyliła się, by go powstrzymać, ale odepchnął ją.

- Co robisz? - usiadła ponownie. - Ty nie masz... Wcisnął jej chusteczkę w usta, napinając przy tym wargi tak mocno, iż pomyślała, że zęby przebiją się, przez skórę. Walczyła z nim, kiedy wiązał jej ręce na plecach. Kopała go swobodną stopą. Uwięził ją pod swym kolanem. Wtedy kilkoma szybkimi ruchami zerwał z mej ubranie, pozostawiając wzdłuż rąk i nóg czerwone krechy.

Szmatka w ustach dusiła ją, zdawało się, że zwymiotuje. Zmusiła się do powolnego oddychania przez nos.

- Zrobimy sobie jeszcze jeden raz, zanim wezwę szefa. - Miał wysoki i niemetaliczny głos, o indywidualnym zabarwieniu, które cechuje każdą istotę ludzką. - Tym razem, wszystko dla mnie.

Rzucił ją na brzuch, przywiązał lewą nogę do drugiego słupka ramy i wszedł w nią od tyłu, w pozycji, której nienawidziła. Była nie przygotowana i spięta w momencie, gdy wsuwał się w nią. Ból był ostry i piekący, taki jakiego zaznała wskutek otarc, gdy w studiu spadła ze schodów.

Po całej delikatności w jego programie nie pozostało żadnego śladu. Miał gwałtowne ruchy i twardy uścisk. Tak długo klepał ją po pośladkach, aż ból sprawił, że były bez czucia. Odciągnął jej głowę

do tyłu i mocno ugryzł w szyję, tak że mimo knebla wydała krzyk. Z kolei wcisnął jej twarz głęboko w poduszkę, iż mało brakowało, aby się udusiła.

Po raz pierwszy, jęcząc, osiągnął spełnienie. Sól w jego nasieniu piekła rany Cathleen. Ponownie krzyknęła, staczając walkę z krępującą ją linką. Nagle wyraźnie objawiła się w jej otumanionym umyśle prawda. On nie był maszyną. W ogóle nigdy nie był maszyną. Oszukano ją.

Wykorzystano.

- Było świetnie - powiedział. - Wielka szkoda, że tak wcześnie cię to wyczerpało. Sądziliśmy, że wytrzymasz przynajmniej jeszcze dwa tygodnie.

Odsunął się od niej, wstał i sięgnął po telefon stojący na stoliczku przy łóżku, wykręcił numer. Przez moment obserwowała go, a po chwili zacisnęła mocno powieki, by nie widzieć jego nagości. Nie budził w niej takiej odrazy, jaką powinna była odczuwać. Część niej nadal pożądała go, ale złość i ból odsuwały tę żądzę.

- Za kilka minut będzie tu szef - powiedział, przysiadając na łóżku. - Przywiezie ze sobą faceta, z którym miałaś randkę dziś wieczorem.

Justina? Wydało się jej, to bez sensu. Co ma z tym wszystkim wspólnego Justin? Ken uśmiechnął się do mej, pochylił i wyciągnął szmatkę z jej ust.

Wzięła głęboki wdech, aż przeszły ją ciarki, po czym powoli wypuściła powietrze, walcząc cały czas o odzyskanie jasności myśli. Zdołała zapytać:

- Czy Justin jest w to zamieszany? Ken roześmiał się.

- Nie, nie ma o tym wszystkim pojęcia. Mój współnik i ja chcemy pieniędzy, moja słodka młoda istotko. Z nikim się nie dzielimy. Dostaję więcej udając maszynę, niż miałem kiedykolwiek poprzednio z oszustw. Przy pomocy narkotyków, które szef dobiera dla każdej z was osobno, bardzo łatwo przychodzi mi nabieranie i zrobienie każdej kobiety w trąbę.

Potrząsnęła głową, próbując opanować gonitwę myśli. Podawano jej narkotyki. Jak mogła do tego dopuścić?

Ken spojrzął na budzik, przysunął się do niej, włożył dłoń między jej nogi i wsunął w nią jeden palec.

- Masz ochotę na jeszcze jeden szybki numer? Mamy trochę czasu do przyjazdu szefa i twojego przyjaciela.

- Nie! - Próbowała odsunąć się od niego, ale nie miała możliwości ruchu. - Proszę, nie!

Nie wycofał palca. Zaczął poruszać nim w tył i w przód, do tyłu i do przodu, wiedząc, że bardzo to lubiła. Starła się odseparować umysł od swego ciała, próbując utrzymać biodra w bezruchu. A zatem to były narkotyki. Środki chemiczne. Feromony. I cały tydzień rozległej praktyki. Ken wiedział, jak do niej dotrzeć. Teraz ona musi zdobyć nad nim kontrolę, powstrzymać go samą siłą swego umysłu.

- Wobec tego po co sprowadzać tu Justina? - spytała, próbując wejść w styl reportera.

Ken wzruszył ramionami, poruszając swym palcem coraz to szybciej.

- Zawsze kiedy kończymy interesy z klientem, lepiej jest, gdy ma przy sobie przyjaciela. Kogoś, kto precyzyjnie myśli i umie czytać kontrakty. To pozwala skrócić sprawę. Nie masz wielu przyjaciół - musieliśmy skontaktować się z tym, z którym byłaś dziś wieczorem - na kolacji.

- Kontrakty?

- Właśnie tak, kochanie. Te, które podpisałaś po prezentacji modelu.

Sama była sobie winna, sama podpisała kontrakt na to wszystko. Zmagala się ze swą pamięcią co do strony prawnej kontraktu. Skupić się! Jeżeli uda się jej skupić na szczegółach prawnych, to może zdoła zapomnieć o tym jego palcu, pocieraniu, pocieraniu...

Ken całował jej piersi i lekko przygryzał skórę w okolicy pachy oraz ramienia. Przypomniała sobie, jak mówiła mu, że to uwielbia.

Robił to perfekcyjnie.

Cathleen poczuła gdzieś głęboko, wewnątrz, że chyba się złamała. Wraz z tym, jak palec Kena przesuwiał się coraz to szybciej, a jego usta elektryzowały jej skórę, krzyczała w ekstazie.

I orgazm. I krzyk.

*

Justin siedział niewygodnie po przeciwnej stronie pokoju. Ken i siwiejący mężczyzna już wyszli. Justin nie zdjął nawet płaszcza i wyglądało na to, że nie wie, co zrobić z rękami. Spoglądał na nią ciągle dziwnym, niemal zimnym spojrzeniem, przed którym najchętniej by się ukryła. Uwolnił ją z więzów, a potem czekał, aż skończy długi, gorący prysznic. Zastanawiała się, co o niej myśli. Usiadła teraz naprzeciwko niego, w płaszczu kąpielowym, i z filiżanki sączyła herbatę, którą jej sparzył.

- Odpocznij sobie przez kilka dni - powiedział Justin. - Ja cię zastąpię.

- Chcę, żeby ich aresztowano. Pokręcił głową.

- Podpisałaś ten kontrakt. Obawiam się, że to wszystko było legalne.

- Przecież mnie nabrali - odpowiedziała miękko. Zamknęła oczy. Nadanie sprawie rozgłosu byłoby okropne. Obmyślili to doskonale, sprawa całkowicie legalna i z gwarancją takiego wstydu, który powstrzyma ofiarę przed doniesieniem o przestępstwie. Podobnie jak ofiary gwałtu, które niemal z reguły nie idą na policję. Większość kobiet w jej sytuacji, zwłaszcza podpisawszy kontrakt, nie zdecydowałaby się na powiadomienie policji o przestępstwie na tle seksualnym. Jeżeli skieruje sprawę do sądu, to nie tylko przegra ją, ale i utraci wiarygodność jako reporterka.

Odstawiła filiżankę i patrzyła na Justina do chwili, gdy spojrzał na nią.

- Może udałoby się przedstawić całą historię bez podawania nazwisk. Może zainteresowałby się nią prokurator generalny i...

- Niemożliwe - odparł.

- Dlaczego? - drżała, ale głos miała spokojny.

- Będziemy ich ścigać, a oni powiedzą o tobie. - Wstał i podszedł do niej. Z jakiegoś względu wywołało to u niej erotyczne skojarzenie. Usiadł i głaskał ją po nodze. - Dotknęłoby to właśnie ciebie. To, co zrobili było legalne i zgodnie z podpisanym kontraktem. Użyli legalnych narkotyków - afrodyzjaków na potencję, które oddziałują poprzez zapach i dotyk. Wypełniłaś i podpisałaś wszystkie formularze i pełnomocnictwa. Właściwe upoważniłaś ich do tego, co zrobili.

Drżenie przeniosło się w dół kręgosłupa i na nogi. Podniosła filiżankę i wypła szybko resztę herbaty. Poczła mrowienie skóry w miejscu, w którym na jej nodze spoczywała dłoń Justina. Pociągał ją przesączony piżmem zapach, w głowie zaczęło wirować.

- Źle się poczułam i...

- Wiem. - Justin dotknął jej policzka i uśmiechnął się. - To herbata. Rozmawiałem z Kenem, kiedy brałaś prysznic i powiedział mi, że bardzo ją lubisz. Mówił, że to zupełnie wyjątkowa mieszanka.

Justin wsunął dłoń pod szlafrok i położył na jej piersi. Przysunął się bliżej, tak, że czuła jego oddech na szyi. Zaczął lizać brzeg jej ucha.

Coś w niej pękło. Ciało osiągnęło punkt kulminacyjny. Po raz drugi tek nocy zaczęła krzyczeć.

I orgazm. I krzyk.

DAVE SMEDS

Eliksir miłosny

- Mam list, o który panu chodziło, Mr. Turner.

Panna Keyes zatrzymała się przed biurkiem Sidneya i wyciągnęła rękę z arkusikiem papieru, powiewając nim dokładnie na wysokości swych pełnych, fantastycznie proporcjonalnych piersi. Miała na sobie jedną z tych białych biurowych bluzek, które spełniały wymóg skromności i nie pozwalały Sidneyowi rozstrzygnąć, czy włożyła dziś stanik czy też nie. Czy to, co widział, to brodawki czy tylko zmarszczki tkaniny?

Odebrał list, a ona niezwłocznie udała się z powrotem do sekretariatu. Albo teraz, albo nigdy, pomyślał i odezwał się, zanim miałby czas stchórzyć.

- Panno Keyes?

Zatrzymała się, odwróciła i uniosła piękne brwi.

- Czy... czy zechciałaby pani pójść ze mną kiedyś na kolację?

Sidneyowi nagle całkiem zaschło w gardle.

- Nie - odpowiedziała zwięźle i znikła w głębi korytarza. Sidney siedział, postukując paznokciami o blat biurka. Znowu. Tym razem panna Keyes, poprzednio siostra jego najlepszego przyjaciela. Mija już dziesięć miesięcy bez seksu. O co chodzi, czego mu brakuje? Oczywiście, jest niski. Zgoda, nosi okulary. Prawda, chodzi czasami w niemodnych rzeczach. Z drugiej strony, jest przecież najlepszym księgowym, jakiego firma miała kiedykolwiek. Podłubał w nosie i wytarł palec pod spodem otwartej szuflady biurka. Dlaczego kobiety nie chcą mu dać szansy?

Tego dnia natrafił na ogłoszenie, zamieszczone na ostatniej stronie gazety:

DZIĘKI MNIE NIE OPRZE CI SIĘ ŻADNA KOBIETA
MADAME SOPHIA

Gabinet Madame Sophii znajdował się po drodze do biura. Gdyby nie to, najprawdopodobniej zignorowałby ogłoszenie. Zapomniał o nim całkiem, i przypomniał sobie dopiero wieczorem, w drodze do domu. Zobaczył mały neonowy szyld z reklamą wróżenia z dłoni, przepowiadania przyszłości, konsultacji astrologicznej oraz pół

tuzina innych magicznych usług. Pod wpływem impulsu, w jednej chwili zdecydował skrócić z jezdni na wysypany żużlem parking.

Poczekalnia była mroczna i intensywnie pachniała kadzidłem. Znajdowało się w niej troje drzwi, a na każdych wisały kotary z metalowej gazy w kolorze kasztanowym. Kiedy źrenice Sidneya przystosowały się po chwili do słabego oświetlenia, podszedł do lady. Stał na niej dzwoneczek, którego użył.

- Wejść! - odezwał się ostry głos zza jednej z kotar. Niezdecydowanie wszedł do małej alkowy. Prawie cały pokój zajmował okrągły, karciany stół nakryty śnieżnobiałym obrusem, sięgającym aż do podłogi. Za stołem siedziała szczupła Cyganka z kruczoczarnymi włosami przewiązanymi chustą i splecionymi na blacie stołu rękoma. Po jego stronie stołu stało puste, rozkładane krzesło.

- Czekałam na pana. Proszę siadać - powiedziała uspokajająco, a Sidney posłusznie usiadł. - Proszę mi opowiedzieć, co pana trapi.

Sidney usiłował nie jąkać się.

- Hm... tak... to jest raczej sprawa osobista. - Ma pan kłopoty z seksem i kobietami. Sidneyowi opadła szczęka.

- Skąd... skąd...?

- Widziałam już wielu podobnych do pana - odpowiedziała z uśmiechem. - Ale najważniejsze fjest to, że mogę panu pomóc. Nie trzeba nic więcej, jak to. - Postawiła na stole niewielką buteleczkę. - Proszę to wypić, a każda kobieta w zasięgu pana oddechu będzie chciała się z panem przespać.

- Elixir miłosny? - Sidney palcami wyczuwał kontury ścianek butelki. Miała kształt nagiej kobiety i zawierała co najwyżej jeden łyk.

- Nie całkiem. Prawdziwy eliksir miłości byłby znacznie droższy. Ale ten na pewno rozwiąże pana bieżące trudności.

- Jaka jest cena?

- Pięć dolarów. Jeżeli nie będzie skuteczny, zwracam pieniądze.

- Dlaczego tak tanio?

Madame Sophia znowu się uśmiechnęła.

- Moi klienci zawsze przychodzą ponownie.

Sidney mocno ścisnął buteleczkę w zamkniętej dłoni. Stał, opierając się o drzwi sekretariatu. Mieścił on fotokopiarkę, kilka szaf na dokumenty oraz biurka obsługujących dział Sidneya czterech sekretarek. Trzy z nich wyszły właśnie na lunch, pozostawiając pannę Keyes przy komputerze. Sidney wpatrywał się w jej szczupłe nogi widoczne pod bryłą biurka, obliznął wargi i wychylił eliksir jednym haustem.

Spłynął mu do gardła jak syrop przeciw kaszlowi, o smaku ni to gorzkim, ni to słodkim. Odczekał, ale nie było żadnej różnicy w jego samopoczuciu. Panna Keyes nie spuszczała oczu z linijek zielonkawo fosforyzujących literek. Dla pewności przełknął jeszcze raz ślinę i ruszył w stronę jej stanowiska pracy.

Nadział się na kosz do papierów.

- Och, przepraszam - powiedział, czując falę ciepła na policzkach. Postawił kosz i pozbierał rozsypane, zmięte arkusze papieru i papierowe chusteczki. Panna Keyes patrzyła na niego wzrokiem w rodzaju - O, Boże.

Stał w miejscu, nie wiedząc, co dalej i czuł się z każdym momentem coraz bardziej głupio. Zapomniał swej wyćwiczonej kwestii. Po kilku chwilach absolutnego braku zainteresowania ze strony sekretarki obrócił się, by odejść.

- Czy pan czegoś potrzebuje, Mr. Turner?

Sidney zatrzymał się. Ton jej głosu brzmiał niemal ciepło. Kiedy napotkał jej oczy, natychmiast odwzajemniła spojrzenie. Przysunął się kawałeczek bliżej.

- Właściwie... panno Keyes...

- Ruth - powiedziała. Nachyliła się w jego stronę. Nieobecny palcami wystukała na klawiszach komputera polecenie wpisania danych do pamięci.

- Słuchaj, Ruth - odezwał się Sidney, ni stąd ni zowąd nagle pewny siebie. - Co byś powiedziała, gdybyśmy poszli razem na chwilę do toalety?

Nie mógł uwierzyć, że naprawdę tak powiedział. Przez chwilę był pewny, że zaraz dostanie w twarz. Ale Ruth chwyciła go pod ramię i skierowała w stronę korytarza.

Nie zadali sobie nawet trudu, by sprawdzić, czy w ubikacji męskiej nie ma nikogo. Ledwo weszli do kabiny i zamknęli za sobą drzwi, a już rozpięła mu zamek błyskawiczny spodni. Jego kogut wpadł prosto w jej wyczekującą dłoń.

- Och, Mr. Turner, czemu mi pan nigdy wcześniej nic nie powiedział?

Ręce, którymi oplótła mu wał, sięgały ledwo do połowy jego długości.

- W zwisie około osiem i pół cala - oznajmił dumnie - a po trzydziestu sekundach wzwodu - ponad 10 cali. Koniec członka spoczywał na koniuszku języka Ruth i pęczniał aż do górnej granicy możliwości.

- Nigdy nie marzyłam nawet... - powiedziała, a reszty zdania nie dało się zrozumieć, kiedy objęła go wargami i przesuwiała językiem wewnątrz ust. Westchnął.

- Próbowałem ci powiedzieć - odparł. Jej i innym też. Teraz wszystkie one będą wiedziały, myślał uszczęśliwiony, koncentrując się na dreszczach przyjemności promieniujących w górę krocza. Obserwował olśniony, jak układając usta niczym ryba, Ruth połykała mu koguta cal po calu, aż po sam trzon. Wysuwała język, którym zlizywała mu owłosienie łonowe. Wnętrze jej gardła było rozpalone, podniebienie mocno przylegało do przedniej części jego organu. Trzymała go tak przez dobre dziesięć sekund, potem wycofała usta, wypuszczając połyskującego koguta na zewnątrz. Za chwilę ponownie wsunęła go głęboko we wnętrze gardła, wciągała i wysuwała w tę i z powrotem, nie robiąc w ogóle przerwy, aż wydawało mu się, że z pewnością nastąpi finał.

- Muszę cię mieć - powiedziała Ruth nagle i posadziła go na sedesie. Ściągnęła majtki, podkasała spódnicę i usiadła na nim okrakiem. Był olśniony najdoskonalszą piczką, jaką kiedykolwiek dane mu było poznać. Wykonywała gładkie, równe suwy w górę i w dół, a mocne, młode, wyćwiczone nogi, stopniowo nabierały

właściwego tempa. Czuł jak małe strużki jej śluzu spływają mu między włosami na jądrach. Poruszała się coraz to szybciej, aż jej miednica zlała się w jedną zamazaną plamę.

Wytrysk trwał niemal w nieskończoność, a jej mięśnie z obu stron delikatnego, brązowego trójkąta łonowego ze znajomością rzeczy doły z niego każdą ze strug. Wreszcie zadygotał po raz ostatni, a z oczu popłynęły mu łzy.

Scałowywała krople z jego policzków, podniosła się, wycisnęła z koguta ostatnią kroplę nasienia i zlizala ją ze swego palca. Podniosła majtki z podłogi i wcisnęła mu je do kieszeni spodni.

- Upominek - powiedziała z twarzą nadal rozpaloną, włosami przetłuszczonymi i w nieładzie. Nigdy nie wyglądała piękniej niż teraz, pomyślał Sidney.

- Wkrótce musimy zrobić to znowu - powiedział.

- O, tak! - potwierdziła ochoczo. - Dziś wieczorem! - Spotkamy się u mnie? - spytał bez tchu.

- Przyjdę na pewno.

Przez resztę popołudnia Sidney ledwo opanował się, żeby nie tańczyć na blacie biurka. Pracę odłożył na bok, rozsiadł się w krześle i kontemplował głębię gardła Ruth, w radosnym oczekiwaniu na mające nastąpić wieczorem atrakcje. Uśmiechnął się na myśl, że to był dopiero początek.

Postanowił wyjść z pracy wcześniej, gdyż w takim stanie umysłu i tak nie mógł pracować. Wsiadając do windy, gwizdał piosenkę, nie zwracając prawie w ogóle uwagi na będącą już w windzie niską, starszą panią, o zasuszonej twarzy. Drzwi zamknęły się i poczuł, jak winda ostrożnie ruszyła w dół.

Nagle gwałtownie zatrzymała się. Kiedy Sidney szukał przycisku alarmu, stwierdził, że to mała starsza pani nacisnęła przycisk „stop”.

- No, co pani...

W mgnieniu oka rzuciła się na podłogę, na suche kościste kolana, a spodnie Sidneya leżały na podłodze wokół jego kostek. Jego kogut wśliznął się prosto w jej wyczekujące usta.

- Co jest? Hej, dość tego!

Ani myślała przestać. Nie miała też zamiaru dopuścić go w pobliże kasetki z przyciskami do obsługi windy. Jak na starszą panią dysponowała zdumiewającą siłą. Robiła swoje, wciskając sobie lego członek w głąb gardła. Erekcja była nieunikniona. Od chwili, gdy wydeła sztuczną szczękę, nie było nawet tak źle.

Wydawało mu się to nie do wiary. Elixir! Z pewnością działał nadal.

Udało mu się dojść do finału i dopiero wtedy pozwoliła mu na ucieczkę. Wynurzył się z windy, ona natomiast wkładała w usta swą protezę. Dwaj mężczyźni oczekujący w hallu na windę, spoglądali za nim porażeni.

Sidney wyszedł z budynku. Kiedy mijał na chodniku kilka kobiet, a one posyłały ku niemu uśmiechy, przyspieszył kroku. Z ulgą stwierdził, że za nim nie idą. Zdał sobie sprawę, że w żadnym razie nie ma mowy o powrocie do domu autobusem. Musiał iść pieszo, unikając kobiet - przechodniów, aż doszedł do Regency, gdzie udało mu się złapać taksówkę. W końcu wrócił do swego mieszkania i własnego bezpieczeństwa.

Wiedział już, że napój miłosny ma potężną moc. To nieźle. Korzystny zakup. Tym lepsze rokowania na randkę z Ruth. Na razie będzie musiał po prostu być bardzo ostrożny w miejscach publicznych, aż działanie eliksiru osłabnie.

O siódmej nie mógł już dłużej wytrzymać oczekiwania na Ruth. Zadzwoił do niej.

- Cześć! - powiedział jowialnie. - O której będziesz u mnie?

- Proszę posłuchać - powiedziała lodowatym tonem. - Nie wiem, co mnie dziś napadło, ale mi już przeszło. Jeśli pan myśli, że będę to znowu robić, to ma pan źle w głowie. - Odłożyła słuchawkę.

Sidney zagryzł zęby. Dziwka! Widocznie ten jeden raz nie wystarczył, by ją zdobyć; konieczny jest bliższy kontakt z eliksirem, który jak widać nie działa przez telefon. Do licha, musi tylko sam osobiście pojechać do niej.

Zamówił taksówkę i czekając na nią z irytacją chodził po chodniku w tę i z powrotem. Wkrótce taksówka podjechała,

zatrzymując się tuż za światłami. Widział potężny cień kierowcy na przednim siedzeniu. Wsiadając do taksówki warknął adres i zatopił się w milczeniu.

Po przejechaniu kilku przecznic wjechali w wąską uliczkę na tyłach domów. Taksjarsz wyłączył silnik.

- Co do diabła... - zaczął Sidney. Ale kierowca już przemieścił się na tylne siedzenie i czołgał w stronę Sidneya. Dopiero teraz, kiedy mógł przyjrzeć się z bliska, zorientował się, że była to kobieta - potężna, brzydka kobieta, która zerwała z siebie bluzkę, z niego zdarła spodnie i mocno złapała ustami jego koguta, by potem rozłożyć wokół niego swe wielkie cyce.

To szaleństwo, pomyślał Sidney, widząc jak jego organ pojawia się i znika mu z oczu w kanionie między jej piersiami. Próbował się wyswobodzić, ale była zbyt masywna. Mógł tylko próbować wyperswadować jej, by zaniechała dosiadania go w pozycji jeźdźca. Zgodziła się, aby wypompował się na jej pierś i szyję, siedząc przed nią i pozwalając na to, by ścisnęła mu koguta aż zwiotczał bez sił. Wydostał się z samochodu i stał na chwiejnych nogach.

Taksiarka zrobiła do niego perskie oko i odjechała. Zaczął zastanawiać się - zakładając że w ogóle dotrze jakoś do Ruth, czy będzie jeszcze w takiej formie, by ją docenić. Z drugiej strony, tylko spektakularne zerżnięcie jej kolejny raz mogło zrekompensować mu tych kilka przykrych incydentów. Przyspieszył kroku.

Zapukał zdecydowanie w drzwi Ruth. Usłyszał, jak zapytała:

- Kto tam? - Sidney. Idź sobie.

- Chcę z tobą tylko przez chwilę porozmawiać. - Odejdź, bo wezwę gliny.

Sidney z wściekłością szarpał klamkę drzwi. Do cholery, gdyby tylko otworzyła na małą szparkę i powąchała, byłaby lego.

- Słyszałeś - krzyknęła. - Idę do telefonu.

Może działanie eliksiru zanika. Przygryzł wargę. Właściwie, nie warto robić wielkich scen. Jeżeli działa nadal, będzie ją miał jutro w biurze. Odstąpił od drzwi.

Podczas jego rozmowy z Ruth korytarzem przeszła sprzątaczką. Obrócił się w jej stronę, a kiedy zobaczył wyraz jej twarzy, nie mógł powstrzymać głośnego okrzyku.

Zaczął biec, ale dopadła go przy trzecim mieszkaniu. Złapała mocno za kołnierz, zanim zdążył się zorientować wciągnęła go do pomieszczenia gospodarczego, zamykając drzwi na klucz. Po chwili jego wiertło wsuwało się i wysuwało ze szczupłego tyłka, należącego do którejś z etnicznych mniejszości. Zabawiała się z nim radośnie, plotąc coś w języku, którego nawet nie rozpoznawał.

Miał pecha, że zaraz po przyjsciu do biura natknął się na szefa. Tęgi, starszy pan wbił wzrok w Sidneya zza okularów w staromodnej, drucianej oprawce i zmarszczył brwi.

- Nie wygląda pan zbyt dobrze, Turner.

- Źle spałem - wymamrotał i wycofał się do swego zacisznego gabinetu, gdzie ciężko zwałił się na krzesło przy biurku. Buty zalatywały zapachem środka do czyszczenia podłóg, włosy opadały mu na szkła okularów i bez sprawdzania wiedział, że ma podpuchnięte oczy. Czy jeszcze żył?

Widocznie tak - skoro odczuwał, jak posiniaczony kogut boleśnie ociera się o tkaninę slipów.

Po ucieczce od sprzątaczką wy dostał się z budynku, by z budki telefonicznej wezwać taksówkę. Był zbyt zdezorientowany, żeby zauważyć wyczekujące w pobliżu trzy prostytutki. Gdy doleciał do nich jego zapach, zaraz zaciągnęły go do pokoju w motelu. Kiedy udało mu się wydostać od nich - i jakimś cudem wrócić do domu - tuż przed drzwiami swego mieszkania wpadł na swą nieśmiałą sąsiadeczkę. Zaraz wciągnęła go do siebie. Gdy miała już dosyć, przysła jej współlokatorka, która z miejsca przystąpiła do akcji. Skończył z nią, ale sąsiadka już była gotowa na więcej. Lepiej powiodło mu się w drodze do biura, z tym wyjątkiem, że kiedy szedł pieszo po schodach z obawy przed jazdą windą, natknął się na tę samą starszą panią co wczoraj.

Jego kutas z pewnością doznał już trwałych uszkodzeń. Bóg jeden wie, jakie choroby mógł złapać od tych kurw. A co gorsze, nie czuł nawet cienia ochoty, by przelecieć Ruth.

Wypił trzy filiżanki kawy, wziął ołówek, położył przed sobą notatnik i zmusił się do myślenia. W pracy czuł się zawsze lepiej. Tu umiał sobie ze wszystkim poradzić.

Powiadomił recepcjonistkę przez intercom, że nie ma go dla nikogo i natychmiast zadzwonił do Madame Sophii.

- Ten eliksir - jak długo on działa? - mówił niewyraźnie.

- Aa, z pewnością mam przyjemność z dżentelmenem, który odwiedził mnie przedwczoraj - powiedziała radośnie. - Proszę się nie martwić. On działa raz na zawsze.

- Raz na c o?

- Obawiam się, że jedna dawka zmienia metabolizm organizmu na zawsze. Afrodyzjak przenika na stałe do potu.

- To okropne. Nie mogę już dłużej. Odpadnie mi kogut!

- Hmm, no cóż, jest jedna rzecz, którą mogę dla pana zrobić - powiedziała tonem serio. - Proszę przyjść do mnie dzisiaj po pracy.

Sidney nie miał żadnego wyboru, jak tylko stawić czoła sytuacji. Najchętniej poszedłby natychmiast, ale wysoce prawdopodobne było, że i o tej porze napotka wiele kobiet, wobec czego przekonał sam siebie, że równie dobrze może jeszcze popracować do końca dnia.

W każdym razie nie chciał ryzykować. Ale w południe miał już tak pełny pęcherz, że dłużej nie mógł wytrzymać i musiał przemknąć przez korytarz do toalety. Jak tylko udało mu się zmusić swój nadwerężony instrument, by zrobił co trzeba, czmychnął z powrotem do swego gabinetu.

Zastał w nim żonę szefa, która właśnie przyszła pożyczyć ołówek.

Ze zgrozą patrzył, jak jej spodnium z połyskliwej tkaniny zsuwa się na dywan. Westchnął, zamknął drzwi i rozpiął spodnie. Kiedy opuściła majtki, zobaczył bliznę po operacji wycięcia macicy, wygolone łono i złoty kolczyk przebijający szczyt łechtaczki. Pochyliła się i rozwarła pośladki.

*

Sidney opadł na krzesło dla gości u Madame Sophii. Nie miał siły mówić. Madame spokojnie postawiła na stole fiolkę. Migotała w świetle lampy.

- Co to jest? - wymamrotał.

- Antidotum.

- Sądziłem, według tego co pani mówiła, że eliksir działa na zawsze.

- Bo tak jest. Antidotum przeciwdziała mu przez okres około tygodnia. Ja też go używam. W przeciwnym razie to ja sama zdarłabym z pana ubranie.

Sidney sięgnął drżącą dłonią po fiolkę. Kiedy ją odkorkował, poczuł silny aromat.

- To będzie kosztowało sto dolarów - dorzuciła Madame Sophia.

Wpatrywał się w nią całkowicie oszołomiony.

- Mogę jeszcze dodać, że tylko ja jedna znam skład chemiczny. Żadne laboratorium nie jest w stanie go zbadać, a wzór nie jest nigdzie zapisany.

Sidney pierwszy raz zauważył, że pierścionki z kamieniami na jej palcach wcale nie były sztuczną biżuterią. Setka na tydzień. Do licha.

- Moja oferta jest ważna jeszcze tylko przez sześćdziesiąt sekund - uzupełniła.

Poczuł ostry ból koguta. Pomyślał o małej, starszej pani i jej dziąsłach, taksówkarce i jej wymionach oraz sprzątacze i jej lizolu. Na setkę tygodniowo może sobie pozwolić. No i trzeba będzie nad tym pomyśleć, żeby tak rozplanować sprawy w czasie, aby antidotum przestawało skutkować ściśle we właściwym momencie i miejscu...

Wyciągnął książeczkę czekową.

Osobliwi klienci

Beth siedziała w uliczce prowadzącej na tyły kasyna i wsłuchiwała się w odgłosy kopulacji świerszczy. Ukryły się one przy śmietniku i w papierzyskach walających się po chodniku. Ziemskie świerszcze. Tylko jeden Bóg wie, jakim statkiem tu przybyły - Las Vegas wchłaniało każdy opuszczony wrak z wyciekami powietrza, jaki tylko kiedykolwiek znalazłby się w tym kwadrancie, wraz z ich pilotami po omacku szukającymi tej jednej jedynej wielkiej wygranej, mającej wyciągnąć ich z długów.

Brzmienie chrząszczy przypomniało jej prawdziwe, dzikie dźwięki, które znała stamtąd, - z domu. Na tej planetoidzie nie znajdowało się zbyt wiele śladów natury. Nawet powietrze i siła ciężkości były sztuczne. Beth często tu przychodziła, żeby posiedzieć na schodkach do kuchni, z zesuniętymi ze stóp butami, i cieszyć się samotnością.

Syk wozu dostawczego, w chwili gdy zamykano napęd jego poduszki powietrznej, przerwał jej rozmyślenia. Do restauracji przywieziono świeże wypieki. Beth zaciągnęła się ostatni raz papierosem i wstała. Jeden z chłopaków dostarczających towar od piekarza zagwizdał z aprobatą, gdy wsuwała pantofelki na nogi. Wzruszyła ramionami. Patrzenie nic nie kosztuje.

Wymieniając kilka nedorzecznych uwag z kucharzami, zdołała porwać z tacy ciasteczko z syropem klonowym i wyszła przez jadalnię. Znudzona kasjerka rzuciła niedbałe słowa powitania, gdy przechodziła obok niej.

Nie zatrzymała się w sali koktajlowej. Za duża konkurencja, po części ze strony amateerek. Nigdy też nie zawracała sobie głowy salami kasyna. Nie miała tam nic do roboty, bo ci wszyscy durnie już się kochali - z hazardem. Wybrała dla siebie hall na piętrze.

Potencjalny klient stał przed ekranem gry „ATAK GALAKTYK”, wpatrując się w małych elektronicznych przeciwników i wysadzając ich w powietrze nieznacznymi ruchami palców na przyciskach. Był młody, ale skórzana kurtka, którą miał na sobie wyglądała na prawdziwą, a to nie są dziś tanie rzeczy. Człowiek,

prawdopodobnie Ziemianin. Podeszła do wysokiego stołka obok niego i wsunęła kartę kredytową do automatu z grą „WYŚCIG”.

Straciła wszystkie trzy statki już po trzydziestu sekundach. - Mój Boże - powiedziała - coś mi się zdaje, że w tym nie jestem zbyt dobra.

Chłopak nadal był całkowicie pochłonięty wpatrywaniem się w ekran.

- Skąd jesteś? - zapytała go.

Długa chwila i nic. Nawet na nią nie popatrzył. Wreszcie powiedział:

- Z Ziemi. Z Houston.

- Na długo w porcie?

Wykończył wszystkich przeciwników i czekając aż pojawią się następne zastępy, spojrzął na nią. Spodobało mu się to, co zobaczył. Jednak odwrócił się z powrotem i znowu skupił nad przyciskiem miotacza ognia.

Może i nadawałby się do jej gry, a może nie, lecz nie dysponowała całą nocą, by móc się o tym przekonać. Zsunęła tyłek z krzesła i podjęła polowanie.

Za jakąś godzinę przydybała Retykulańczyka. Kiedy szła za jego dwudziestoma nogami w kierunku pokoju hotelowego, mijali po drodze bar „Brzask”, najlepszy w całym hotelu. W półmroku zobaczyła opartą o drzwi potężną sylwetkę Tony'ego, wykidajły zatrudnionego w lokalu. Beth pokiwała mu.

Tony spojrzął przelotnie na Retykulańczyka i uniósł brew w zdumieniu.

Beth i jej klient weszli do kapsuły windy i pociągnęli uchwyty. Siła przyciągania przestała oddziaływać. Powoli unosili się w górę, aż na wysokość szóstego poziomu. Beth przycisnęła nos do obiektywu kamery nadzorującej bezpieczeństwo.

Pokój był taki sam, jak niezliczone inne pokoje w tym hotelu. Wydawało się jej, że w tym właśnie pokoju była już cztery, a może pięć razy. Odrzuciła torebkę na kanapę.

- Co sobie życzysz?

Retykulańczyk przesunął segmenty swego ciała i obniżył jedną ze swych anten.

- Proszę poinformować o wysokości opłaty - wybełkotał w podnieceniu mechanizm automatycznego tłumacza znajdujący się w jego gardle.

- Zależy, co ma być, ptaszku - odpowiedziała - i jak długo.

Retykulańczyk wydawał się zdenerwowany. Chociaż trudno tu o pewność. W końcu powiedział jednak, o co mu chodzi.

- O, t a k i e rzeczy - powiedziała Beth. - To kosztuje pięćset punktów.

Warunki mu odpowiadały. Beth przyjęła swe wynagrodzenie w akcjach kasyna i wsunęła do torebki, po czym rozebrała się.

Wyszła od niego, jak tylko było po wszystkim. Jej klient leżał na łóżku, jego liczne, chude nogi powiewały w powietrzu w ukojeniu po orgazmie. Żadnego z Retykulańczyków nie widziała dotąd tak leżącego na plecach.

Aby związać koniec z końcem, nie mogła na tym poprzestać. Udała się do swego pokoju, żeby się wyelegantować, a następnie ruszyła na dalsze rundki.

Po dwu godzinach bezskutecznych poszukiwań wpadła do baru „Brzask”. Tony postawił jej drinka.

- Jak poszło? Uśmiechnęła się.

- No, wiesz. Retykulańczycy są przecież właściwie tylko dużymi insektami. Im chodzi o ferom i te sprawy. W tej ich całej chitynie dotyk zapewne niewiele znaczy.

- Chcesz przez to powiedzieć, że on chciał cię tylko powąchać?

- Tak. Im nigdy o nic innego nie chodzi. Robię z tego wielką sprawę i liczę sobie, jak normalnie. Dlatego lubię Retykulan.

- Do diabła. - Tony wziął do ust trochę lodu ze swego drinka i rozpuścił go na języku.

- Mam do ciebie pytanie, Beth. Czy jest coś, czego nie zerznąłabyś?

Zastanawiała się przez moment.

- Właściwie... Nie idę na nic, co może mnie zranić. Żadnych biczy, żadnych łańcuchów, żadnych ostróg. Tony zaprzeczył głową.

- Nie mówię o takich dziwacznościach. Mówię o różnych gatunkach. Czy są jakiegokolwiek pozaziemskie istoty inteligentne w Lidze Galaktycznej, z którymi nie zrobiłabyś tego?

- Jeśli tylko mają zielone banknoty, to ja mam dla nich różową cipkę.

- Nawet Syrianie?

- Jasne, że tak.

- O, Boże!

- Zerznąłabym nawet ciebie, Tony. - Pociągnęła drinka.

Na chwilę zamilkł.

- Za darmo?

- Ależ skąd, do diabła. Jestem profesjonalistką. Ale skoro jesteś taki miły, dam ci dwadzieścia procent rabatu.

- Nie, dziękuję - powiedział, a mimo to intensywnie wpatrywał się w jej bufory. Były one tego rodzaju, że wytrzymałyby wnikliwą analizę. - Ja nie płacę za cipkę.

- To już zauważyłam. Wszystkie dziewczyny sądzą, że jesteś święty albo coś w tym rodzaju.

- Zasady. Ja nie marnuję pieniędzy. W barze mam darmowe drinki, ale odsuwam od siebie alkohol i nie mam głupich myśli. Nie palę. A jak nie mogę tu nigdzie znaleźć sobie darmowej okazji, to zawsze jeszcze mam do dyspozycji żonę.

- A czemu masz węża w kieszeni?

- Mam plany. Kiedyś otworzę swój własny lokal. Wkładam każdy dodatkowy grosz w akcje i obligacje. Już całkiem sporo odłożyłem.

- Ale od czasu do czasu chyba sobie trochę folgujesz? - Nigdy, jeżeli ma mnie to coś kosztować. - Lecz Beth i tak widziała, że podniecała go. Była jednym z najcenniejszych nabytków kasyna „Szczęście”.

Pomysł przyszedł jej do głowy, gdy była w łóżku z Rygelianem. Wspierała się na dłoniach i kolanach, pozwalając mu chodzić od tyłu. Jak jego pobratymcy, preferował pozycję na psa”. Bez trudu mógł wtedy wsunąć oba swe koguty. Beth podobali się Rygelianie. Mieli krótkie członki, które nie pikały w nią głęboko; mogłaby to z nimi robić przez cały dzień. Było to znacznie lepsze niż gdyby miała dwu mężczyzn; nie musiała wcale przejmować się dostosowaniem do rytmu. Jako profesjonalistka cierpiała z powodu urażonej dumy zawodowej, leżeli nie udawało się jej potraktować organów swych klientów z wszelką atencją, za jaką zapłacili. Do czasu, kiedy doszedł do orgazmu, z następującymi po sobie naprzemiennie wytryskami, które wprawiły jej krocze w rytmiczne drżenie, obmyśliła już wszystkie szczegóły swego planu. Skończyła z nim najszybciej, jak można, i skoro tylko wypłynęło z niej jego nasienie, ubrała się i skierowała na dół do baru.

- Postawmy sprawę jasno - powiedział Tony. - Chcesz się ze mną założyć?

- Zgadza się. Nie uważasz chyba za właściwe odkładanie wszystkich pieniędzy, bez odrobiny ryzyka, choćby niewielką kwotą.

- To ty tak mówisz. Powiedz mi to jeszcze raz.

- Jeżeli znajdziesz mi takiego osobnika wśród istot pozaziemskich, z którym mi nie wyjdzie - wygrywasz. Jeżeli każdego z nich doprowadzę do wytrysku - ja wygrywam. Daję ci cztery próby.

- A co ja dostanę, jeśli wygram?

- Będiesz mógł mnie przelecieć raz na tydzień, przez rok, za darmo.

- A jak przegram?

- Przelatujesz mnie raz na tydzień przez rok, ale płacisz. - Przyda ci się stały dochód, co? Jakie są reguły?

- Moi klienci nie mogą wiedzieć, że chodzi o zakład. Ty wybierasz. Joey dogaduje się z nimi. Jeżeli trudno uzgodnić transakcję, oferujecie moje usługi na koszt hotelu. Wtedy już z pewnością nie odmówią. Możecie też wybrać innego z tej samej rasy. Jeśli stwierdzę, że coś kombinujecie me tak, zrywamy umowę.

- O to się nie martw. Ale skąd będę wiedział, że wywiązałaś się ze swojej strony?

- Rozmawiałam już z obstawą hotelową. Pozwolą wam zobaczyć wszystko na monitorach. Sami możecie obejrzeć ich orgazmy.

- W porządku. Jeszcze coś?

- Żadnych samic. Nie mam zamiaru spierać się z wami, czy miały orgazm czy nie.

- Okay. - Tony wpatrywał się w zgrabne piersi uwypuklające się pod jej bluzką. A skąd mam wiedzieć, czy jesteś tego wszystkiego warta?

- Wypróbuj mnie.

- Są jednak bezpłatne próbki?

- Nie.

- W takim razie musi mi wystarczyć twoja dobra renoma. Okay, umowa stoi. - Wzruszył ramionami.

Miała duże uznanie dla Toma. Na łatwe przypadki nie marnował czasu. Na początek przysłał jej Syrianina. Dobrze rozumiała strategię Toma - kogut o prawie metrowej długości i piętnastocentymetrowej średnicy może onieśmielać. Mimo to przerypała swego pierwszego w życiu Syrianina, mając piętnaście lat. Prawdę powiedziawszy, czasami było z nimi mniej zabiegów niż z niektórymi mężczyznami.

Poleciała recepcji przysłanie do pokoju kozetki do masażu i oliwki.

- Podejdz tu, ptaszku. Połóż go tutaj na stole.

- Syrianin był już nagi. Uniósł w górę swój masywny organ i położył go na kozetce.

Najpierw oblała go oliwką - bardzo obficie. Gdy już był gotowy i śliski, zaczęła go ugniatać energicznie i rytmicznie, wprawnymi ruchami, używając przy tym obu dłoni, a chwilami także przedramion. Po pewnym czasie Syrianinowi przyspieszył się oddech. Choć wydawało się to absolutnie niemożliwe, kogut powiększył mu się. Nigdy oczywiście nie mógł osiągnąć erekcji, bo nic o tak wielkiej masie samo przez się nie może stanąć.

Beth posłała uśmiech w kierunku czujnika pożarowego. Był w mm ukryty jeden z obiektywów kamery. Po kilka z nich było w każdym pokoju, chociaż oczywiście gości o tym nie informowano. Kasyno „Szczęście” miało rozbudowany system zabezpieczeń. Okay, Tony, patrz no tylko!

Syrianin zaczął falować. Nadal dociskała mu koguta do wyściółki kozetki, zwiększając rytm i siłę nacisku aż do granic wytrzymałości dla jej drobnych rąk. Zaczął charczeć, hak jakaś wielka bestia afrykańska. W chwili, gdy niemal czuła jak odpadają jej ręce, wystrzelił.

Pierwsza struga z impetem uderzyła w ścianę, rozpryskując gęste, niebieskie nasienie na obszarze o szerokości kilku stóp. Na moment osad zawisł, a po chwili stopniowo ściekał w kierunku podłogi. Druga i trzecia struga spryskały dywan, pozostawiając smugi śladów. Reszta, pozbawiona impetu, wyciekła na kozetkę, ze skraju której zwieszała się szeroka struga, stopniowo wydłużającą się w stronę podłogi. Beth łapała ją w garść i zlizywała. Syrianinowi ogromnie się to podobało, ale nie to było powodem, dla którego robiła to. Nasienie Syrian ma tak doskonały smak, że nadaje się do rozlewania w butelki. Biedny Tony. Skąd miał o tym wiedzieć?

W pokoju został straszny bałagan, ale w końcu od czego są pokojówki.

Beth czuła się wyjątkowo z siebie zadowolona i zaprosiła Syrianina do restauracji serwującej steki. Tony będzie musiał wymyśleć teraz coś trudniejszego.

Wymyślił. Tym razem był to Scytyńczyk, istota pozaziemska o wzroście 12 stóp. Oczywiście, przerznęła już w życiu niejednego z nich, lecz zazwyczaj wspólnie z inną dziewczyną. Taki sposób okazał

się praktyczny. Scytyńczyków charakteryzował problem głębokiego gardła. Miejsce, które trzeba pobudzić dla wywołania orgazmu znajduje się około dziewięciu cali w głębi ich jamy ustnej. Gdy kopuluje dwóch Scytyńczyków wywołują orgazm u siebie wzajemnie, używając swych długich języków. Rzecz jasna, penisem też trzeba się zająć, aby doprowadzić do ejakulacji, jednak gdy scytyński nastolatek mówi: *idę na całego*, to chodzi mu o francuskie pocałunki.

Tony oczywiście nigdy nie zgodziłby się, żeby przyprowadziła inną dziewczynę. Sama musiała dać sobie radę z tą tyką do fasoli, pomimo iż gardło dzieli od koguta dobre pięć stóp. Oznaczało to, że trzeba wybrać twardy sposób. Wzruszyła ramionami i zabrała go do jednego z pokoi hotelowych o zerowej sile grawitacji.

Scytyńczyk był gotów do wszelkiej współpracy. Przybrali pozycję 69 i szczepili się razem, tak by nie rozdzielił ich stan nieważkości. Wsunęła go sobie do ust - szczęśliwie ta część ciała Scytyńczyków nie była tak niewiarygodnie długa, jak cała sylwetka - a swą stopę włożyła mu do otworu jamy gębowej. Następnie, najlepiej jak tylko umiała, poruszała dużym palcem, pocierając właściwe miejsce.

Mimo znacznej niewygody, dzięki stanowi nieważkości udawało się jej utrzymać przez cały czas nogi w górze. Szczęśliwie jego sfery erogenne znajdowały się na górnej powierzchni gardła; w przeciwnym razie byłyby kłopoty z jej paznokciami u nóg. Wreszcie złapała właściwy rytm: w głąb swego gardła, przerwa na sekundę, potarcie dużym palcem od stopy, wypuszczenie z gardła aż głowa niemal odrywa się od warg, potarcie dużym palcem stopy, w głąb jej gardła i tak dalej. Wcale nie musiała martwić się o właściwy moment - po prostu trzymała swą stopę tam gdzie trzymała, dążąc do tego, by to Scytyńczyk dostosował pobudzenie do swych wymagań.

Zupełnie nagle poczuła w ustach intensywny, słony smak. Uniosła się i odsunęła we właściwej chwili, by Tony i agenci z ochrony zdążyli to zobaczyć, a ostatni wytrysk trafił ją prosto w oko. Sperma wyciekała jej z ust na jego falujący instrument; podtrzymywała ruchy stopy, do momentu, kiedy on sam zaprzestał falować. Była zupełnie wykończona, lecz cała promieniała radością sukcesu.

- Mogę polubić niskie kobiety - wypowiedział automatyczny tłumacz Scytyńczyka.

- To było doskonałe. Powinnaś kręcić filmy - przyznał później Tony.

- Znajdź mi producenta i operatora - powiedziała. - Chcesz się poddać z zakładem?

Wyszczrzył zęby w uśmiechu

- Nie ma mowy. Czeka już w kolejce Kanopańczyk.

- Och, Tony, tylko nie Kanopańczyk - jęknęła. - Miej serce.

- Chcesz zrezygnować?

- Nie. Robiłam już to z Kanopańczykami.

- Masz okazję to udowodnić.

Kłopot z Kanopańczykami nie polegał na tym, by trudno było doprowadzić ich do orgazmu. Była to tylko kwestia tego, jaka szanująca się istota ludzka zechciałaby to zrobić. Beth mówiła prawdę; rżnęła już kiedyś Kanopańczyków. Dwa razy. Za pierwszym razem nie była całkiem świadoma. Za drugim razem zgodziła się tylko dlatego, że klient wyrażał zgodę na b a r d z o wysoką zapłatę.

Tony skierował ją do Kanopańczyka, do jednego z apartamentów dla kierownictwa hotelu, z łazienką mieszczącą ogromną, zamontowaną poniżej posadzki wannę. Klient miał kształt wielkiej, amorficznej bryły, z wielkim otworem gębowym i oczyma umieszczonymi na cienkich antenkach, które mogły zwracać się niemal w każdym kierunku, podczas gdy całe ciało pozostawało w spoczynku. Gdzieś pod gigantycznymi zwałami tłuszczu, zwieszającymi się do podłogi, znajdowały się jego nogi i genitalia. Beth nie traciła czasu. Podniosła tę żywą kurtynę i wczołgała się do wnętrza jego ciała, ciepłej i obrzydliwie śmierdzącej.

Dotarła do płataniny nóg, jak u ośmiornicy, i znalazła pośród nich tę, która służyła jako narząd seksualny. Była ona nieco cieńsza od pozostałych. Starając się jak najmniej wdychać różnych woni

pochozących z wielu otworów, które miała nad głową, przystąpiła do działania.

Była to wyłącznie praca ręczna. Nigdy nie bywało inaczej. Miał orgazm w czasie krótszym niż dwie minuty. Beth zacisnęła zęby i pozwoliła, by wszystko ściekało po niej - nasienie, mocz, kał oraz kropelki zwykłego potu. Tak to się właśnie odbywa u Kanopańczyków. Kiedy są ze sobą, samiec i samica ich rasy, tak długo pobudzają się wzajemnie, aż następuje wypróżnienie z każdego ujścia. Sperma i jajeczka spadają w kałużę nieczystości, dochodzi do zapłodnienia, a zygoty wyrastają na dostarczonym przez rodziców materiale, jeśli chcą mieć potomstwo, lub - jeśli go nie chcą - pozwalają zarodkom wyschnąć.

Ze wszelkich zapachów wydzielin ciała, jakie kiedykolwiek Beth wąchała, te, które należały do Kanopańczyków były najgorsze. W końcu, przecież tylko żywili się swymi własnymi i pochodzącymi od innych gatunków wydzielinami. Niemal zemdląa, zanim wyczołgała się spod spodu. Co gorsze, wszystko kleiło się. Żeby pozbyć się tego, trzeba spędzić całe godziny pod prysznicem.

Nie wyobrażała sobie, by Tony mógł wymyśleć coś jeszcze gorszego. A jednak pomimo odrazy, triumfowała. Jeszcze jeden klient - i wygra zakład. Nie ma takiej możliwości, aby Tony wyskoczył z czymś gorszym niż to.

Następnego wieczora weszła do wskazanego pokoju hotelowego, gdzie przebywał już szczupły, ciemnowłosy młody człowiek, całkowicie wyglądem podobny do istoty ludzkiej. W gruncie rzeczy był przystojny. Ponownie sprawdziła numer pokoju.

- Hello, jestem Beth.

- Jestem Thamet - odpowiedział. Dostrzegła na jego szyi kołnierz urządzenia do tłumaczeń.

- Z jakiej planety pochodzisz?

- Jestem Kasjopańczykiem.

Skinęła głową. Nie człowiek, ale piekielnie blisko. Miała już ich dziesiątki. Nie bardzo orientowała się, co tym razem zamierzał Tony, ale był tylko jeden sposób, by się o tym przekonać.

- Okay, ptaszku. Zdejmuj ciuchy.

Zrobił to posłusznie. Dokładnie tak należałoby to nazwać. Wydawało się, że rozbiera się tylko dlatego, że go o to poprosiła. Stał na środku pokoju, czekając na następne jej polecenia.

Beth rzuciła swe majtki na stertę rzeczy i zmierzyła go wzrokiem. Kształtny, w dobrej formie, zdrowo wyglądający. Jego obcość przejawiała się kilkoma zaledwie różnicami. Miał zbyt wysoko umieszczony pępek, podobnie jak klatkę piersiową. Poza tym nie wzbudzał żadnych zastrzeżeń. Beth zaczęła podejrzewać jakiś podstęp.

- Zabieramy się do dzieła - powiedziała energicznie i uklękawszy uniosła mu koguta językiem. Pozostawiła go chwilę na nim, potem nawilżając śliną, powoli wsunęła sobie w usta.

Był ciepły i miękki, dokładnie taki, jak należy, działał na nią podniecająco. Mimo lat zawodowej praktyki, zawsze ją brało, gdy miała koguta w ustach. Wykazując doskonałe współgranie z jej podnieceniem, usztywnił się.

Dmuchała go przez jakiś czas, a kiedy nie doszedł do orgazmu wzruszyła ramionami, położyła go na łóżku i wspięła się na niego. Z początku próbowała pozycji tradycyjnej, długimi, mocnymi suwami w tę i z powrotem, uważnie wsłuchując się w jego oddech. Było jej dobrze, i z pewnością jemu także, ale stale nie następował finał.

Przybrała pozycję kuczną i energicznie wykonywała ruchy trące. Za każdym razem na przemian to prawie że ześlizgiwała się z niego, po czym wnikała głęboko, aż pal świecił mu się jak rozgrzany tłok. Nigdy w życiu nie trafiła dotąd na mężczyznę, który umiałby oprzeć się tym ruchom.

Jednak Thamet umiał. Reagował wyśmieniem i odwzajemniał wszystko, ale nadal nie miał orgazmu.

Odwróciła się plecami do niego i dalej próbowała. Do diabła, ta pozycja podziałałaby na osiemdziesięcioletniego staruszka. Tym razem jednak nie pomogła, a tylko całkiem ściерpły jej kolana.

Zaczynała odczuwać frustrację. Thamet w istocie rzeczy stawał się coraz bardziej wiotki.

Doszła do wniosku, że być może należy on do tych, którzy muszą sami narzucać rytm - pozwoliła jemu przyjąć pozycję na górze. Nie sprawiało mu to żadnej różnicy. Robił wszystko, cokolwiek mu polecała. Wydawało się jednak, że naprawdę szczerze się starał. Zmusiła się do odprężenia. Na pewno wszystko się dobrze skończy. Niektórzy chłopcy muszą mieć więcej czasu i nic poza tym. Będzie cierpliwa. Już było trochę lepiej. Ścisnęła go. Stał się twardszy.

- O to chodzi. Nie zatrzymujemy się, ptaszku. Dalej! - Zachęcała go wszelkimi znanymi sobie sposobami. Wykonywali ruchy trące, aż zaczęła odczuwać ból. W końcu nic już nie pomagało. Całkiem wyschła. Po jego erekcji nie było śladu.

- Poddaję się - jęknęła

- W porządku, Tony - powiedziała z rozgoryczeniem, kiedy siedzieli przy stoliku baru „Brzask”. - To był jakiś trik, prawda? Znalazłeś faceta z jakąś dysfunkcją.

- Nie - powiedział uprzejmie. - On mógł spokojnie mieć orgazm. Tyle tylko, że nie zastosowałaś właściwej techniki.

- Ale, ale. Jak to? Przerypałam wielu Kasjopańczyków. Żaden z nich nie oparł mi się.

- Takiego jak on dotychczas nie rypałaś. On jest szczególnej odmiany.

- O czym tym mówisz?

Tony uśmiechnął się figlarnie.

- Około pięciu procent Kasjopańczyków jest takich jak on. To empaci. Oni wczuwają się w uczucia innych ludzi. W istocie, właściwie swoich uczuć prawie nie mają. Po prostu ich odczucia są refleksem stanu umysłu ludzi wokół nich. Joey bez problemu go tu sprowadził. Thamet zrobiłby wszystko, czego od niego żądasz, jeśli tylko potrafisz skłonić go, by tak właśnie czuł. Nic więcej nie musiałaś zrobić, jak tylko przeżyć orgazm, wtedy i on miałby orgazm.

Ta prawda zaczęła boleśnie kołatać się w jej czaszce.

- Ten numer to był trik! Do diabła, przecież ja mogę mieć orgazm, kiedykolwiek zechcę.

- Lecz z Thametem za mocno skoncentrowałaś się na pracy. Nie miałaś czasu na swój orgazm, no to i on go nie miał:

Westchnęła. - Wygląda na to, że zafundowałaś sobie pięćdziesiąt dwa darmowe rżnięcia, Tony.

Jedno jest pewne, myślała Beth w drodze do jednego z pobliskich pokoi (w którym Tony zablokował wszystkie kamery nadzorujące): w każdym z tych pięćdziesięciu dwóch razy wiedziała, kto będzie miał orgazm p i e r w s z y.

Tylko ty

Alana obudziły ciche pomruki dochodzące zarówno z systemu wentylacyjnego, hak i z ciepłego, kobiecego ciała leżącego obok niego. Plansza zegara elektronicznego na przeciwległej ścianie uświadomiła mu, że minęła dopiero połowa czasu na sen.

Coś się zmieniło w pracy statku.

Rozpiął klamrę pasa i odepchnął łóżko. Nieoczekiwanie dla siebie znalazł się z powrotem na materacu. Od razu zorientował się, co go obudziło.

Była to subtelna, być może o wymiarze jednej dwudziestej jednostki, różnica. A jednak wyczuwalna w porównaniu z całkowitym brakiem przyciągania w ciągu minionych trzech tygodni. Zdziwił się, że nie zauważył tego natychmiast. Grawitacja. Przelotnie spojrzął na kobietę leżącą obok niego, wciągnął w nozdrza jej przyjemny, piżmowy zapach i wysunął się z łóżka, nie budząc jej.

Minął kilkoro drzwi i wszedł do centrum nawigacyjnego, gdzie znalazł technika Kuei i nawigatorkę Tarłę. Obie przykucnięte pokracznie pośród stosu wypalonych lub rozbitych konsoli, zbierały elementy zespołu przekaźników. W chwili powrotu grawitacji wszystko pospadało na podłogę. Obie kobiety poza uniwersalnymi pasami nie miały nic na sobie. Obie nagie piękności były szczupłe, miały bladozielonkawą cerę i ciemnozielone włosy. Ich twarze znaczył pot, tłuszcz i znużenie.

- Hello, Alan - słabym głosem odezwała się Tarla. Wydawało się, że niemal nie stać ją na wysiłek, by przemówić. Kuei niedbale skinęła głową, gdyż pochłaniało ją sprawdzanie sensorów ruchu, które były jej stałym wyposażeniem. Otarła sobie twarz z potu i powiedziała:

- To tylko wgniecenie, ale jednak zawsze coś. Nie chciałam, żebyśmy dostali większego obrotu, gdy statek jest w takim stanie. - Mówiąc to, odłączyła terminal z gniazda z tyłu szyi.

- Teraz zabierzemy się za powietrze na statku - obiecała Tarla.

Było nadal jak w tropiku. Tak bardzo mu to nie przeszkadzało, skoro nie byli już w stanie nieważkości, a jego genitalia po odzyskaniu właściwej wagi przestały pływać, układając się we wprawiające w zażenowanie wzory. Kobiety natomiast odzyskały właściwy kształt piersi, które poprzednio powiewały przed nimi jak balony na wodzie.

- W porządku - powiedział z przekonaniem. - Pracujecie doskonale.

Na ten komplement rozpromieniły się i porzuciły swe zajęcie. Uświadomił sobie, że będzie miał kłopoty. Już czuł zapach ich afrodyzjaka i widział jego działanie. Kuei klękła przed nim, podczas gdy Tarla oczekiwała na swą kolejkę z tak intensywną żądzą, że niemal przerażało go to. Alan pogodził się z myślą, że nieprędko będzie mógł wrócić do przerwane go snu.

Jedną ręką trzymał się za swego znękanego koguta, kiedy potykając się wchodził do izby chorych. Laura popatrzyła na niego współczująco.

- Boże, czy one nie pozwolą ci nawet spać? - zapytała.

Słabo przytaknął głową.

- Nie wiem, jak ja to wytrzymam, pani doktor. Wręczyła mu opakowanie koncentratu odżywczego i dopilnowała, by połknął, sprawdzając mu zarazem puls i szerokość źrenic.

- Na razie w porządku. Pilnuj się, żebyś dużo spał, młody człowieku.

Młody człowieku było jej ulubionym wyrażeniem. Właściwie Laura była nawet trochę młodsza od niego. Oboje mieli w granicach trzydziestki.

- Wracam właśnie do łóżka - odpowiedział. - Chciałem tylko sprawdzić, co z n i m.

Wskazał w odległy kraniec sali. Wewnątrz kopuły z pleksiglasu, w jednej z medycznych jednostek rekonwalescencyjnych, widoczna była postać nieprzytomnego dowódcy statku, Raya Feldona. Spowijał go żółtawy poblask regeneratora tkanek, a jego z natury mocnej budowy ciało przypominałoby teraz żalosne zwłoki, gdyby nie rytmiczne unoszenie i opadanie klatki piersiowej. Jedną rękę usztywniała mu szyna, tors zaś ukośnymi krechami znaczyły potężne blizny.

Jednak nawet z tej odległości Alan był w stanie zobaczyć, że od wczorajszego wieczora nastąpiła poprawa.

Niesamowite maszyny, te regeneratory. Gdyby udało się podłączyć do nich także pozostałych członków załogi, byłiby również uratowani. Bez tego nie mieli żadnej szansy. Nagły spadek ciśnienia daje się ludziom we znaki nieodwracalnymi następstwami.

Podczas ataku całą jednostkę bojową obróciło w perzynę. Tylko personel pomocniczy z lepiej chronionych części statku dowodzonego przez Feldona, jak właśnie izba chorych, wyszedł z tego bez uszczerbku. Pozostało ich w sam raz tylu, że byli w stanie razem połatać statek, zanim przestałby on nadawać się do dalszego zamieszkania.

Sytuacja była nadal poważna. Zniszczyli statek nieprzyjaciela, ale byli nadal w głębi wrogiego terytorium. Nie odważyliby się wezwać pomocy, nawet gdyby udało się przywrócić działanie sprzętu łączności dalekiego zasięgu. Mogliby podsłuchać ich niewłaściwi ludzie i nie dopuścić ratowników. Ich statek musiał wydostać się o własnych siłach - rzecz niewątpliwie trudna, przy nie działających silnikach.

Do czasu, gdy Feldon wróci do zdrowia, zadanie to spoczywało na jednym mężczyźnie i siedmiu kobietach. Z tym jednak, że sześć

spośród tych kobiet nie było istotami ludzkimi, i na tym polegał kłopot.

- Jeszcze co najmniej jeden dzień - oznajmiła Laura, wskazując na regenerator.

- O, Boże - jęknął. Laura zaczęła umiejętnie ugniatać jego usztywniony bark ciepłymi rękoma; była doskonałą masażystką. Trochę się odprężył.

- Chociaż ty możesz się obyć bez tego - westchnął z wdzięcznością.

- Cóż, przynajmniej na razie - mruknęła, a on wyczuł w tonie jej głosu coś zdecydowanie zabarwionego seksem. Na szczęście i dzięki Bogu, nie zamierzała z tym wyskakiwać. Obejrzał ją sobie. Była niska i mocna, wybitnie atrakcyjna, z odcieniem skóry i kolorem włosów, w których mieszały się najlepsze cechy południowych obszarów basenu Morza Śródziemnego z zabarwieniem afrykańskim. Pomijając fakt, iż była jego bezpośrednią przełożoną, gdyby miał wybrać tylko jedną kobietę na pokładzie statku, na pewno byłaby to właśnie Laura.

Jednakże, luksusem takiego wyboru nie dysponował. - Spotkamy się za kilka godzin - powiedział, udając się do łóżka.

Tym razem obudziło go uczucie, że jego kutas wślizguje się w wilgotną, smakowicie zwartą cipkę. To była J'ann. Alan musiał oddać to kobietom Suni, że natura przeszła samą siebie, tworząc ich gatunek. Były boginiami miłości. Olśniewające figury; idealny smak i zapach; natychmiastowe, pełne entuzjazmu pobudzenie erotyczne. Sam fakt, że Suni przeważały liczebnie pośród kobiet na pokładzie, wskazywał dobitnie na znaczenie statku *Valiant*. Z zachwytem przyjął skierowanie do personelu medycznego statku.

J'ann była z nich wszystkich najlepsza. Pompowała go od góry, szybko doprowadzając na skraj orgazmu. Kiedy wydawało mu się, że dłużej już nie wytrzyma, zaczęła coraz to mocniejsze i szybsze suwy, wbijając go w siebie, aż pulsował, nabrzmiewał i dyszał, lecz powstrzymywał ejakulację. Gdy przystosował się do tego rytmu i zaczynał być znowu gotowy, nagle zwalniała, wznosząc się za każdym razem tak wysoko, że sam koniuszek jego koguta ukazywał się pomiędzy fałdami jej warg, a następnie, wiele sekund później,

wbijala się tak głęboko, że ich włosy łonowe łączyły się. Zawsze wiedziała, jakie tempo jest najwłaściwsze.

- Widzę, że to lubisz - powiedziała.

Nie fatygował się odpowiedzią. Zbyt pochłaniało go oddychanie. Zastosowała nową taktykę. Za każdym razem, gdy się unosiła, sięgała po jego członek i chwytając go mocno dłonią robiła kilka suwów, a potem z powrotem wsuwała w swą cipkę. Takie połączenie miękkiej, wilgotnej tkanki z mocnym wnętrzem dłoni sprawiało, że przed oczyma tańczyły mu gwiazdy. Tylko w momentach, kiedy gubił się w rytmie oddechów, ratowała go, przestawiając się na kilka ostatnich chwil z cyklu piczka - dłoń na cykl usta - dłoń.

Wypstrykał się w głębie jej gardła. Połykała, wydając ciche pomruki zadowolenia, jednocześnie masując mu wał swym językiem. Usta zrobiły się jej ciemnozielone od ruchów frakcyjnych. Delikatne kropelki potu wisały jak perełki pomiędzy jej piersiami. Pomimo własnego upojenia i zachwytu, zdołał dostrzec zmianę w jej wyglądzie - to głębokie poczucie spełnienia, cechujące każdą Suni, w którym znajduje konieczne jej środki odżywcze, środki egzystencji. Teraz będzie z nią spokój; być może starczy jej to nawet na cały dzień. Oznaczało to, że martwić musiał się już tylko o pozostałe pięć Suni.

Laury nie było, korzystała bowiem z przerwy w służbie na sen, kiedy Alan przyszedł, aby sprawdzić stan Feldona. Wysunął z wnęki w ścianie sensor medyczny, ustawił go obok regeneratora, podłączył się i uruchomił urządzenia do wyszukiwania danych. Interfejs podjął pracę, wywołując znane brzmienie w uszach, niosąc ze sobą spokojną, kojącą logikę pracy mózgu statku. Na ekranie przed sobą Alan zobaczył migoczący wykres ciała Feldona, zakodowany we wspaniałych kolorach, które dla kogoś nie obeznanego z techniką medycyny kosmicznej byłyby nieczytelnym miazmatem. Alan był tak dalece kompatybilny, że nigdy nie miał pewności, czy dane powstają bezpośrednio w jego korze mózgowej, czy też otrzymuje je drogą wizualną z ekranu.

Wydając mentalny rozkaz do komputera, regulował obraz tak długo, aż układ krążenia ukazał się w tradycyjnych barwach - czerwieni i błękitu. Sprawdził liczbę białych ciałek krwi, ciśnienie

krwi i wskaźnik krzepnięcia. Szczególnie wiele czasu poświęcił okolicom złamanych kości, szukając jakichkolwiek objawów infekcji lub gangreny. Wszystko było w porządku. Zadowolony wyłączył urządzenie, rozłączył przewody z tyłu szyi i udał się do pozostałych członków załogi naprawiających silnik.

Alan dokonywał przeglądu tylnej części statku, wzdłuż osi centralnej, w kierunku siłowni. W miejscu, gdzie przed atakiem były cztery silniki w podwieszonych pod skrzydłem gondolach, teraz pozostał tylko jeden i szczątki drugiego. Wokół rumowisko. Wskutek rotacji statku, złom wydawał się orbitować ponad głowami dwu osób pracujących przy nie naruszonej gondoli. Otworzyły boczną panelę i manewrowały tak, by wydostać mini - puter ze znajdującej się wewnątrz wnęki. Ich jednolite kostiumy kosmiczne nie pozwalały na identyfikację, ale Alan i tak wiedział, że były to Sharn i Heva, które wraz z Kuei były jedynymi ocalałymi techniczkami obsługi inżynierskiej.

Alan miał kochankę Suni, która zginęła w chwili, gdy podczas ataku trafiono w gondole. Nie miał czasu, by boleć nad stratą. Żałoba musi poczekać, aż on i inni pozostali będą mieć pewność, że sami przeżyją.

Tarla i J'ann były już tam w chwili, gdy przyszedł Alan. Wszyscy oni patrzeli w milczeniu i nikt nie ośmielił się spekulować, jakie będą ustalenia zespołu, który miał dokonać w przestrzeni oględzin statku z zewnątrz. Od tego silnika zależało wszystko.

Dwie osoby z zespołu wspinały się wzdłuż osi statku, przenosząc mmi - puter z powrotem, w kierunku jedynej działającej sprawnie śluzy powietrznej. Swobodne spadanie przekształciło je w tancerki, które unoszą się na swej drodze w powietrzu popychane stopniowo przez odrzutowe jednostki manewrowe. Obserwatorzy spotkali się z nimi przy wrotach śluzy powietrznej.

Kiedy wrota otwarły się, Sharn była już bez hełmu.

- Wygląda dobrze - oznajmiła pocieszająco, trzymając mini - puter z jednej strony. Przy lekkiej grawitacji niemal nie wypadł jej z ręki.

Gwałtownie skończyła się cisza. Zespół techniczny był pełen pomysłów i planów naprawy. Istniała jakaś nadzieja. Ustalono już, że ocalały silnik miał nie naruszoną strukturę; jeżeli uda się przywrócić mu funkcjonalność, będą mieli szansę. Alan przeżywał ulgę ze spokojem; czekał na kobiety. Wkrótce będą go potrzebowały.

Tak Sharn, jak i Helva wyglądały opłakanie, jeżeli w ogóle można użyć tego słowa wobec którejkolwiek Suni. Wokół oczu uwidoczniły się drobne zmarszczki, a bujna zieleń ich cery całkiem wyblakła do zabarwienia szartrezy. Ostatni raz miały go wczoraj rano. To nie wystarcza żadnej Suni, zwłaszcza - jak w przypadku tych dwu - kiedy narażone są na wpływ stresu i ciężką pracę. Zauważywszy go, odstawiły mini - puter na bok i zaczęły wydostawać się ze swych kosmicznych ubrań. Tarta i J'ann dyskretnie zabrały się do innych zadań. Obie niedawno były z Alanem; byłoby więc z ich strony nie fair chcieć go znowu tak szybko.

Znaleźli sobie pobliski salonik. Alan usiadł pomiędzy nimi. Podczas gdy Helva podsunęła mu do ust swe cycy, Sharn zajmowała się dolnymi partiami. Brodawka sutkowa była twarda, pokryta gęsią skórą i podnosiła się wraz z każdym dotknięciem jego języka, a piersi wypełniały mu nozdrza zapachem potu, który go bardzo pobudzał. Gorące wargi drażniły czubek jego koguta. Dwie Suni jednocześnie. Jeżeli przeżyje i będzie mógł o tym opowiedzieć, to pozazdroszczą mu wszyscy mężczyźni we Flocie.

Biologowie nie mieli całkowitej pewności, dlaczego samice Suni ewoluowały z tak przemożną żądzą seksu. Jak sądzono, mogło to być wynikiem tego, że na każde pięć urodzeń przypadały trzy samice Suni, a tylko dwóch samców; na to nakładał się fakt, iż ich rodzinną planetę pierwotnie opanowały drapieżniki, które gustowały w mięsie Suni. Rzeczą najwyższej wagi była zatem szybka reprodukcja, a samice musiały odznaczać się nieprzepartą atrakcyjnością, by móc konkurować z innymi. W każdym jednak razie, poczynając od pokwitania współczesna kobieta Suni zmuszona była kopulować prawie codziennie, a zwalniały ją od tego tylko ciąża lub menopauza. Był to unikalny fenomen hormonalny, któremu nie mógł skutecznie przeciwdziałać żaden z kiedykolwiek wynalezionych środków medycznych.

W całej cywilizacji galaktycznej kobiety Suni znano jako najlepsze prostytutki i profesja ta przyciągała wiele z nich. Jednakże me wszystkie. Gatunek ten był także uzdolniony na inne sposoby; jeden z jego talentów polegał na uderzająco silnej kompatybilności z puterami. Mogły one przyłączać się interfejsem prawie bez wysiłku. Stąd też istniało na nie duże zapotrzebowanie jako personel techniczny i nawigacyjny, i dlatego właśnie tak wiele z nich znajdowało się na pokładzie *Valianta*. Wyłącznie takiej załodze zawdzięczać należy fakt, że możliwe stało się ocalenie statku.

Sharn dosiadła go i całkowicie wprowadziła w siebie. Wykonywała zręczne, szybkie suwy, z ogromną pewnością siebie. Helva była z tyłu Alana, owinięta wokół niego, ręce trzymała na szyi Sharn. Gdy osiągnął spełnienie - mimo wyczerpania, pełnymi satysfakcjonującymi strugami - obie Suni karmiły się jego orgazmem. Wcale nie chodziło im o fizyczną ejakulację. Konieczne im środki egzystencji czerpały z jego emocjonalnego wyładowania. Zasadzało się to na bezpośrednim kontakcie.

Od Alana zależało wszystko. Bez niego Suni nie przeżyłyby. Gdyby Suni nie ocalały, nie byłoby nikogo zdolnego do naprawy statku i wszyscy musieliby umrzeć. Wyłącznie orgazm samca zapewniał Suni właściwe pożywienie. Były one niezmiennie hetero. O ironio, żadnego znaczenia nie miał fakt, czy byłby to samiec Suni, czy jakiegokolwiek innej rasy ludzkiej, czy też nawet pozaludzkiej - ale musiał nastąpić orgazm. Wstępna gra miłosna nie zdawała się na nic.

Sharn podniosła się, z jej cipki zwieszało się pasemko nasienia. Językiem omiotła jego wilgotnego koguta i uśmiechnęła się. Zaraz poprawił się jej wygląd, a policzki nabrały blasku. Otrzymała wprawdzie tylko pół dawki odżywcze, gdyż musiała ją dzielić z Helwą, ale na razie to wystarczało.

Alan był zdumiony. Chętnie zrobiłby to jeszcze raz. Przypomniawsobie pierwszych kilka dni, kiedy wszyscy biegali gorączkowo w kosmicznych ubraniach, próbując zatkać każdą dziurę w powłoce statku. Za każdym razem, gdy któraś z Suni osiągała stan desperacji, musieli robić przerwę i udawać się do jednej z hermetyzowanych komór. Wydawało mu się, że od czasu aż wszystko uszczelnili, już się to nie będzie powtarzało.

- Na razie - uśmiechnęła się Sharn.

Laura wpadła do izby chorych z takim entuzjazmem, że głową niemal dotykała sufitu: Ledwo opuściła się w stronę podłogi, a już trzymała Alana w ramionach.

- Działa, działa! - chichotała, całując go.

- Co działa? - zapytał, jak tylko pozwoliła mu złapać oddech.

- Mini - puter silnika - skakała z radości na czubkach palców.

- Chodź, robimy małą uroczystość w głównym saloniku.

- Teraz? - zapytał Alan, wskazując w stronę regeneratora, gdzie pracował w chwili, gdy pojawiła się Laura. Lokator regeneratora spokojnie spał.

- Tak. No chodź! - chwyciła go za nadgarstek i pociągnęła za sobą. Przeszli krętymi korytarzami, nadal pełnymi szczątków i śladów zniszczeń, aż przybyli do dużej, słabo oświetlonej komory.

Alan wyteżył wzrok i rozpoznał mini - puter na samym środku sali. Przewiązany był jasnoszkarłatną kokardą. Kontrolne lampki migwały, demonstrując prawidłowe działanie zespołu obwodów elektrycznych. Powietrze wypełniał zapach wina i kadzidła. Na skraju sali, kusząco ukryte w cieniu, znajdowały się wszystkie sześć Suni ze statku, ubrane w lekkie nieprzemakalne peleryny, które przy każdym poruszeniu wydawały odgłos przypominający szept.

- Widzisz? - Laura uśmiechała się, wskazując mini - puter. Z trudem przyszło mu uwierzyć. Cały czas żywił nadzieję, ale nie pozwolił sobie, by się całkowicie od niej uzależnić.

Miał ochotę tańczyć.

- Ile czasu potrzebujemy, żeby przedostać się w przyjazne przestrzenie kosmiczne? - spytał szybko.

- Należy trochę wzmocnić statek - powiedziała Kuei. - Ale i tak musimy być bardzo ostrożni i powoli przyspieszać. Wątpię czy zdołamy przeciągnąć statek. Powinniśmy przebyć tę drogę w mniej niż trzy miesiące.

Mimo wszystko dotrzemy, pomyślał z wdzięcznością Alan. Przed oczyma stanęły mu szczęśliwe chwile i tylko marginalnie zauważył, że kobiety szybują w jego stronę, z rozszerzonymi od emocji źrenicami. Ich cienkie, przezroczyste jak mgiełka stroje opadły, odsłaniając sześć par zuchwałych piersi, wąskich talii, błyszczących warg. Laura także - ciepłe, brunatne wyobrażenie piękna. Wszystkie zgłodniałe.

Trzy miesiące?

J'ann uklękła i zanim się zorientował, lizała mu jądra. Tarla stała za nim, czuł lekkie ugryzienia na obu pośladkach. Laura robiła to samo z jego małżowinami usznymi.

- Czekajcie - powiedział.

Nie zamierzały słuchać. Helva, Sharn i Meila przyłączyły się do nich. Dłuższą chwilę zajęło mu przekonanie ich, że nie żartuje.

- Zaraz wrócę - oznajmił, a jego kogut w momencie, gdy się odsuwał, wyskoczył z ust J'ann.

Pospieszył z powrotem do izby chorych, gdzie podszedł od razu do generatora. Laura mu dała mu dość czasu na przekazanie najnowszej wiadomości. Szybko uzyskał dostęp do rozkazów, a po chwili uniosła się pleksiglasowa kopia urzędnika. Dowódca Feldon otworzył oczy i chwajnie uniosł głowę. Był cały, bez śladu obrażeń, jak nowy.

- Och, jak się cieszę, że cię widzę - oznajmił Alan. Feldon spojrział tylko na regenerację i zaraz zdał sobie sprawę, co się z nim działo.

- Zwyciężyliśmy? - zapytał.

Alan przytaknął.

- Jak statek? - Feldon spytał z obawą. Został on już poważnie uderzony, zanim nastąpiło zniszczenie kwatery dowodzenia.

- Perspektywy są coraz lepsze - odrzekł Alan - ale nie uwierzysz, co będziemy musieli zrobić, żeby wrócić z powrotem do domu.

M. DEAN BAYER

Lot kosmiczny

Wyszedł na balkon i spojrzał na statek o srebrnym dziobie i czarno - żółtych skrzydłach. Wyglądał jak jakiś jaskrawy insekt: mały, lśniący, kolorowy giez koński. Jutro, pomyślał. Jutro, znajdzie się w głowie tego insekta i udam się nim poza zasięg blasku światła, w nieznane. I to nieznane stanie się dla mnie znanym. Dla mnie, Jasona Marlina, pierwszego astronauty, który przebiję przestrzeń i czas poprzez czarną dziurę. Bardzo mu to odpowiadało; że może przyglądać się wehikułowi, który ma wynieść go na wieczność w przestrzeń kosmiczną w mgnieniu oka; że może nadzorować to, co ma mu przynieść wieczną sławę: Tak, to on właśnie stanowił początek nowej ery.

- Jason - zawołała Maria - wracaj do łóżka.

Odwrócił się i spojrzał na nią, leżącą w łóżku, skąpaną w miękkim świetle lampki na stoliku. Była ciemna i wspaniała, wywoływała uczucie tęsknoty do niej, podobnie jak gorąca czekolada kusi spragnionego w chłodny, grudniowy wieczór.

Jason był nagi i wiedział, że to go zdradza. Miał taki nastrój, że najchętniej udawałby brak zainteresowania, jednak statek kosmiczny już schodził na dalszy plan, a jego miejsce zajmowała kusząca maszyna zupełnie innego rodzaju. Jego pal wskazywał na Marię, jak rodzaj kompasu pożądania, który szuka szczególnego typu rzeczywistego północnego bieguna. Kogut podrygiwał mu delikatnie w oczekiwaniu na stanowczy krok, który miał niebawem nastąpić. Maria uśmiechnęła się, kalkulując jego myśli.

- Co powiesz na ponowne wejście?

- Odbiór - odpowiedział, opuszczając balkon dla ciepła łóżka i jeszcze większego ciepła pomiędzy jej udami.

W dotyku była miękka jak jedwab. Posuwał palcami w dół jej długich, mocnych nóg z dręczącą powolnością, jak gdyby możliwe było spijanie jej stężonej zmysłowości przez pory jej skóry.

Wydała pomruk o miłym brzmieniu, jak miękkie mruczenie zadowolonej kotki. Jego dłonie przesuwaly się po niej w góre i w dół, pieściły kuszące krągłością pośladki, zaś opuszki palców wodziły wokół przestrzeni pomiędzy pośladkami, zbliżając się do punktu zerowego. Mimo iż ciało jej leżało do niego pod kątem, czuł ciepło promieniujące z cipki, a zręcznie wyciągając rękę był w stanie pocierać nią o jej wzgórek łonowy i od tyłu dosięgnąć źródła tego ciepła. Wsunął swój palec wskazujący w tę wilgotną, zachłanną dziurkę, a kiedy go wyciągnął, pokryty był jej ciepłym, lepkiem śluzem. Ten zapach sprawił, że jego pal przeszły dreszcze.

- Przeleć mnie - powiedziała Maria i zaczęła powtarzać te słowa, ale pocałunkiem zamknął jej usta i słowa zamarły. Przesunęła swe dłonie w dół pomiędzy ich ciałami i ujęła jego wał, objęła delikatnie, a jej długie paznokcie falowały na całej jego długości. Wreszcie uchwyciła koniec pala i ścisnęła. Z potężnego instrumentu wypłynął płyn lubrykacyjny i kroplami spłynął między jej palcami. Odsunęła dłonie, włożyła je do ust, wylizując i wysysając palce, jak zachłanne dziecko roztopione w dłoni lody.

- Przeleć mnie - powiedziała. Zignorował ją.

Popchnął ją na plecy i ujął jej piersi, po jednej w każdą dłoń, uciskając tak, że przylegały, do siebie, a brodawki niemal stykały ze sobą. Zbliżył usta i ssał brodawki, najpierw po jednej, a następnie przyciągając je bardzo blisko siebie, obie równocześnie. Musiał mocno napierać, aby zapobiec wyskoczeniu wielkich sutków z jego dłoni i ich powrotowi na zwykłe miejsce.

Maria zaczęła manipulować miednicą w słodkim oczekiwaniu, a brodawki pod jego językiem nabrały twardości kamienia.

- Przeleć mnie - błagała. - Przeleć moje cycki.

Jason dosiadł jej w rozkroku, umieścił swój długi, nabrzmiwały, pokryty siatką niebieskawych żyłek wał pomiędzy jej piersiami, a Maria przyciągnęła je ściśle do niego.

- Przeleć mnie - powtórzyła, a Jason zauważył, że oczy błyszczą jej z pożądania.

Wyciągając się jak długi, Jason zaczął rypać powstały między ciasno przylegającymi sutkami substytut dziury. Jej ciepłe cycki i

gładkie ciało wywoływały w nim fale ekstazy. Czubek jego nabrzmiałego pala delikatnie poszturchiwał

Marię pod brodą, pozostawiając tam malutkie kropelki płynu lubrykacyjnego.

Przyciągnąwszy brodę w dół klatki piersiowej, Maria przyjęła kolejne pchnięcie w swe usta. Jason w chwili, gdy wysuwał się z jej ust, zatrzymał sam koniuszek koguta między jej wilgotnymi wargami. Ciepło jej ust i wypady długiego, miękkiego języka - tego wyrzec się nie mógł, byłoby to dla niego zbyt wielkim poświęceniem. Zaczął powolne obroty biodrami, wspierając się na wyprostowanych rękach.

Maria wyswobodziła sutki, ażeby przestały już obejmować jego członek. Nie miał nic przeciwko temu, zupełnie wystarczały mu jej usta.

Rozszerzając nogi i mocno zapierając się o łóżko palcami obu stóp, Jason zaczął energicznie pompować jej usta. Pochylał głowę w taki sposób, że widział, jak jego pal wsuwa się, a po chwili wysuwa z jej zmysłowych warg. Coraz to głębiej wpychał się w nią.

Maria położyła dłonie na jego pośladkach, wnikając w rowek między nimi swymi paznokciami, jak chwytnymi haczykami, i przyciągała go w dół. Coraz to silniej i silniej, aż jego wielkie orzechy rytmicznie uderzały poniżej jej brody, wydając odgłos lepkich klaśnień.

Jason czuł ogień w jądrach, a potem lawę, która ma zaraz opuścić wulkan. Jego pal wnikał co rusz to głębiej i głębiej w jej usta i dalej, do gardła. Jądra uderzały z coraz to głośniejszym odgłosem. Na dnie żołądka, w jądrach, czuł nasilającą się burzę, która lada moment znajdzie sobie ujście z siłą huraganu.

W końcu eksplodował, sztorm zamienił się ponownie w wulkan wyrzucający gorącą, białą lawę w głąb gardła Marii, przepełniając jej usta.

Jason jęknął. Maria jęknęła.

Jason wykonał kilka ostatnich mocnych ruchów trących pomiędzy jej wargami, a potem wolno, wolniutko wyjął członek. Usta

Marii całkowicie wypełniało jego nasienie, które teraz połykała, oblizując wargi i zlizując drobne kropelki, ciekące jej po brodzie.

Jason zszedł z niej i położył się na plecach. Maria poszybowała w dół jego ciała niczym wąż, a jej usta zawładnęły jądrami, które zaczęła wysysać, jak gdyby wyciskała sok z pomarańczy.

Nie chciał uwierzyć, ale znowu robił się sztywny. Ta kobieta była niewiarygodna.

Kiedy osiągnął erekcję, wzięła w usta koniec jego pala, krótko ssła, po czym podniosła głowę w taki sposób, że jego długi wał pokazał się jej pod brodą i wskazywał na nią jak nabrzmiały palec bez paznokcia.

- Przeleć mnie - powiedziała wreszcie.

- Kochanie - odpowiedział - masz ograniczony zasób słów, ale za to skutecznych.

Pochylił się, ujął jej głowę w swe dłonie, przyciągnął jej ciało ku sobie i przełożył na plecy. Uśmiechając się, szeroko rozłożyła nogi.

Pozwalał swym oczom nacieszyć się widokiem cudownych piersi, płaskiego brzucha i mocnych ud, po czym skierował dłoń na wzgórek łonowy, zagłębił się aż do lechtaczki, opierając dłoń na jej pośladkach. Przesunął dłoń do góry, a jej szparka zdawała się otwierać, by ją połknąć. Kiedy z powrotem usunął dłoń, przyglądał się, jak szpara znowu się zwierza. Srom zmałał, by na jego oczach ponownie nabrzmieć. Ta kobieta miała niewiarygodne zdolności kontrolowania mięśni.

Pieścił jej pośladki; przesuwał dłoń pomiędzy nimi a sromem, na końcu palców nawijał sobie jej włosy, dotykał wilgotnej, ciepłej, różowej tkanki jej cipki. Pomiedzy kciukiem a palcem wskazującym miał jej lechtaczkę i masował ją. Jęknęła, a jej biodra zaczęły kołysać się i napierać w oczekiwaniu. Wyglądało to tak, jak gdyby pod nią znajdowały się wielkie dłonie, które unosiły ją, oddając mu w ofierze jej piczkę.

Zaakceptował tę ofertę.

Gdy wspiął się pomiędzy jej wspaniałe nogi, poczuł ciepło jej ud i promieniowanie gorączki jej łona, niemal stracił na moment kontrolę

nad sobą. Wydawało mu się, że zaraz nieodwołalnie zacznie spuszczać się na jej brzuch. Wytrzymał jednak, przekonując swe ciało, że czekają je większe rozkosze, na które warto jeszcze trochę poczekać.

Końcem pała pocierał w górę i w dół jej miękki brzuch i wzgórek łonowy.

- Przeleć mnie - powiedziała. - O, Boże, przeleć mnie. Zaczął pocierać końcem koguta o jej pępek.

- Już nie mogę dłużej - jęczała. - Przeleć mnie.

- Możesz - odpowiedział, krztusząc się od śmiechu. Pochyliła się gwałtownie, chwyciła jego wał i przycisnęła do swej dziurki. Była ona tak gorąca, że poczuł ogień w kutasie. Tego już nie mógł przetrzymać. Z głośnym jękiem wszedł w nią.

Było to porównywalne z kryciem samicy przez dzikiego, nie ujeżdżonego konia. Tarzali się po całym łóżku, niemal spadając na podłogę. Maria dziko wyginała się w łuk, wbijając paznokcie w jego plecy, podnosząc nogi tak wysoko, że Jason miał doskonały, głęboki dostęp do jej krocza.

- Mocniej! - krzyczała. - Mocniej! Mocniej! Mocniej! - Jest dobrze, kochanie? - zapytał Jason.

- O, Boże - powiedziała. - O, Boże. Nikt mnie tak jeszcze nigdy nie przeleciał. Nikt. Przeleć mnie. Mocniej, mocniej! Wówczas posuwali się wolniej, zachowując siły na później, przedłużając chwile ekstazy.

Po jakimś czasie Maria ponownie podjęła tempo i znowu opanowała ich szybka, miękka pasja.

- Ja... już... - wyszeptała Maria. - Już, o Boże, już.

- Okay, kochanie. W porządku - powiedział Jason, pompując jej dziurę w rytmie staccato, oferując jej każdy cal swego długiego, twardego pała.

Maria pochyliła się gwałtownie, krzyknęła i zadrżała. Jason zaczął opętane suwy i tuż po jej orgazmie wyładował się, wypełniając jej słodką, małą piczkę po sam brzeg.

Leżeli razem przez dłuższy czas obejmując się wzajemnie, pocierając łagodnie swe ciała, wspominając zapamiętane te kilka minionych chwil.

- Wrócisz do mnie, prawda? - zapytała Maria.

- Oczywiście - odpowiedział Jason. - To jest rutynowa misja.

- Rutynowa? Jesteś pierwszy.

- Robiliśmy już podobne rzeczy.

- Gówno prawda - powiedziała. - Nie robiliście. - Nic mi nie będzie.

- Nikt dotąd nie dokonał wejścia poprzez czarną dziurę. Mrugnął do niej.

- O, wszystko jedno.

- Nie o to mi chodzi. Bądź poważny.

Przyciągnął ją do siebie i delikatnie pocałował w ucho. - Wrócę. Możesz być tego pewna. Ta wyprawa posunie człowieka o całe wieki w lotach kosmicznych. Dzięki czarnej dziurze pokonamy biliony, biliony mil - inną metodą na tę odległość trzeba by wieków. Są tam wszelkiego rodzaju obce światy, a ja chcę być pierwszy. Ale wrócę do ciebie, kochanie. Nadąsana powiedziała:

- A jak czuję się samotna? Uśmiechnął się.

- Zostawiam ci mój wibrator.

- Ach, ty - powiedziała odsuwając się od niego. Złapała swą poduszkę i przysunęła się z nią w jego stronę.

Śmiejąc się wyszedł z łóżka, a ona dla zabawy goniła go po pokoju przez całe pięć minut.

Znowu poszli do łóżka, kochając się raz za razem. Wreszcie zasnęli, a przed świtem on obudził się na krótki numer, potem śniadanie, pożegnanie we łzach i wyjazd.

*

Statek kosmiczny był prawdziwym cackiem. Unosił się w przestrzeni jak ogromny insekt, jak polujący na zdobycz niebiański owad. Metoda czarnej dziury sprawdzała się i pozwoliła mu pokonać

galaktyki z łatwością doskonałego napastnika, strzelającego gola na boisku.

Wkrótce po przedostaniu się przez czarną dziurę odebrał sygnał na urządzeniach pomiarowych. Wskazywały one, że zbliżał się do planety potężnych rozmiarów, znacznie większej od jakiegokolwiek innej w systemie Drogi Mlecznej. Z monitora odczytał, że planeta ma atmosferę podobną do ziemskiej i będzie mógł oddychać jej powietrzem. Jednakże siła grawitacji była tak duża, że bez dokonania korekty urządzeń grawitacyjnych, rozgniotłaby go wraz z jego statkiem jak pluskwę.

Namierzając położenie statku i sprawdzając swój kombinezon zapewniający regulację składu powietrza, dostosował siłę grawitacji do siły przyciągania olbrzymich planet. Był już w stanie zbadać je, ciesząc się komfortem chodzenia jak po Ziemi.

Wkrótce obraz planety zajmował niemal cały wskaźnik radarowy, który zaraz potem w ogóle przestał być konieczny. Planeta, jak wielkie czerwone jabłko, wisiała przed nim w ciemnościach. Była piękna.

Wkrótce jego statek z wyłączonym zasilaniem obniżał się nad planetą, a przyrządy wyszukiwały równej powierzchni do lądowania. Gdy wreszcie zlokalizowane zostało właściwe miejsce, okazał się nim obszar dużej, białej formacji, w samym centrum zadętej przez rozległą, ciemną dolinę. Jason wybrał na lądowanie punkt na stosunkowo płaskim terenie, tuż powyżej doliny.

Zbliżając się do miejsca lądowania, zauważył, że dolina jest bardzo głęboka, ale jej dokładne zbadanie postanowił odłożyć na później. Na razie myślał o zatknięciu flaga Stanów Zjednoczonych i zgłoszeniu tego wielkiego kroku w rozwoju programu kosmicznego.

Przygotowywał się do włączenia silników hamujących, kierując się na lądowisko. Statek osiadł już w miejscu, gdy teren pod nim zadrżał, a następnie gwałtownie pochylił się na lewą stronę. Odczuł, jak nad dolinę przybywa statek z uzbrojeniem raketowym, rzucając gigantyczny cień, który przesłonił cały widok. Co było dale, nic więcej już nie wiedział.

*

- Do licha, chyba jeszcze nie wypstrykałeś się, co? - powiedziała hoża blondyna, na której leżał. - Jak dotąd jeszcze się nie spisałeś.

- Miej wzgląd na sytuację. Dopiero wszedłem. Coś mnie użarło w tyłek, to wszystko.

- Pikniki i insekty - powiedziała blondynka zdesperowana. - Chcesz środek przeciwko owadom?

- Nie - odpowiedział mężczyzna, z obrzydzeniem strzepując z palców srebrno - czarno - żółtą papkę. - Dorwałem tego małego skurwiela. Teraz cię przelecę.

Przepustka na urlop

Statek gwiazdny zawisł na orbicie wokół Deneba IV, wślizgując się w przestrzeń jak mewa na bryzie leniwego oceanu. Pomocnik bosmana Joe Warner obserwował w dyżurce planetę, ukazującą się na ekranie. Miała kształt cienkiego półksiężyca, niebieskawe zabarwienie, z prążkami formacji białych chmur, gdzieś tam poprzetykanych brązem i zielenią kontynentów. Na tle nocy światła miast błyszcząły jak malutkie perełki. Nigdy dotąd nie widział bardziej ponętnego widoku. Nie tylko dlatego, że był piękny, ale przede wszystkim dlatego, że pierwszy raz po pięciu długich miesiącach nudnej służby patrolowej przybywali z wizytą do przyjaznego portu.

Joe odczekał, aż orbita zostanie zablokowana, zanim skierował uwagę na wykaz dyżurów. Ekran wypełniała długa lista nazwisk. Przez ułamek sekundy uległ panice, kiedy nie mógł w spisie znaleźć swego nazwiska. Jednak zobaczył je z ulgą we właściwym miejscu według porządku alfabetycznego, pod nagłówkiem **R&R**, 72 godziny. Wpatrywał się w pozwolenie przez pełne trzy minuty, a potem wywołał je jeszcze raz na ekran. Było tam naprawdę.

Chorąży udzielił mu zezwolenia na opuszczenie dyżurki dopiero, gdy połączył się z nim wewnętrznym telefonem.

- Al. Tu mówi Joe - zaczął, nie panując nad podnieconym głosem. Natomiast w głosie z drugiej strony drutu brzmiało rozbawienie.

- Wiem. Widziałem wykaz. Przepustka na ląd - Deneb IV. Na co czekasz? Spotkamy się w izbie chorych.

Joe dosłownie przebiegł całą drogę, a mimo to Al był pierwszy. Szeroki na miłą uśmiech i jasnorude, splątane włosy nadawały Alowi po trosze wygląd cyrkowego kłowna. Obaj dołączyli do kolejki żołnierzy i podoficerów oczekujących na zaświadczenie służb medycznych o odbyciu wszystkich, właściwych dla tego świata, szczepień. Wyszli pierwsi dwaj, których już pomyślnie załatwiono, spiesząc się i wymachując swymi uaktualnionymi kartami zdrowia. Wzbudzili powszechną zazdrość wśród pozostałych czekających i przyglądających się. Te karty były na wagę złota - musiał je mieć każdy członek załogi, zanim można mu było wystawić urlopową przepustkę na ląd.

- Joe, słuchaj, mój chłopcze - powiedział Al, ściskając swemu towarzyszowi ramię. - Jeszcze godzinka, a pokażę ci, dlaczego Deneb IV jest rajem w kosmosie.

Joe upewnił się pospiesznie, czy nikt nie patrzył. Czuł się zażenowany, kiedy Al zgrywał starszego brata. Był jednak bardzo pomocny. Al był zawodowcem w służbie kosmicznej i znał już każdy z portów w całym sektorze patrolowym. Joe miał dopiero dwadzieścia lat i brał udział w swej pierwszej w życiu wyprawie.

- Z jakiego powodu Deneb IV to coś specjalnego? - dopytywał się asystent pokładowy.

Al uśmiechnął się. - Z powodu religii.

*

Transporter dowiózł ich na sam skraj wielkiego centrum handlowego na otwartej przestrzeni w jednym z większych miast. Joe wciągał w nozdrza zapach świeżego cementu, świeżo ściętej trawy i gołębi - wonie, o których zapomniał podczas długiej wyprawy. Niebo było błękitne, a temperatura umiarkowana. Zupełnie tak samo, jak na Ziemi. Zatrzymał się na chwilę i przypatrując się z bliska stwierdził, że fruwające w tę i z powrotem ptaki wcale nie były gołębiami.

„Dęby" w pobliskim parku miały czerwone żołądźcie. No i z całą pewnością żadna z kultur na Ziemi nigdy nie stworzyła takiej architektury, która teraz go otaczała. A mimo to, przez moment, czuł się jak w domu.

- Chcę się upewnić, czy ja to dobrze zrozumiałem - powiedział Joe, kiedy zbliżali się do małej kawiarenki z ogródkiem. - Kobiety z planety Deneb IV lubią rypać mężczyzn z kosmosu z powodu religii?

- Zgadza się - odparł Al, prostując sobie kołnierzyk. Wyglądał świetnie, ubrany na niebiesko, a jednak Joe z łatwością przyćmiewał go dzięki szerokim ramionom, szczupłej talii i gładkiej, naturalnie młodej twarzy. - Denebianki uważają antykoncepcję za grzech śmiertelny. Jakiegokolwiek środki kontroli urodzeń są tu zabronione. Tylko kalendarzyk albo stosunek przerywany, albo nic.

- To barbarzyństwo.

- Fakt - powiedział Al z uśmiechem - ale to działa na korzyść twoją i moją: Oni tutaj wyglądają prawie tak, jak ludzie, jak ty czy ja, ale w głębi tak naprawdę są trochę inni. Na tyle, by oznaczało to, że nie jesteśmy w stanie mieć z nimi potomstwa. Możesz przelecieć z tysiąc Denebianek, a żadna z nich nie zajdzie w ciążę.

- Dlatego ludzie z kosmosu mają u nich wzięcie, bo wiedzą, że są z nimi bezpieczne.

- Właśnie tak. - Znaleźli wolny stolik w kawiarni.

- Posiedzimy sobie tutaj trochę. Zobaczysz, o co mi chodzi.

*

Popijali kawę - prawdziwą kawę, importowaną z Ziemi jako specjalny poczęstunek dla klientów z przestrzeni, a nie jeden z tych okropnie smakujących substytutów, które Joe musiał znosić w wielu innych restauracjach obcych światów - kiedy weszły dwie olśniewające, młode kobiety i pomknęły do krzeseł przy sąsiednim stoliku. Joe rzucił przelotne spojrzenie na długie, opalone i delikatne nogi, zanim zasłonił je obrus. Po pięciu miesiącach bez kobiety sam widok kolana wystarczał, żeby usztywnić mu koguta.

Spojrzał prosto w oczy o barwie głębokiego błękitu. Była również młoda jak on, długie, czarne włosy sięgały połowy pleców. Długie

rzęsy. Małe, świetne usta. Delikatna linia szczęk. Artystyczne dłonie. Suknia z paskiem podkreślała smukłą talię i obfity biust. Wyglądała niczym dziewczyna z ilustrowanego magazynu, którą wyciął i przykleił taśmą na wewnętrzną stronę drzwi swej szafki na rzeczy.

Wpatrywała się w niego promiennie i zapraszająco uśmiechała. Erekcja nasiliła się do tego stopnia, że musiał poprawić spodnie.

- Czy damy zechciałyby przyłączyć się do nas? - zapytał Al.

Joe nie chciał wierzyć, że to takie proste, a jednak druga dziewczyna, elegancka blondynka, przytaknęła i zapytała: - Jesteście pilotami, tak? - Mówiła z akcentem, który mgliście przypominał francuski.

- Tak.

- Jakim statkiem przybyliście?

- *Valiant*.

Ta odpowiedź przekonała blondynkę, że mówią prawdę. Obróciła się i chwyciwszy swą towarzyszkę za nadgarstek, pociągnęła za sobą do stolika obu mężczyzn.

- Macie ochotę na trochę wina? - zapytał Al.

- Znamy coś lepszego niż wino - odparła blondynka i wezwała kelnera.

*

Imię blondynki brzmiało coś jak Kerri, natomiast brunetka wymieniła swe denebiańskie imię, którego nie dało się wymówić, więc powiedziała im; żeby zwracali się do niej Sasza. Kerri była żywiołowa i rozmowna, a kiedy wypili kilka kieliszków wybranego przez nią likworu, stała się niezmiernie chichotliwa. Z miejsca dogadała się z Alem, któremu to odpowiadało. Sasza, spokojna i cicha, po części dlatego, że bardzo słabo znała angielski, była jednak równie przyjazna, tak że razem z Joe spędzali znaczną część czasu po prostu patrząc sobie w oczy.

W kończące się szybko popołudnie spacerowali swobodnie po galerii. Jak się zdawało, najpopularniejszą formą sztuki denebiańskiej było dmuchane szkło; Joe i Al zobaczyli karafki, szkło ozdobne i paciorki jak bańki powietrzne, tak doskonałe, jakich nigdy nie

mogliby sobie nawet wyobrazić. Niektóre z tych dzieł były na sprzedaż. Joe kupił niewielki, o pięknie oszlifowanych ściankach kolczyk, który chciał posłać matce.

Zjedli obiad w pobliskiej restauracji, w której Sasza zsunawszy buty pod stołem rozpalała namiętności Joe, pocierając palcami stóp o jego łydki. Pod koniec posiłku to ona właśnie, swą łamaną angielszczyzną zaproponowała, by poszli na spacer do ogrodów miejskich.

Joe myślał z niecierpliwością raczej o tym, by udać się do pokoju hotelowego albo mieszkania dziewcząt, jednak Al zdawał się tym zupełnie nie przejmować, poszli więc w stronę odległego o kilka przecznic najbliższego parku. W całym mieście było zdumiewająco dużo ogrodów, porośniętych gęstą, niemal tropikalną roślinnością, ale na szczęście niemal zupełnie bez insektów typu tropikalnego. Dziewczyny poprowadziły ich po promenadzie, zbudowanej z cegieł o bladobłękitnej barwie.

Joe słyszał różne dźwięki - westchnienia, poruszenia, chwilami stłumione łomoty - dochodzące z krzewów po obu stronach promenady. Bał się napadu i rabusiów, więc opiekuńczo ścisnął dłoń Saszy. Ona jednak uśmiechała się, bez jakiegokolwiek obawy, a wkrótce pociągnęła go w kierunku zarośli.

- Co jest - wymamrotał. Odwrócił się i zobaczył, że Kerri i Al zniknęli.

- Chodź, chodź - mówiła Sasza.

Wciągnęła go głębiej w krzaki, aż stracili z oczu ścieżkę. W świetle księżycyca bieleły się blaskiem jej zęby. Pochyliła się, podsuwając usta do pocałunku.

Serce Joe zaczęło walić jak młot. Rękami oplótł jej kibić i mocno przyciągnął do siebie. Jej język, wilgotny, ciepły i chętny, trafił w głąb jego ust.

Odeszła o jeden krok, by jednym wprawnym i wystudiowanym ruchem zdjąć z siebie suknię i ułożyć ją na oparciu ławki. Pod spodem nie miała żadnej bielizny.

- Podobam się? - spytała wskazując na swe ciało. Brodawki sutkowe miała nabrzmiąle, twardniejące w wieczornej aurze. Teraz, gdy była naga, jeszcze raz stwierdził, że przypomina mu dziewczynę z wyciętej ilustracji. Właściwie była od niej nawet lepsza.

- Podobasz - odparł.

Uśmiechnęła się szeroko i zanim zdążył zareagować, już klęczała przed nim i rozpinała mu rozporek. Jego sztywniak wyskoczył ze środka i zaraz wzięła go w usta. Ściskając mu pośladki, wpychała go coraz to głębiej. Przy piątym suwie miała go całego w środku i w tej pozycji przytrzymała.

- O, Boże - jęknął Joe, czując ciepło jej ciała i warg mocno przylegających do jego łona. Niemal bliski był finału.

- Sasza cię lubi - wyszeptała, cofając usta, a potem dmuchając na koniuszek jego koguta, żeby go ostudzić.

- Sasza chce, żebyś ją mocno zerznął.

Położyła się na twardym podłożu ziemi, które wydawało się specjalnie dostosowane do jej ciała, i ciągnęła go w dół trzymając za koguta. Nie pozwoliła mu nawet na zdjęcie ubrania. - Podoba mi się kombinezon kosmiczny - tłumaczyła, jednocześnie rozkładając szeroko nogi.

Wszedł w nią. Jej biodra uniosły się, a cipka zdawała się go połykać. Zrypał ją niczym nastolatek.

- Tak, tak - stękała i mruzczała coś w swym własnym języku.

Joe nie był w stanie zwracać uwagi na cokolwiek innego, jak tylko gorące, jędrne, wilgotne ścianki obejmujące mu wał, a jednak co jakiś czas wydawało mu się, że słyszy inne westchnienia i jęki, dochodzące z przeciwnej strony pobliskiego drzewa. Najpierw zakładał, że to muszą być A1 i Kerri, lecz stopniowo uświadomił sobie, że dźwięki te pochodziły nie tylko z jednego miejsca; miał raczej wrażenie, jakby w parku spółkowało pół miasta.

Szczytował potężnymi, tryskającymi strugami. Wchłonęła wszystko, chichocząc cicho na widok tak wielkiej przyjemności, jakiej dzięki niej zaznał.

Było to niemal warte tych całych pięciu miesięcy bez seksu.

Wycofał się już z niej, zmałał, odsączył, zostawiając uczucie zaspokojenia, gdy usłyszeli, jak ktoś przedziera się przez zarośla w ich kierunku. Joe zapiął rozporek. Sasza wślizgnęła się w swą suknię z taką samą gracją, z jaką ją zrzuciła. Wrócili z powrotem na promenadę, nie spotykając nikogo.

Na skraju parku zobaczyli Ala i Kerri, z których promieniowało zadowolenie.

- Była zabawa? - zażartował Al.

- Żebyś wiedział - odparł Joe. Nagle zwrócił uwagę na malutką paczuszkę w swej kieszeni - kupiony wcześniej kolczyk. Pod wpływem impulsu wręczył go Saszy.

Nie przyjęła prezentu. Zwróciła Alowi.

- Jutro wieczorem? - zaproponowała. Joe zaniemówił, gdy to samo uczyniła Kerri. Oczywiście, obaj mężczyźni powiedzieli tak i dziewczyny poszły w swoją stronę z uśmiechem szczęścia na twarzy.

- Dlaczego nie przyjęła kolczyka? - zapytał Joe, gdy razem z Alem szli w kierunku terminalu transportera.

- Dziewczyny denebiańskie nigdy nie mogą przyjmować pieniędzy ani prezentów za seks. Prostytcja jest wbrew ich religii. Za pierwsze przestępstwo kara wynosi najmniej dziesięć lat.

- Chciałem tylko pokazać jej, że mi się podoba. Nawet bardzo. Cieszę się na jutrzejszy wieczór.

- O, nie - zdecydowanie rzekł Al. - Jutro dostajesz Kerri. Ja biorę Saszę.

- Co jest, chwileczkę...

- Tak właśnie musi być - przerwał mu Al. - Według ich religii każda dziewczyna, która miałaby randkę z tym samym mężczyzną dwa razy pod rząd, musi wyjść za niego. Nie chcesz żenić się z nią, prawda?

- No, ...nie. Przecież czeka na mnie narzeczona.

- W takim razie, sam widzisz. A poza tym, Kerri spodoba ci się. Ona zna szczególny sposób z palcami...

*

Następnego wieczoru Joe przekonał się, o co chodziło Ałowi. Poszli do restauracji. Ku jego zmartwieniu, Sasza okazywała Ałowi żywołowo ten sam rodzaj gorliwej uwagi, którym wczorajszego dnia obdarzała jego. Jednak, ku jego zachwytowi, Kerri okazywała się na swój sposób równie interesująca, a z całą pewnością równie piękna. A ponadto z nią mógł normalnie rozmawiać, gdyż miała duży zasób słów.

Pochłaniała ich dyskusja, gdy Sasza skromnie przeprosiła i odeszła. W chwilę później powstał Al.

- Do toalety - oznajmił i znacząco mrugnął. Poszedł w kierunku zaplecza lokalu.

Joe zorientował się, że coś się dzieje. Odwrócił głowę w stronę Kerri, a ta uśmiechnęła się do niego i znikła mu sprzed oczu, jakby zapadła się pod stolikiem.

Joe stwierdził, że stoliki były niezwykle wysokie, z długimi aż do podłogi obrusami, co zapewniało ogromnie dużo miejsca na ukrycie się pod blatem. W jednej chwili zdał sobie sprawę, jaki był tego cel. Dłonie Kerri muskały jego krocze. Wysunął biodra do przodu. Odpięła mu rozporek.

Nerwowo rozglądał się wokół. Znajdowali się w wydzielonej części sali. Inni goście, siedzący przy nieco oddalonych stolikach, w ogóle nie zwracali na nich uwagi, z wyjątkiem siwowłosej matrony, która uśmiechała się i nadal ze smakiem jadła rosół z makaronem.

Czuł, że członek ma mały i bez życia. Nie mógł wyobrazić sobie, że osiągnie wzwód przy tych wszystkich ludziach wokół. Wówczas poczuł usta Kerri. Wsunęła jego wiotki organ między swe wargi, poklepując wkoło językiem. Do środka i na zewnątrz, przesuwała nim wzdłuż i splatała wokół jego wału. Kogut ożył.

Palce jednej dłoni oplotła wokół jego trzonu, używając ich jako wspomaganie pracy ust. Nie potrafiła wchłonąć go tak głęboko jak Sasza, ale nie było to wcale konieczne. Ciągnęła druta, drugą dłonią obejmując i ściskając mu jądra. Dzięki tej dłoni wydawało się, że ma głębokie na milę gardło. Kiedy szczytował, zdawało mu się, że strzela na milę do góry. Słyszał jak głośno przetykała, pomrukując z zadowolenia.

Nagle zdał sobie sprawę z tego, gdzie się znajduje i spojrzał na innych klientów. Stara dama ponownie uśmiechnęła się. Zrobił się czerwony na twarzy.

Kerri wyłoniła się spod stołu, oblizując usta. Po jakimś czasie wrócili Sasza i Al.

- Bardzo ładnie urządzone - toalety - powiedział Al, a w jego głosie pobrzmiwał odcień szczególnego odprężenia, jakie odczuwa marynarz. Sasza wtórowała mu chichotem.

*

- Nie rozumiem tego - powiedział Joe, kiedy razem szli na swą trzecią i ostatnią wieczorną wyprawę. - Dlaczego robimy to stale w miejscach publicznych?

- Zgadnij - odparł Al z uśmiechem.

- O, nie - jęknął Joe. - Chyba nie z powodu religii.

- A właśnie, że tak. Jeśliby Denebianka poszła sama z osobą przeciwnej płci do prywatnej sypialni i nawet nie robiła tam nic, to i tak popełnia ciężki grzech.

- A jak robi to w obecności innych ludzi - to nie jest grzech?

- Zgadza się.

- Dziwne. A co będzie dziś wieczorem? Myślałem, że zostaliśmy zaproszeni do mieszkania dziewczyn.

- Zostaliśmy. Musisz się tylko pilnować, żebyś nie poszedł sam z żadną z nich do sypialni, a wszystko będzie okay.

*

Kerri powitała ich w drzwiach w powłóczystym negliżu

Z ekstazą pocałowała Ala i poprowadziła do saloniku. Ku swemu wielkiemu zaskoczeniu Joe ujrzał tam Saszę i dwie inne dziewczyny w równie przejrzystej bieliźnie. Siedziały w towarzystwie dwóch członków załogi *Valianta*, popijając coś, co wyglądało na szampana.

- Cześć, Al. Cześć, Joe - przywitał, ich obaj koledzy. - Pete i Dave? - wybąkał Joe. - Co wy tu robicie?

- Każdy z nas jest dla drugiego przyzwoitką - wyjaśnił Al. Nalał sobie szampana do kieliszka. - Jesteśmy tu wszyscy po to, aby zapobiec jakimkolwiek wykroczeniu wobec świętego prawa. - Rozpiął kołnierzyk i rozsiadł się wygodnie na kanapie obok jednej z nowych dziewcząt.

- Witaj na naszej orgii, Joe - powiedział Pete.

Joe nie wierzył w to, ale nie uznał, by dawało mu to powód do wyjścia. Sasza oraz Meeri i Jann, dwie nowe dziewczyny, wlewały w niego alkohol i ciągnęły za ręce. Rzecz jasna, Kerri - z uwagi na zakaz seksu dwa razy pod rząd - nie wchodziła w grę, ale i jej nie dało się pominąć. Zanim się zorientował, był już bez ubrania i leżał na gumowanym prześcieradle. Sasza nacierała mu koguta olejkami do masażu, a on w tym czasie zajmował się Meeri. Pete rypał Saszę w pozycji „na psa”. Al i Kerri oraz Dave i Meeri rozłożyli się na kanapie w niezwykłym układzie cipek, cycków, warg i kogutów.

Joe nie sądził nigdy, że nadaje się do rżnięcia w obecności innych ludzi, szczególnie znajomych facetów, a jednak Sasza doprowadziła go do wzwodu w czasie nie przekraczającym minuty. Wciągała go tak głęboko do gardła, aż zobaczył gwiazdy przed oczyma. Pete i Dave zrobili się już wtedy zazdrośni i zaczęli korzystać ze swojej kolejki, podczas gdy on zajął się małą, niewiarygodnie zwartą piczką Meeri, a zarazem podgryzał cudownie mięsiste wargi sromowe Janny, aż dygotała z rozkoszy.

Chcę tek pięknej staromodnej religii - pomyślał szczęśliwy.

Zanim skończył się wieczór, szczytował jeszcze trzy razy,

*

Joe i Al siedzieli razem w jednej z sal wypoczynkowych *Valianta*, obserwując z żalem zmniejszający się na ekranie i oddalający stale obraz Deneba IV. Kogut Joe nadal był przyjemnie pobudzony, ciepły i w pełni zaspokojony po długim, bujnym seksie, mimo iż minęło już dobre dwanaście godzin od zakończenia urlopu na lądzie.

- Niech to szlag trafi - powiedział Joe. - Powinniśmy zawijać tutaj po prostu co miesiąc.

- Wiem, o co ci chodzi - dodał Al.

- Kiedy jest w rozkładzie następne lądowanie na planecie?

- Za dziesięć tygodni. Ale to jest Rigel V. Znaleźć tam dobrą piczkę, to jak próbować zobaczyć wesz bez lupy.

- No, cóż - wymamrotał Joe. - Jak sądzę, wracamy do walenia konia.

Al gwałtownie wyprostował się na kanapie. - Ty się spuszczasz? - zapytał sztywno. Joe był oniemiały.

- Jasne. Chyba jak każdy?

- Do diabła, nie! - odparł Al. - To wbrew mojej religii.

DON BAUMGART

Twoja planeta? Czy moja?

Wyszli z baru i udali się na jej planetę.

Było to jedno z tych spotkań stacji kosmicznych z szybkością światła; szybkie uzgodnienia, energiczna realizacja, i po wszystkim przed odlotem.

Kiedy Rable zobaczył ją przy barze w wydzielonej dla pijących sekcji pierwszej klasy, był oszołomiony. Miała na sobie miękki sweterek i błękitne dzinsy. Spodnie były tak elegancko wytarte, że pobłyskiwały niebieskobiałą patyną. Proste włosy blond sięgały jej do ramion. Z taką klasą można ubierać się w dowolny sposób, pomyślał Rable.

Podobnych do niej nie spotyka się tutaj. Nie jest to przecież stacja na ważniejszym skrzyżowaniu szlaków, jak Pohl I. Tutaj wszystko ogranicza się do noclegu, drinka i udanego posiłku na przecięciu

szlaków kilku mało znaczących linii kosmicznych. Spotyka się tu kobiety z nadwagą, źle ubrane, w dresach i z chorobą przestworzy. Mieszkają w komorach hotelowych, zachowują się jak w śpiączce i przychodzą tylko, by wypić szybkiego drinka - Mustanga Marsjańskiego i butelkę Wenus - a potem nerwowy śmiech i z powrotem spać.

Dziewczyna zachowywała się tak, jak gdyby w barze w sąsiedztwie swego domu spędzała wolny wieczór.

- Boże, spraw, żebym mógł ją chociaż raz przelecieć - pomyślał, idąc w kierunku baru. - Ja zajmę się drugą kolejką.

Jego kręcone włosy zaczynały się przerzedzać, ale tylko on był w stanie to zauważyć. Uśmiech miał tak seksy, że t e g o pytania nie musiał zadawać. Powiedziała mu to kiedyś jakaś kobieta. Która? Nie mógł sobie przypomnieć. Była to jedna z tych, z którą poszedł do łóżka, ale było ich już tak wiele. A dziś wieczorem następna.

Bar był niemal pusty, podobnie jak cała stacja. Obawa przed inwazją przeczuła podróżnych, unikali tych leżących na uboczu cynowych blaszanek. Wiadomość nadeszła z hukiem przed kilkoma tygodniami, dając prezenterom dziennika mało informacji, a za to szerokie możliwości spekulacji: - Nadchodzą! - Był to kobiecy głos, transmitowany ze statku z wyłącznie męską załogą.

- Połączenie na orbicie zakończone - powiedziała zwyczajnie, kiedy sadowił się na krześle barowym obok niej.

- Co pijesz? - zapytał.

- Wielki szyk - odparła, spoglądając w dół na kieliszek. - Coś co nazywa się *Szampan Swobodnego Spadania*. - Wspaniałe oczy, pomyślał Rable. Niebieskie, jak jeziora które pamiętał.

- Tequila - zamówił przy barze.

- Tequila? Można tu dostać tequilę? Nie chce mi się wierzyć. Zamów dla mnie, dobrze? Chryste, ostatnim razem, kiedy piłam tequilę, obudziłam się z takim kacem, że głowa boli.

- Nie mamy tequili, proszę pana. Przykro mi - powiedział barman.

- Nie ma tequili - roześmiała się.

- Jest tequila - orzekł Rable, pochylając się na ladę. - Instrukcja specjalna: raport 2530, rezerwy prywatne, kod T. Dwie porcje, prawdziwa cytryna, sól.

- Zdumiewające - powiedziała miękko, kiedy po ladzie w ich stronę sunęły niskie i pękate szklaneczki wypełnione bursztynowym płynem. - Jak to się robi? - oczy jej śmiały się ponad brzegiem naczynia.

- Wpadam do tego cynowego terminalu na ogół dwa razy na miesiąc, służbowo. Staram się trochę uprzyjemnić sobie wolny czas. Za pieniądze da się załatwić dobrą tequilę.

- Służbowo? Gdzie pracujesz?

Tequila rozgrzewała mu żołądek, a potem żar przenosił się na sąsiednie narządy. - Jestem łącznikiem.

- To ciekawe. - Oboje roześmiali się.

- Fabryki i szpitale na orbicie, tak jak i ta cynowa blaszanka, są zaparkowane - tłumaczył Rable. - Nie ma na nich załóg. Jednak trzeba je przesuwać. Orbity zmieniają swe parametry i trzeba je korygować. Albo potrzebna jest nowa orbita, żeby przedłużyć czas pracy energii słonecznej lub osłonić pacjentów przed wybuchami radiacji plam słonecznych. Wysłała się wtedy mnie, a ja kieruję na nową orbitę satelitę nawet tak dużego jak kilka miast. - Zauważył, że wpatrywała się w niego z dużym zainteresowaniem. Kontynuował.

- Tę stację można by obsadzić najlepszymi pilotami i najwyższym dowództwem, aż nie pomieściliby się w tym barze - mówił - ale tylko jedna osoba ma tutaj kwalifikacje do kierowania stacją.

- Ty - jej głos zabrzmiał miękko i świeżo.

- Ja - potwierdził, smakując tequilę i zwycięstwo.

- Dobrze służy?

- Nie do wiary, jak dobrze.

- Czy w takim razie mogę dostać następną cytrynę? - Znowu podwójna porcja śmiechu.

Im więcej pili, tym żywiej opowiadali o swym życiu. Wylano go z bardzo drogiej, prywatnej szkoły dla pilotów, bowiem zajmował się nie tym, co trzeba: zamiast książek - rozrywki i alkohol. Ciężko dochodził swego. Po latach pracy bako praktykant przy ekranach komputerów, gdzie zamieniał apogea w perigea, punkty odziemne w punkty przyziemne, dorwał się do konkretnej pracy na orbity. On wykonywał całą robotę, a zwierzchnik tylko patrzył i brał duże pieniądze. Następnie nadszedł okres, w którym jeden ze zwierzchników przychodził do pracy tak pijany, że nie był w stanie mówić, i wtedy właściciel fabryki zlecił Rablowi samodzielną robotę... i były za to duże pieniądze.

Opowiadał o dziewczynie z sąsiedniej planety, kiedy wyjeżdżał słodkiej i czystej, a gdy wrócił rok później - w ciąży.

- Wyszła za mąż za sprzedawcę pływających doków. Domek letniskowy na niskiej orbicie nad górami. Trójka dzieci.

Ona miała na imię Sara, o czym powiedziała mu ochryplym szeptem, i mieszkała na planecie w pobliżu rdzenia galaktyki. Musiała opuścić uniwersytet, gdzie studiowała inżynierię genetycznego protezowania, ponieważ - ku oburzeniu swego ojca - zbyt często zachodziła w ciążę. Teraz odpływała za granicę, kierując się do Szklanych Planet. Wyprawę tę finansował zamożny kochanek.

- To jest prezent pożegnalny. Ta wycieczka. Dostaję prezenty na pożegnanie. Zawsze.

- Zawsze Szklane Światy?

- Nie, skąd. Na razie to tylko początek. Mała Sara wyrusza na całą wyprawę. Tura po Obcych Światach.

- Samotnie?

- Czasami.

- To wszystko brzmi nieźle.

- Wznoszę toast z tej okazji.

- A mi się wydaje, że nas wystrzelili w przestrzeń ci mali zapracowani krętacze.

- Hmm... Co?

- Sperma.

- Wznoszę toast!

Szklaneczki tworzyły skupisko bryłek kryształu, zajmujących wypolerowaną równinę lady barowej. Oczyma prowadzili niezależną od słów, osobną konwersację. Na początku spojrzenia drażniły pewnością tego, co miało nastąpić. Potem spojrzenia wyrażały pożądanie.

Zlizując ciągle jeszcze słony wierzch dłoni, zapytała: - Czyja planeta, twoja czy moja?

- Twoja. Masz chip?

Zanurzyła dłoń w wąskiej kieszeni i wydobyła mały kwadracik. W przestrzeni był on absolutnie konieczny, aby odtwarzać zapisane obrazy innych miejsc. Dzięki odtwarzaczom, na ekranach ściennych i sufitowych, koje transportowców, kapsuły wywiadowcze oraz niewielkie pokoiki metalowych stacji kosmicznych zamieniały się w bezkresne równiny, z szalejącymi w odległych pasmach gór burzami.

- Drzewa nigdy się nie upijają - powiedziała, machając swym chipem, gdy szli wzdłuż metalowego korytarza. Swym ramieniem objął ją w talii. Zataczali się razem, niemal objijając o ściany.

Jej pokój zamienił się w pełną soczystej zieleni dolinę, w otoczeniu wzgórz porośniętych niskopiennymi lasami. Obraz ten przytłoczył ich, jak tylko na ekranach ukazały się właściwe hologramy. Pośród drzew niewidoczne stworzenia wyśpiewywały pieśń radości. Obok łóżka szemrząc płynął jasnoniebieski strumyczek. Chmury przesunęły się po niebie. Cieniem nałożyły się na słońce, a potem ustąpiły, pozwalając promieniom słońca złożyć ciepły pocałunek na ich nagich ciałach.

- Podoba ci się moja planeta? - zapytała miękko.

- Doskonale nagranie. Tak świeżego jeszcze w życiu nie widziałem. W ogóle jeszcze nigdy nie widziałem tej planety. Gdzie ona jest?

- Bardzo daleko. Tam jest zupełnie inaczej. Ona jest stara. - Odwróciła głowę, ale i tak zobaczył jej łry.

Kiedy ich ciała zespoliły się, rozmowa ustała. Niecierpliwie czekała na wyzwolenie wielka energia, nagromadzona kiedy pili, i teraz zawładnęła ona ich ciałami. Gdy leżeli razem na łóżku w dusznym metalowym pokoiku, ciepłe powiewy wiatru zdawały się owiewać ich splecione ciała. Rozgorączkowany, nienasycony przyjemnością, nie zwrócili uwagi, jak niebo zaciągnęło się na kolor głębokiej zieleni. On pierwszy spostrzegł tę zmianę, gdy spojrzął na swobodnie pływającą pod nim dziewczynę, unoszoną przez te same fale. Jej ciało połyskiwało miękkim szmaragdowym odcieniem w przytłumionym świetle, lśniąc od potu.

Odgłosy zwierząt pośród drzew przerodziły się w lubieżne pożądanie. Dziewczyna przejawiała niespożyta energię. Jej ruchy utraciły miękkość i delikatność, a zamiast nich pojawiło się coś gwałtownego, coś znacznie potężniejszego od energii jej mięśni. Zatrzymało go to w niej, a wkrótce całkiem owładnęło nim. Kiedy szczytował, świat poszerzył się dla niego w zatraceniu bezdźwięczną eksplozją. Zakończenia nerwów stanęły w ogniu, a pod jego zamkniętymi powiekami wykwitły kolory, których istnienia nawet sobie nie wyobrażał. Gdzieś w głębi siebie odczuł szarpnięcie i trzask. Zadygotał, gdy w miarowym rytmie całym jego jestestwem wstrząsał rytm czystej euforii. Uspokoił się po dłuższym czasie.

Nigdy dotąd nie przeżył czegoś podobnego.

- Było c u d o w n i e, kochanie - usłyszał siebie wypowiadającego te słowa jej głosem. Gwałtownie otworzył oczy. Na sobie wrzał Rabla, nadal rozdygotanego, pochylającego się do pocałunku. Zobaczył swoje - s w o j e - piersi gwałtownie wznoszące się i opadające. Pod plecami czuł materac. Czuł też, że Rable jest nadal w nim, w jego wnętrzu.

- Odpreź się - uśmiechnęła się do niego z jego twarzy - Przyzwyczaisz się do tego. Na razie jeszcze twój umysł przywykł do innego ciała - powiedziała jego głosem, z jego ciała. - Na początku będziesz troszkę niezręczny.

- Ale, ale ...co się stało, do diabła? I jak się to do diabła stało? - Jego głos - jej głos - drżał w panice.

- Och, Rable, wczoraj wieczorem wszystko chciałeś dać, żeby mnie przelecieć. No i widzisz, udało ci się.

- Co?

- My nacieramy, robimy inwazję. Nasza planeta umiera. Potrzebujemy waszej. Wczoraj to samo co z tobą, było w milionie barów. Spotkaliśmy się.

- Co! - Chciał znaleźć inne słowo, ale nie potrafił.

- Znamy was. Od wieków zastanawialiście się, jak to będzie, gdy spotkacie nas. Inne inteligentne istoty. Czy będziemy przyjazne? Tak, byliśmy bardzo przyjazne. Czy przybędziemy w statkach hak rakiety czy w latających spodkach? Nie, my przybyliśmy w kolorach.

- Coś ty ze mną zrobiła? - Był już bliski hysterii. Jego słowa, wypowiedane jej głosem, brzmiały jak z oddali.

- Spróbuj popatrzeć na to inaczej. Jesteś atrakcyjną kobietą. Świetnie dasz sobie radę na wyprawie do Szklanych Planet. Co rusz jakiś mężczyzna tu i tam postawi ci drinka, a przy odrobinie szczęścia to będzie tequila. - Stała przy drzwiach pokoiku, który teraz znowu odzyskał swe ponure, metalowe ściany i uśmiechała się do niego jego ustami.

- A tak przy okazji, jesteś w ciąży.

TED WHITE

Szesnastolatka i wanilia

Kiedy usłyszałem pukanie w drzwi, zakląłem szpetnie.

- Chwileczkę - zawołałem.

Ponowne pukanie; silniejsze.

- Jeszcze chwileczkę!

Zaczepiłem już obie stopy zrównoważyłem ciężar ciała i zawiesiłem palce w sterownikach. Zasunąłem zamek błyskawiczny i obróciłem się, by jak zwykle popatrzeć na siebie w lustrze, skinąłem głową do swego odbicia i poszedłem w stronę drzwi.

Nie gestem przystojnym mężczyzną. Mam zbyt dużą głowę, nabrzała twarz, a mój wygląd zdradza nadwagę. Brwi rysują się mocną kreską ciemnego brązu. a włosy zlepiają w pasemka i sprawiają wrażenie dawno nie mytych już w pięć minut po umyciu. Za to moje oczy mają nieprawdopodobny odcień błękitu, przykuwam wzrok każdego i nie zwalniam - jak przyszpilonego na stałe motyla. Moje oczy tak samo działają na mnie, kiedy zapomnę się i zbyt długo patrzę w lustro.

- Earl, czy jesteś już gotowy?

To był Dubrey. Paul jest jednym z tych drobiazgowych managerów, którzy spoglądają na zegarek pięć razy w ciągu dziesięciu minut i sami są sobie winni, że nabawiają się wrzodów.

- Mnóstwo czasu, Paul - odpowiedziałem. Obdarzyłem go jednym z mych ciepłych uśmiechów i spojrzeniem szczerych, niebieściutkich oczu.

- Nie chciałem ci przeszkadzać, Earl - powiedział. Poraża go zawsze mój uśmiech i ponieważ jest taki nerwowy, wyrzuca z siebie słowa w tonie zaczepnym.

- Już jestem gotowy - odpowiedziałem. - Potrzebujesz pomocy?
Znowu uśmiechnąłem się do niego.

- Nie, dziękuję ci, Paul. Wszystko w porządku.

Jego golf wokół szyi zabarwił się od potu na brązowo.

Występ był zupełnie standardowy. Miasto na środkowym zachodzie, liczna widownia. Publiczność daje odczuć, że przyszła bardziej z poczucia obowiązku niż dla innych powodów. Sala wypełniona, lecz brawa zdawkowe. Zagrałem zestaw: na początek Mozart, by poczuli się jak u siebie w domu, potem Satie, Carter, a na koniec mój własny utwór, zagrany z brawurą. Żadnych bisów. Steinway w tym czasie zdążył już się rozstroić - w sali zalegała wilgoć. Uprzejme oklaski, standardowy ukłon i zejście ze sceny.

Kolejny wykonawca na jeden wieczór zrobił swoje i może odejść.
Kultura dla mas.

Kiedy wróciłem do garderoby, zastałem, jak zwykle, z pół tuzina miejscowych przedstawicieli władzy, którzy czekali nerwowo, by uścisnąć mi dłoń. Ktoś umieścił dekorację z kwiatów przed lustrem, dzięki czemu wyglądała na jeszcze raz tak dużą.

Paul dobrze wszystko zorganizował; w końcu jest to część jego zawodowych obowiązków. Uśmiechałem się ciepło i słodko, pozwalając, by ściskano mi obie dłonie. Wreszcie pokój opustoszał, pozostał tylko Paul i dziewczyna.

- Dam sobie radę, Paul - powiedziałem.

Popatrzył na mnie nerwowo i wykrztusił, że idzie na rozmowę z szefem sceny. Wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Dziewczyna wyglądała na młodszą niż zazwyczaj, a jej styl wypowiedzi nie był najwłaściwszy.

- Och! - powiedziała, gdy drzwi się zamknęły. - Och...

Podszedłem do lustra i przełożyłem kwiaty na podłogę. Lubię spoglądać w lustro.

- Proszę usiąść - zaproponowałem. - I rozluźnić się. Pierwszy raz?

- Słucham? - powiedziała. - O, nie - a właściwie: tak. Pan, mmm, pan bardzo dobrze gra. Znam pana nagrania płytowe, ale... - Głos jej uwiązł nerwowo, jak gdyby straciła wątek i nie wiedziała już, co chciała powiedzieć.

Delikatnie dotknąłem jej ręki. Drgnęła, gwałtownie wciągnęła powietrze - bardzo teatralnie ~ bardzo sympatycznie.

- Proszę, siadaj - powiedziałem. Kanapa stała tuż za nią. Drinka?

- Nie ... nie powinnam sprawiać panu kłopotu - wydukała, jękając się nieco.

Wyciągnąłem butelki z bocznej szafki garderobianki i spojrzałem w lustro. Pokój był bardzo intensywnie oświetlony, właściwie, zbyt jasno. Sięgnąłem do wyłącznika i przygasiłem światła, pozostawiając tylko osłoniętą abazurem lampkę. Jak magicznym sposobem, w

słabszym, miękkim świetle, z jej twarzy ubyło pięć lat. Słodki Boże, pomyślałem sobie. Ona *musi* mieć powyżej szesnastu lat!

Nie wyglądała na to.

Odebrała ode mnie drinka, wcale na niego nie patrząc i trzymała go w zaciśniętych palcach, jak gdyby było to coś, co należy tylko trzymać.

- Ja ... ja chciałam panu powiedzieć, jak bardzo podziwiam pana grę. Planuję iść w przyszłym roku do Juilliard i...

Roześmiałem się. - Nic z tych rzeczy, dziecko - powiedziałem. - Czyżbyś nie wiedziała, że nas, starych profesjonalistów, wprawia to w zakłopotanie? - Oczywiście, to ją rozbroiło.

- Och - powiedziała jak mała dziewczynka.

- Nie skosztowałaś swojego drinka - powiedziałem, wysuwając moją szklaneczkę tak, by krawędzie stuknęły się. - Na zdrowie!

Wlała go w siebie jak wodę, twarz jej poczerwieniała, ale nie odezwała się słowem. Nie zakrztusiła się ani nie straciła oddechu. Wpatrywałem się w nią znad mojego drinka, a jej spojrzenie skierowane było prosto przed siebie, może na klamrę mojego paska albo gdzieś obok. Postanowiłem przerwać milczenie, a ona podniosła wzrok, uniosła szklaneczkę do góry i spytała:

- Jeszcze jednego?

Dopiłem resztę i nalałem następną kolejkę.

- Wolałabyś może coś innego - spytałem.

- Co?

- THC, haszysz...? - Niektóre kobiety wolą to najpierw.

- Och, ja nigdy...

- Najlepiej pozostać przy tym, co się dobrze zna - powiedziałem, ponownie wręczając jej szklaneczkę.

- Tak - odparła i pociągnęła solidny łyk. Milczenie było wyjątkowo niezręczne i zacząłem zastanawiać się, skąd Paul ją wytrzasnął.

Usiadłem obok niej, ostrożnie, tak, by swym ciężarem na poduszce kanapy nie zachwiać jej równowagi. - Nie powiedziałaś mi, jak ci na imię...

- Judy - odpowiedziała. Zachichotała krótko i znowu pociągnęła ze szklaneczki.

- Ju - dy, Ju - dy, Ju - dy - powtarzałem, wykorzystując mój skromny zasób stylu wysławiania gwiazd kina. - Pewnie słyszałaś już to wiele razy.

Skinęła głową.

- Ja dorastałem jako The Earl of This and The Earl of That - powiedziałem. Obróciła się trochę., by widzieć moją twarz. - Zanim człowiek jest dorosły, zna już każdy kalambur ze swym imieniem, jaki tylko istnieje.

- Tak - zgodziła się, z lekkim uśmiechem. - I wszystkie one są okropne.

- Proszę o wybaczenie.

- Och, nie! - wykrzyknęła, rumieniąc się. - To znaczy, ja nie mówiłam o panu.

Jak kurtyna po akcie zawisła cisza, więc posłałem jej kolejny uśmiech, pochyliłem się nad nią i ześliznąłem jeden palec po nagiej skórze jej szyi i ramion.

Jej oczy, ciepłe, duże, brązowe, zablokowały się z moimi w sposób, który przewidziałem, a w kącikach jej ust pojawił się nieśmiały uśmiech. Jej ciałem wstrząsnął dreszcz, ale nie odsunęła się ode mnie.

Jeden duży drink i część następnego, tuż po sobie, na pusty żołądek: w i e d z i a ł e m, że mc nie jadła. To może szybko zadziałać. Pozwoliłem sobie na pieszczotliwe gładzenie palcami jej włosów na szyi, u nasady karku, a potem zsunąłem je w dół, wzdłuż kręgosłupa. Miała kosztowną suknię, z odważnym wycięciem na plecach. Jej oczy nie odrywały się od moich ani na sekundę.

Wyciągnąłem drugą rękę i sięgnąłem po jej dłoń. Koniuszkami palców poczułem mromienie, jak przy przepływie prądu. Jej wargi

rozchyliły się. Mimowolnie, nie uświadamiając sobie tego, zaczęła zbliżać się do mnie.

Jeb szminka miała niewinny smak: szesnastolatki i wanilii. Całowała sztywno i niezręcznie. Zachwycało mnie to. Była naprawdę jedną z tych niewielu wyjątkowych dziewczyn.

W chwilę później, nagle i niespodziewanie, odsunęła się na wyciągnięcie ręki i wpatrywała we mnie szeroko otwartymi oczyma. Wyglądała na zszokowaną.

- Czy coś fiest nie tak, Judy? - spytałem ją troskliwie.

- Nic a nic nie rozumiem - odparła. - To, to nie jest - nie mogła znaleźć właściwych słów.

Na skraju stołu stał jej drink.

- Weź - powiedziałem, podając go.

Zacisnęła palce wokół szklaneczki, po czym niemal automatycznie podniosła ją do ust. Coś trzeba zrobić, żeby wypełnić kłopotliwy moment. Nalałem sobie kolejnego drinka. Zanosilo się na to, że tym razem będzie lepiej niż zwykle.

Odstawiła szklaneczkę na stół: była pusta.

- Dlaczego tu przyszłam? - spytała. Miała niewyraźny głos, w którym było słycać zakłopotanie.

- Po co tu przyszłaś, Judy? - zapytałem. W tę zabawę grywałem już przedtem nie raz. Znowu zacząłem pieścić jej kark i szybę.

Przymknęła oczy, nabierając marzycielskiego wyglądu. Po chwili jej oczy były znowu szeroko otwarte i wpatrywały się badawczo w modą twarz.

- Nie wiem po co - odpowiedziała. Chociaż wiedziała.

- Wstań - powiedziałem. Ja też wstałem i podałem jej rękę.

- Ciężko mi stać - odparła.

Pochyliłem się nad nią i obejmując w półścisku, pocałowałem w ramię, odnajdując zamek błyskawiczny z tyłu jej sukni.

- Co pan robi? - zapytała rozmarzonym głosem.

Rozpiąłem suknię i patrzyłem, jak zsuwa się z jej ramion i układa wokół stóp. Pod spodem miała tylko mini - majteczki. Dziś całą tę resztę wszywa się od razu w suknię, co muszę przyznać wielokrotnie odnotowywałem z zadowoleniem.

Pochyliłem się i podniosłem sukienkę. Powiesiłem ją na wieszaku i schowałem do szafy na rzeczy.

- Czemu pan to zrobił? - zapytała, nadal stojąc.

- Żeby się nie pogniotła - odparłem, celowo źle rozumiejąc pytanie.

- Czy mam atrakcyjny wygląd? - spytała. Spoglądała na swoje odbicie w lustrze. Stałem tak, by i mnie objęła jego rama i znowu pocałowałem ją w szyję.

- Ogromnie - odpowiedziałem.

- Nie zdjął mi pan jeszcze majtek - powiedziała. Mocno ją wzięło.

- Zdejmę - powiedziałem. - Wszystko we właściwym czasie. - Miała małe, ale bardzo dobrze uformowane piersi, a każda z brodawek unosiła się w gotowości od dotyku mych warg.

- Skąd ma pan wiedzieć, jak wyglądam, skoro nie zdejmuje mi pan całego ubrania? - zapytała.

Zobaczyła w lustrze mój uśmiech, a nasze oczy połączyły się znowu, aż do chwili gdy zachwiała się i przy pomocy wyciągniętej ręki usiłowała chwycić równowagę.

- Kręci mi się od tego w głowie - wyjaśniła. - Proszę zdjąć mi majtki.

Zdjąłem je. Właściwie nie miało to prawie w ogóle żadnego znaczenia dla pełnej wizualnej oceny jej atrakcyjności, a jednak coraz to bardziej nalegała, a ~a nie chciałem zepsuć jej nastroju.

Usiedliśmy znowu na kanapie, delikatnie kasała moje policzki i kilkakrotnie ponawiała pytanie:

- Pan wie, ile mam lat?

- Nie - odparłem. - Ale to nie jest ważne.

- Mam szesnaście lat - powiedziała, na pół z dumą, na pół wyzywająco.

Przelotnie odczułem ostre wyrzuty, ale zaraz odsunąłem je na bok.

- Świetnie - powiedziałem.

- Takiej młodej jak ja nie miał pan jeszcze nigdy, prawda?

- Rzeczywiście, Judy. Ostatnio nie.

- A wtedy, gdy pan sam miał szesnaście lat?

- Nie. Wtedy nie. Zwłaszcza wtedy.

- Podobam się panu? Jestem miła?

- Bardzo miła, Judy. Ale trochę męcząca.

- To dlaczego pan się nie rozbiera?

Obróciłem jej twarz tak, że nasze oczy dzieliło mniej niż trzydzieści centymetrów.

- Mam kilka haczyków, Judy. Nie rozbieram się. - Wytrzymałem jej wzrok. - Zobaczysz, że będzie równie dobrze.

Intensywnie wpatrywała się w moje oczy, aż z jakiegoś powodu musiałem odwrócić wzrok.

- Jestem dziewczcą, panie Thomise.

Wiedział pan o tym? Zacząłem już to podejrzewać.

- W porządku, Judy - powiedziałem uspokajająco. - Pozostaniesz dziewczcą.

- Ale ja n i e c h c ę być dziewczcą, panie Thomise.

- Earl - powiedziałem. - Wystarczy: Earl, Judy.

- Chcę, żebyś mnie przeleciał, Earl - wypowiedziała słodkimi ustami szesnastolatki.

Poczułem, jak pierwsza silna fala strachu ścisza mi żołądek. Przestała postępować zgodnie ze scenariuszem. Zresztą czy w ogóle i s t n i a ł scenariusz?

- Judy - powiedziałem. - Jesteś bardzo młoda. Chcę ci pokazać coś miłego, ale mężczyzna w moim wieku nie...

- Co jest z tobą? - spytała. Jej oczy nadal intensywnie wwiercały się we mnie. - Przyszłam tu, żebyś mnie przeleciał, a ty się teraz wycofujesz. Kim ty jesteś, jakimś zbrojeńcem?

- Judy - przemówiłem. - Proszę, cię. Wcale nie przyszłaś tutaj, by cię przelecieć, jak to ujmujesz. Przyszłaś tutaj z podziwu i szacunku dla pianisty - koncertmistrza o wielkim nazwisku, ponieważ jesteś uczennicą szkoły średniej i chcesz pójść do Juilliard, a ktoś pozostawił cię sam na sam z tym pianistą - koncertmistrem o wielkim nazwisku, a ty się przestraszyłaś i wypiąłaś za dużo i za szybko, a teraz próbujesz być starsza niż jesteś i coś sobie samej udowodnić. Ja jednak wcale nie sądzę, że naprawdę chcesz sobie akurat to udowodnić. Chcesz?

Byłem bardzo szorstki i zdawałem sobie z tego sprawę. Nic dziwnego, że Paul wyglądał na zdenerwowanego: Judy nie była jedną z tych, które dla mnie zdobywał.

Miałem wizję wielkich pieniędzy, które będzie mnie to kosztować, jeżeli nie rozegram tego w jedynie poprawny i prawidłowy sposób. O Boże, szesnaście lat! O czym ja myślałem? W tych rolniczych stanach nie uprawiają niczym kukurydzy szesnastoletnich prostytutek - to jest wyłączna domena wielkich miast.

- Miałam rację - powiedziała, odpychając mnie i zrywając się na równe nogi. - Jesteś świrem i tylko świrem. Uderzyła mnie w twarz otwartą dłonią: - Jesteś świrem - po czym skuliła się na kanapie, zwinęła w nagi kłębek, wtuliła w ramiona i histerycznie płakała.

Sięgnąłem po ręcznik i starłem sobie pot z twarzy. Następnie otworzyłem drzwi, ażeby sprawdzić, czy w pobliżu nie ma nikogo, kto mógłby to słyszeć.

Paul stał tuż za drzwiami, tyłem do nich. Zanim zdążyłem się odezwać, odwrócił się i zobaczyłem jego białą jak papier twarz. Wpatrywaliśmy się w siebie nawzajem.

- Kłopoty - powiedział.

Przytaknąłem.

- Taak, Paul.

Westchnął, twarz miał postarzałą.

- Wejdz - powiedziałem. - Zobaczymy, czy uda ci się pomóc mi ją ubrać.

- Czasami robisz niemądre rzeczy, Earl - powiedział.

- Taak.

Ubraliśmy ją. Nie było to trudne. Na początku była usztywniona, potem wiotka, ale z rzeczami poszło łatwo.

- Słyszałeś - powiedziałem.

- Dostatecznie dużo - odpowiedział. - Czy tak dalece nie masz rozeznania, że to możesz tylko z prostytutkami?

Wzruszyłem ramionami. Co mu miałem odpowiedzieć? Że chciałem wierzyć, że jest prostytutką, a zarazem mieć nadzieję, że nią nie jest? Że choć raz chciałem czegoś, czego nie kupuje się za pieniądze, czegoś prawdziwego? Że nigdy nie miałem i nigdy nie będę miał szesnastu lat?

Nie mówi się takich rzeczy. Nie można. Było to tak, jak gdyby człowiek rozbierał się całkiem do naga przed innymi. Nigdy tego nie robiłem.

- Zajmę się nią - powiedział. - Trochę kawy, może zwymiotuje, a potem świeże powietrze i dopilnuję, żeby wróciła do domu bez skarg.

- Dzięki ci, Paul - powiedziałem, obdarzając go jednym z moich najbardziej zdobywczych uśmiechów.

- Za to właśnie mi płacą - odpowiedział i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Podszedłem z powrotem do lustra i wpatrywałem się w moje błękitne oczy przez dłuższą chwilę, wnikając głęboko w nie, jak gdyby gdzieś w ich wnętrzu zachowały się oglądane przez me obrazy i możliwe było sięgnięcie do przeszłości, dośnięcie jej - i być może ułożenie wszystkiego w zupełnie inny sposób.

Potem, nareszcie, rozpiąłem zamek błyskawiczny mego ubrania, wyhaczyłem palce ze sterowników rąk, wyswobodziłem się ze strzemion i kołysząc biodrami, wyswobodziłem pośladki z łożyska protezy.

Ostatni raz skłoniłem się przed lustrem, a ukłon odwzajemniła mi otyła istota z nadwagą, bez rąk i bez nóg, rozlazła i groteskowa, wyrośnięte dziecko - ofiara thalidomidu.

Można dążyć do wszystkiego, czego się tylko zapragnie, ale nigdy nie można doścignąć minionej przeszłości.

SEKS W HORRORZE

W odróżnieniu od s - f horror nigdy nie stronił od motywów seksualnych. Lęk - będący racją istnienia horroru - często odnoszony był do seksualnego wymiaru egzystencji ludzkiej. Seks czy to pod postacią wysublimowanych fantazji, czy bezpośrednio, był zawsze obecny w twórczości większości pisarzy horroru. Trudno sobie wyobrazić Drakulę bez omdlewającej kochanki. O ile w poprzednich opowiadaniach rekwizyty s - f były jedynie pretekstem dla erotycznej wyobraźni autorów, to obecnie prezentowane opowiadania traktują seks jako integralny element fabuły. Opowiadania *Kybele i Attys* czy *Próba wiary* mogą być przykładami wykorzystania seksu w analizach nad archetypem *animy* czy w studiach nad związkiem dobra ze złem.

KEN WISMAN

Kybele i Attys

Do winnicy dowieziono ich trzema ciężarówkami. Czterdzieścioro młodych ludzi z Europy, Azji i Środkowego Wschodu. Mimo wczesnej godziny i jesiennego chłodu poszturchiwali się i żartowali sobie.

Było wśród nich siedmioro Francuzów, dwoje mieszkańców Sri Lanki, Marokanka, siedmioro Egipcjan, Włoch, dwoje Hiszpanów, czternaścioro Duńczyków, Kanadyjka oraz Amerykanin nazwiskiem Jacky Judd. Jacky stał w pobliżu dziewczyny z Kanady, która - jak podłyszał - nazywała się Madeline MacVee.

Chociaż Jacky nigdy nie miał skłonności do poezji, to jednak przyrównywał teraz oczy Madeline MacVee do wiosennego nieba, a jej włosy do koloru liści dębu jesienią. Przesunął się do tyłu i ukradkiem przypatrywał się jej oraz Włochowi - chyba imieniem Lorenzo - który przypiął się do Madeline.

Włoch był niski. O pół głowy niższy od Jacky'ego, liczącego sześć stóp i dwa cale. Włoch miał cienkiego, czarnego wąsa, jakby zakrećanego na ołówku. Palił chude cygaro, a ubrany był w czarną, fantazyjną kurtkę, ściągniętą w pasie. Nosił czarne spodnie mocno opięte na pośladkach.

- Wygląda na pedała - powiedział Jacky do siebie.

*

Ciężarówki dowiozły tę roześmianą i niesforną grupę w pagórkowatą część winnicy. Wysiadali w nieładzie stając przed kierownikiem prac, skromnie prezentującym się Francuzem, obdarzonym przezwiskiem „szef „, eks - oficerem armii francuskiej.

Szef przemówił do nich po francusku, a jeden z Duńczyków tłumaczył na angielski, który znali prawie wszyscy.

Jacky nie słuchał zbyt uważnie. Wpatrywał się natomiast we wzgórze, porośnięte rzędami krzewów winorośli. Na ich zroszonych liściach pojawiały się promienie słońca. Powietrze przesycone było zapachem ziemi, jesieni i kiści winogron.

Kiedy myślał właśnie o tym, jak bardzo zadowolony był z przyjazdu do Francji na winobranie, Madeline MacVee odwróciła się w jego kierunku i posłała mu uśmiech.

To będą piękne dwa tygodnie - pomyślał. - Najlepsze w moim życiu.

*

Rozdano im nożyce i kosze, połączyli się w dwuosobowe zespoły i stanęli na końcu rzędów. Jacky chciał być w dwójce z Madeline, ale Włoch wcisnął się między nich. Jacky dostał do pary Marokankę.

Szef pokrzykiwał:

- *Allez, allez!* - Rozpoczęli zbiór.

Praca nie wymagała wysiłku umysłowego. Zbierający odcinali kiście winogron, a następnie wkładali je do kosza, z którym poruszali się wzdłuż rzędów. Kiedy koszyk był pełny, wołali:

- *Panne!*

Podchodził wtedy człowiek. Wysypywali zawartość koszyka do beczułki, przytroczonej do lego pleców.

Było to jednak wyczerpujące. Trzeba było kucać, schylać się i przesuwać wzdłuż rzędów jak kraby. Był też szef i jego trzech pomocnicy, którzy ponaglali maruderów.

Jacky był w bardzo dobrej kondycji dzięki temu, że w college'u grał w baseball. Kiedy ukończył z Marokanką kolejny rząd, ze skrywaną radością przyjął wiadomość, że wśród osiemnastu zespołów zajmowali czwartą pozycję. Przestało go to cieszyć, gdy popatrzył w stronę Lorenzo i Madeline.

Niski Włoch stał swobodnie, z biodrami wysuniętymi do przodu, a w ustach trzymał jedno ze swych cienkich cygar. Co więcej, jego rzeczy wyglądały świeżo, bez śladu zagnieceń, podczas gdy dzinsy Jacky'ego były zabłocone i przesiąknięte potem.

W południe był lunch. Do tego czasu było już kilka wykończonych pracą osób, które pokładały się na ziemię i odmawiały udania się do samochodu, który przywiózł jedzenie. Duńczycy, nie nawykli do takiego poganiania przez pracodawcę, wyklinali szefa i jego lokajczyków.

Jacky czuł się zupełnie dobrze. Odczuwał nieco zmęczenia, ale żeby je pokonać, wystarczył dobry posiłek i trochę odpoczynku. Wymyślił sobie rodzaj gry. Zamierzał być pierwszy na końcu każdego rzędu. Marokanka domyśliła się tego planu i dotrzymywała mu tempa.

Od przerwy o godzinie dziesiątej pokonali niemal wszystkich.

Przegrywali tylko z Lorenzo i Maddy, a Włoch za każdym razem łaskawie odczekiwał, aż pozostali go dogonią.

Jacky postanowił, że po południu pokona go.

*

Po lunchu zebrali grona z trzech rzędów - a Włoch zawsze był choć trochę z przodu, z lekkim uśmieszkiem na ustach. Pod koniec dnia niemal zakończyli zbiór w tej części plantacji. Cztery zespoły rozdzielono i pojedyncze osoby kończyły ostatnie osiem rzędów. Jacky i Marokanka rozdzieliło się, podobnie jak Lorenzo i Madeline.

Jacky zamienił się miejscem z Marokanką, by być bliżej Lorenza, i rozpoczęli zbiór. Dłonie Jacky'ego ślizgały się po krzewach w poszukiwaniu kiści. Po całym dniu pracy bolały go uda, ale ręce fruwały jak ptaki.

Lorenzo zgrywał się na nonszalancję i poruszał się z udawaną obojętnością, ale płynnie.

Po pierwszych piętnastu minutach Jacky zaczął wysuwać się do przodu o jard, dwa, trzy jardy. Z twarzy Lorenza znikł zwykły mu uśmieszek. Przyspieszył swe ruchy. Z większą energią zmagął się z liśćmi.

Jacky poruszał się rytmicznie. Jak gdyby grał w piłkę.

Wówczas zaszło coś mistycznego. Widział każdą żyłkę na każdym z liści z olśniewającą precyzją - każda kiść gron wydawała mu się garścią klejnotów albo małych kul ziemskich. Pole przemówiło do niego. Ziemia. Niebo. Owoc kurczowo trzymany w dłoni.

Wówczas Lorenzo nadrabiał stratę, pokonując dzielący ich dystans. Duńczycy, którzy nie lubili Włocha, stali i dopingowali Jacky'ego.

Jacky starał się nie dać i do końca rzędu szli łeb w łeb, aż osiągnąwszy go wspólnie w śmiertelnej spiekocie, dysząc bez tchu zwalili się na ziemię.

Wtedy podeszła Maddy, uśmiechając się. - Co to tak długo trwało? - spytała.

Jacky roześmiał się. Lorenzo usiadł, zapalił cygaro i zdobył się na szeroki uśmiech.

Przynajmniej wycisnąłem z niego trochę potu - pomyślał Jacky. Popatrzył na Maddy, która odwzajemniła uśmiech. - To będą piękne dwa tygodnie. Najlepsze w moim życiu.

*

Kwatery dla pracowników zatrudnionych przy zbiorze wyglądały niczym baraki. Na parterze wydawano kolacje i śniadania. Na piętrze mieściły się sypialnie z piętrowymi łózkami, po trzy w każdym pokoju.

Wydzielono sekcje dla kobiet i dla mężczyzn. Jednak według tego, co Jacky słyszał o dorocznym winobranii, z całą pewnością układ ten się zmieni. Młodzi i pełni energii, by nie wspomnieć już o stale dostępnym czerwonym winie, z całą pewnością będą łączyć się w pary.

Pierwszego wieczora cała grupa zebrała się w dużej sali, gdzie stał długi stół, a wokół niego drewniane ławki. Trzydziestu zdecydowało się na wyprawę do Chablis, pozostałych trzydziestu rozsiadło się na ławach. Pojawiła się gitara i kilka śpiewników z piosenkami country.

Jacky był wśród tych, którzy zostali w domu, mimo iż Maddy udała się z Lorenzem do miasta. Jacky uważał siebie za zbyt zrównoważonego, żeby szaleć za kimś, kogo zna dopiero jeden dzień.

Wkrótce zapomniał o Lorenzu i Maddy, oddając się żywiołowym śpiewom i alkoholowi.

Jacky kończył właśnie piąty kieliszek wina i rozpoczynał wiązanek piosenek Boba Dylana, kiedy przysiadła obok niego jedna z dziewczyn z Danii.

- Jak ci jest po tym? - spytała.

- Pewnie, jestem trochę wstawiony - odpowiedział z uśmiechem.

- Może nawet bardzo.

- Jestem Elsa - powiedziała.

- Jacky - odpowiedział. - Miło mi poznać cię. - Dziękuję - odrzekła.

Była blondynką. Niebieskooką. Wysoką. Prawie tak wysoką jak Jacky, ale szczupłą, wiotką, długonogą i piękną.

Wspólnie śpiewali i wznosili toasty winem. Zrobiło się późno i sala zaczęła pustoszeć. Gitarzyści przeszli do piosenek o miłości, tych

smutnych, o wyjazdach samolotami i pociągami. Wtedy Jacky objął Elsę ramieniem.

W chwilę później zza pleców dobiegł go jakiś głos.

- Hello, Amerykanin!

*

Jacky podskoczył, odwrócił się i ujrzał Madeline. Koślawo uśmiechnął się.

- Jak było w mieście?

- Okay.

- Usiądź. Dołącz do mych przyjaciół - powiedział Jacky, zwracając się w kierunku Elsy.

- Ona już poszła - powiedziała Maddy. Jacky wzruszył ramionami.

- A gdzie jest twój Włoch?

- Odstawiłam go - odrzekła Maddy.

- Ten facet to pedał, jeśli chcesz wiedzieć - Jacky wygadał się.

Maddy roześmiała się.

- Ależ skąd, przestań. Lorenzo jest okay.

Ona ma rację. Głupio powiedziałem - pomyślał. Szybko zmienił temat.

- Skąd dowiedziałaś się o winobraniu?

- Od przyjaciół, którzy już to wypróbowali. Pracować przez dwa tygodnie, a potem przez jeden tydzień przehulać cały zarobek w Paryżu. Pomyślałam sobie, że warto zrobić taki figiel.

- Ja przeczytałem o tym w jakimś czasopiśmie. Każdego by to zainteresowało.

Maddy przytaknęła. Rozmawiali jeszcze i popijali wino, a kiedy Jacky rozejrzał się wokół, sala była pusta.

- Posłuchaj, mój przyjacielu - powiedziała Maddy. - Lubię cię. Ale nigdy nie mów tego Lorenzowi.

- Jak sekret to sekret - odparł Jacky. Stał chwiejnie, pomagając Maddy wstać z ławki.

Chichotała. Była równie pijana jak on.

- Wiesz, że podobno mamy tu mieć przyzwoitki - powiedziała.

Jacky objął ją ręką w pasie i pomógł dojść do jej pokoju. Ciemność wypełniało miękkie szemranie. Maddy pocałowała go. Jacky był zaskoczony, gdy poczuł jak jej język wsuwa się mu głęboko w usta.

- Wejdz do środka - wyszeptała. - Ale obiecaj, że nikomu nie powiesz, że jestem dziewicą.

Jacky wprowadził ją i położył na łóżku. Zdjął jej buty i przykrył kocem. Jednak me został z nią. Może jutro kopnąć się za to, ale musiał wyjść.

Maddy wyszeptała:

- Ci cholerni Amerykanie są tacy honorowi.

- Posłuchaj mnie. Jeśli ma to być twój pierwszy raz, to sądzę, że może będziesz chciała coś z tego pamiętać - wyjaśnił Jacky.

Maddy przytaknęła.

- Słodko - powiedziała. Głowa opadła jej na poduszkę i zasnęła.

*

Jacky nigdy nie mógł potem z całą pewnością powiedzieć, co go obudziło. Rzucił okiem na zegarek - 3:15. Spojrzał na łożo obok swego, gdzie spał Lorenzo Bartolini. Było puste.

Jacky skradał się w stronę sali dziewcząt. Na końcu korytarza stały dwie postaci. Jacky usłyszał ostre, gwałtowne szepty.

- Proszę, nie.

- Tak, nie ma łagodniejszego kochanka ode mnie. Podbiegł do nich i chwycił Lorenza, który był nagi od pasa w górę.

- Zostaw ją - powiedział Jacky, odciągając Lorenza.

Maddy stała w bawełnianej koszuli nocnej, która zsunęła się, ukazując jedną, cudowną pierś. Jacky wpatrywał się w nią mimo woli.

Lorenzo uśmiechał się wymuszenie, ale gdy Jacky podszedł bliżej, Włoch poszedł sobie.

- Chyba zwymiotuję - powiedziała Maddy. Pobiegnęła do łazienki i zatrzasnęła za sobą drzwi.

*

Połowa załogi obudziła się z kacem - łącznie z Maddy, Lorenzem i Jackym. Przy śniadaniu siedzieli przy tym samym stoliku.

Maddy zapomniała niemal wszystko, co się wczoraj zdarzyło. Albo też pamiętała wystarczająco dużo, by trzymać się trochę z rezerwą wobec Lorenza.

Rozmawiali ze sobą. Maddy miała tylko dziewiętnaście lat. Rok temu skończyła szkołę średnią i zaczęła pracować, by zebrać pieniądze na college. Później udało jej się otrzymać stypendium, więc miała dostateczne fundusze. Mogła podjąć decyzję wyjazdu do Francji na winobranie.

Lorenzo nic prawie nie mówił o sobie, poza tym, że lubi znać się niemal na wszystkim. Kiedykolwiek wypływał jakiś nowy temat - od sztuki po uprawę winorośli - objaśniał go tonem człowieka wszechwiedzącego.

Jacky zauważył, że oczy Włocha ani przez chwilę nie spoczywały spokojnie. Choć na pozór wydawał się bardzo spokojny i pewny siebie, jego oczy nieustannie przeszywały otoczenie, pochłaniając wszystko, co go otaczało.

- Co porabiasz, Amerykaninie? - spytał Lorenzo znudzonym głosem, wykazującym nikłe zainteresowanie odpowiedzią.

- Skończyłem właśnie college - odpowiedział Jacky, zwracając się do Maddy. - Po powrocie czeka na mnie kilka ofert pracy.

- W jakiej dziedzinie? - spytała Maddy.

Wyglądała szaro, jej kasztanowe włosy ostro kontrastowały z bladą, piegowatą cerą.

- Komputery - odpowiedział Jacky. - Zarządzanie produkcją. Lorenzo parsknął wyzywająco.

- Amerykańskie marzenia. Gadżety i wielkie pieniądze, co? Nic dobrego.

Jacky miał właśnie odpowiedzieć mu, ale wszedł szef i ogłosił wolny dzień. Mżawka padająca od wczesnego ranka przeszła w gwałtowną nawałnicę. Wszyscy zgromadzeni wydali okrzyk radości, a niektórzy zaraz rzucili się na górę, by odespać zarwaną noc.

*

Maddy udała się do swego pokoju. Lorenzo znikł z jadalni wkrótce potem. Jacky stwierdził, że leży zwinięty w kłębek na swym legowisku, kiedy poszedł do siebie po książkę do czytania.

Jacky wrócił do dużej sali i usiadł na ławce naprzeciwko okna. Spędził ranek i popołudnie na czytaniu i wyglądaniu na zewnątrz. Nigdy nie widział, żeby aż tak lało.

Podchodzili do niego Duńczycy z wiadomością, że Gonet, właściciel winnicy, obawia się, że deszcz podmyje wyżej położone części plantacji i zaleje obszary położone niżej. Groziło to co najmniej znacznym utrudnieniem zbiorów następnego dnia.

Ani Maddy, ani Lorenzo nie zjawili się na kolacji. Jacky zszedł na dół i sam zjadł. Po kolacji wrócił na swe miejsce w pobliżu okna i oglądał, jak niebo przejaśniało się - czarne chmury rwały się i płynęły z wiatrem obok księżyca w pełni. Baraki opustoszały, jako że prawie wszyscy wybrali się do kawiarenek w Chablis.

Maddy przyszła o 20:45. Ubrana była w spłowiałe dzinsy i niebieską, flanelową koszulę, która wcale nie miała ukrywać jej figury. Senne oczy nadawały jej zmysłowy wygląd.

- Gdzie się wszyscy podziali? - spytała Jacky'ego.

- W mieście. - odrzekł - Głodna?

- Nie - odpowiedziała - Ale nie mam nic przeciwko spacerowi.

- Jest chłodno.

- Poczekaj chwilę. - Przyszła z powrotem w niebieskim swetrze.

Jacky powstał, a w chwili gdy szli razem w stronę schodów, ktoś zawołał do nich.

- Na spacer? To doskonałe dla uporządkowania zmysłów.

To był Lorenzo.

*

Przeszli na teren plantacji, omijając głębokie kałuże. Lorenzo miał ze sobą latarkę, a Jacky lampkę naftową, jednak drogę jasno rozświetlał księżyc w pełni. Chłód w powietrzu sprawiał, że gdy oddychali, widoczne były obłoczki pary.

Dotarli w miejsce od dawna zapuszczone, gęsto porośnięte chwastami. Lorenzo i Maddy przez prawie pół godziny dyskutowali o kompozytorze nazwiskiem Otterino Resphigi, o którym Jacky nigdy w życiu nie słyszał. W duchu przeklinał siebie za to, że pozwolił Włochowi, by poszedł z nimi.

Cała trójka zeszła ze ścieżki, by podjąć wspinaczkę na porośnięte z rzadka sosnami wzgórze. Maddy, idąca pośrodku pomiędzy Lorenzem a Jackym, nagle znikła.

- Maddy! - zawołał Jacky, spoglądając do tyłu. Lorenzo szedł dalej, pochłonięty własnymi myślami. Teraz zatrzymał się i odwrócił.

- Co się stało? Co z nią zrobiłeś?

Jacky usłyszał przytłumiony jęk. Brzmiał głucho i z pogłosem. Zapalił lampkę i trzymając ją tuż przy samej ziemi, cofał się po własnych śladach. Znalazł znacznej wielkości otwór, ukryty w wysokiej trawie.

- Gdzie ona się podziała? - spytał Lorenzo. - W tym dole?

Jacky opuścił lampkę w głąb otworu. Napotkał wzrok Maddy, zadzierającej głowę do góry, oszołomionej, ale całej i zdrowej.

- Uważaj! - powiedział Lorenzo. Odepchnął Jacky'ego na bok i znikł w czeluściach otworu.

Jacky opuścił się w dół tuż po nim.

*

Lorenzo klęczał i trzymał Maddy za rękę.

- Nic mi nie jest - powiedziała zirytowana. - Gdzie my jesteśmy?

- Od deszczu otwarła się jaskinia - powiedział Jacky.

Lorenzo omiół otoczenie światłem latarni.

- Nie tylko to, Amerykaninie, jest jeszcze coś.

Jacky podkręcił lampkę. Światło wypełniło duże, prostokątne pomieszczenie, wycięte w otaczających je skałach.

- Tu są jakieś malowidła - powiedziała Maddy, wskazując na kamienną ścianę.

Lorenzo podszedł obok niej i opuszkami palców wodził po wyżłobieniach. - Widzicie tę postać kobiecą? To Kybele, bogini płodności.

- Do diabła, skąd ty to wiesz? - spytał Jacky.

- Ma koronę w kształcie wieży. A tu jest jej powóz zaprzężony w lwy. Ona jest patronką dzikich bestii.

Maddy zafascynowana wpatrywała się w miejsca, które wskazywał.

Lorenzo szeroko uśmiechnął się i zapalił cygaro.

- Gdzieś tu na ścianie musi być młodzieniec - powiedział konfidencyjnie - a obok niego sosny.

Maddy zaczęła szukać. - Tutaj! - zawołała.

Jacky pospieszył do niej z lampką. Była tam postać mężczyzny z trzema stylizowanymi sosnami.

- Kochanek Kybele, Attys - wyjaśnił Lorenzo.

- Kolejna dziedzina, w której jesteś ekspertem? - zapytał go Jacky.

Włoch zmarszczył brwi i wzruszył ramionami.

- Kybele czczono jako symbol płodności natury, zaś Attysa - jako boga wegetacji. Kult Kybele pochodzi z Frygii, gdzie określono ją mianem *Wielkiej Macierzy Bogów*. Jej kult rozprzestrzenił się w Rzymie, mimo że Grekom nie podobały się związane z nim obrzędy. Zbyt niesmaczne.

- Dlaczego? - zapytała Maddy.

- We właściwym czasie dojdziemy do tego, dobrze? Rzymianie natomiast nie byli tacy wrażliwi. Wprowadzili kult Kybele około dwusetnego roku. Kult ten później ogarnął obszary obecnej Hiszpanii,

Niemiec, Portugalii, no i rzecz jasna, Francji. Kult jej kochanka i syna, Attysa, rozpowszechnił się później.

- Syna? - spytał Jacky.

Lorenzo okazując pogardę, wydmuchiwał dym z cygara w stronę sufitu.

- Tak. A o jakich to mitach uczą w waszych amerykańskich szkołach? Tylko Edith Hamilton z jej piękną Wenus, popełniającą małe, dające się wybaczyć niedyskrecje, co?

Jacky odsunął się. W dalszej części groty znalazł kamienną płytę. Okazała się być rzeźbą w ścianie, o lekkim, skośnym nachyleniu. Na jej powierzchni uwidaczniał się z grubsza ociosany zarys ciała.

- Co to jest, Lorenzo? - spytała Maddy.

- Kto to wie? - odpowiedział Włoch, wzruszając ramionami. - Prawdopodobnie, ofiara ludzka. Wiadomo, że w tajemnych obrzędach kultu Kybele i Attysa przelewano wiele krwi. .

Maddy odstąpiła od rzeźby.

- A to co? - spytał Jacky zza kamiennej płyty.

Była tam luźna skała, która osłaniała tajemną niszę. Wewnątrz znajdowały się trzy dobrze zachowane gliniane dzbany. Cztery inne były w różnych stadiach rozpadu.

- Ooo, od ręki mogę powiedzieć, że odkryłeś właśnie najbardziej tajemną sferę kultu, największy jego sekret - wino używane w obrzędach.

*

Lorenzo wydłubywał wosk, którym zalakowano szyjkę dzbana. Po chwili odłamała się ona i została mu w ręce.

- Bardzo stare, co? - Pochylił głowę i powąchał. – Ale wino jest nietknięte. Nie wiadomo, co do niego dolewali, chociaż istnieją co do tego fantastyczne spekulacje. Jednym ze składników, którego używali, były nasiona szyszek sosnowych.

Włoch podniósł dzban do ust i pociągnął duży łyk.

- Lorenzo! - Maddy chwyciła go za rękę.

Włoch wyszczerzył się w uśmiechu.

- Nie przejmuj się. Oni nie truli swych nowicjuszy, oni tylko napełniali ich ogniem. Spróbuj troszkę, Madeline. Ma zachwycający smak.

Maddy ostrożnie wzięła dzban z jego rąk. Spojrzała na Jacky'ego, który potrząsnął głową. Wysączyła trochę wina.

- A ty, Amerykaninie? - zapytał Lorenzo. - A może ty chcesz, żeby kobiety przeżywały wszystkie przygody za ciebie?

Roześmiał się i jeszcze raz mocno przechylił dzban do ust.

Jacky wziął dzban, mimo tej dziecinnej prowokacji. Powąchał sosnową woń i wlał do ust tylko tyle gęstego płynu, by zamoczyć język. Napój był słodki i palił głęboko w gardle.

Włoch przechylił naczynie.

- Mocno pij, Amerykaninie. Życie nie składa się tylko z cholernych komputerów i pieniędzy.

Jacky ledwie go zauważał. Odczuwał jakby przepływ fal, powstających w nogach i przenikających w górę, przez całe ciało. Każda kolejna fala potęgowała jego odczucia. Spojrzał na Lorenza, który zataczał się, a jego ciało ogarnęły wstrząsy.

Jacky nic mu nie mógł pomóc. To co sam odczuwał było zbyt intensywne i przytłaczało go. Podczołgał się na środek pomieszczenia i położył pod otworem wypełnionym światłem księżycy w pełni.

Jacky czuł, że całe jego ciało nabrzmiewa, a każda kolejna gwałtowna fala następowała w rytmie uderzeń serca.

Madeline podeszła do niego, więc mógł się przekonać po jej oczach, że i ona jest w takim samym stanie zadającego katusze pobudzenia.

- Posłuchaj mnie - wyszeptał Jacky - dopóki jeszcze potrafię normalnie myśleć. Jak zakończymy zbiór winogron, pojedziemy do Paryża, wynajmiemy sobie piękny pokój w pięknym hotelu i będziemy się kochać.

- Boże, jak bardzo chcę ciebie - jęknęła Madeline. Zdarła z siebie koszulę, potem to samo zrobiła z bluzą Jacky'ego. Jej usta trafiły na

jego usta, potem szyję, tors, brzuch, uda. Każde dotknięcie jej warg i języka przeszywało go nową, zniewalającą falą ekstazy.

Jacky zaczął mieć halucynacje.

*

Przez grotę przemaszerował pochód tańczących karłów. Każdy z nich miał jakiś instrument muzyczny - flet, cymbałki, bęben, grzechotkę. Ich twarze były twarzami demonów, a pokręcone sylwetki wypełniała ekstaza.

Jacky, leżąc na posadzce, poddawał się rytmowi ich instrumentów.

Za demonami szła kobieta. Była naga i miała liczne piersi. Później obraz zaczął zanikać. Jacky zobaczył z kolei boginię na plantacji winorośli, w otoczeniu demonicznych karłów.

Szedł teraz przez pola, nad którymi zawisł księżyc. Z każdym krokiem Jacky robił się coraz większy, aż głową sięgał chmur. Dorósł do postaci boga, który śmiejąc się roztrąca dłońmi demony jak jesienne liście.

Spoglądał w dół na pola, pagórki i kręte ścieżki, by przekonać się, że to postać bogini, skłaniająca się w jego stronę i gotowa na jego przyjęcie. Położył się w polu, nappełnił je i odnowił swym nasieniem.

*

Jacky obudził się z Madeline wtuloną w jego ramiona. Pozapinał guziki jej niebieskiej, flanelowej koszuli. Gdy się obudziła, zapytała, która godzina.

- Pierwsza - odpowiedział Jacky.
- Lepiej wracajmy. Zaczną nas szukać.
- Gdzie jest Lorenzo?

Odnaleźli go w kącie, zwiniętego w kłębek.

- Boże, po tym wszystkim, co on wypił, to musiało być nie do zniesienia - powiedziała Madeline.

Jacky przytaknął i dopomógł Lorenzowi stanąć na nogach. Podprowadził go w stronę dziury w sklepieniu i podsadził w górę.

Kiedy już wszyscy troje znaleźli się bezpiecznie na zewnątrz, Maddy ujęła Lorenzo pod prawe, a Jacky pod lewe ramię.

- Zakryjcie ten otwór - powiedział Lorenzo.

Jacky przyciągnął na miejsce trochę gałęzi jeżyn i łądyg z zarośli, którymi przykrył dziurę. Następnie cała trójka powlokła się z powrotem do baraków.

*

- Nie bądź głupia - syknął Lorenzo. Rozmawiał z Maddy, kiedy przysiedli podczas porannej przerwy w pracy.

- Winiarnia należy do Goneta - gwałtownie szepnęła Maddy. - Powinien mieć swój udział w tym odkryciu.

- Udział? - Lorenzo zaśmiał się drwiąco. - A jak ci się zdaje, co wtedy mielibyśmy z tego? Jak ci się wydaje, co my odkryliśmy, no co? Oczywiście, to, czego wszyscy poszukiwali od wieków. Afrodyzjak!

- Ale... - zaczęła Maddy.

- Spokój! - ostro krzyknął Jacky.

Lorenzo wykrzywił się w uśmiechu i zapalił cygaro.

- Oto jest moja propozycja. Kupimy trzy bukłaki i napełnimy je winem kapłanów. Każdy z nas weźmie jeden bukłak, więc nie będzie żadnego oszustwa. Następnie pojedziemy do Włoch, gdzie mam przyjaciela, chemika. On potrafi rozłożyć wino na czynniki składowe.

- Nie podobasz mi się, Bartolini - powiedział Jacky. Włoch wzruszył ramionami.

- I nie wiem, dlaczego stale się z tobą zgadzam. Ale jeżeli oszukasz nas, urwę ci głowę.

- Ta historia zmieniła cię - powiedziała Maddy do Jacky'ego.

- Słuchaj, Maddy - odpowiedział - albo robimy to wszyscy razem, albo nie ma o czym mówić.

- Okay, okay; zgadzam się.

- A zatem, lepiej nie wracajmy do dużej sali aż do końca winobrania - powiedział Lorenzo. - Dzięki temu nie wzbudzimy żadnych podejrzeń. Zgoda?

- Zgoda.

- Zgoda.

*

Wieczorem pojechali razem do miasteczka Chablis i zajęli stolik w pustej kawiarni. Lorenzo po czwartym kieliszku wina rozsiadł się wygodnie z szerokim uśmiechem na twarzy.

- Chyba już czas, żebym opowiedział wam o micie Kybele i Attysa. Tylko ostrzegam was: to nie jest opowieść dla uszu dziewczyc.

Madeline zarumieniła się, a Lorenzo wybuchnął śmiechem.

- Oczywiście, jest wiele wersji kultu. Ale zasadnicze elementy są takie:

- Kybele zakochała się w swym synu, Attysie, przepięknym młodzieńcu. Objawiła się mu w postaci hermafrodyty jako potwór zwany Agdistis. Wiecie, co znaczy hermafrodyta? To bóstwa dwupłciowe, ma męskie i żeńskie części ciała.

Attys został zaczarowany przez Kybele - Agdistis i on z kolei zakochał się. Bogowie byli przeciwko Agdistis. Potępiali jej niezgodny z prawami natury pociąg do własnego syna. Ale któż by chciał ukarać potwora, co? Każdy się bał. Z wyjątkiem Dionizosa. Zamienił on wodę w rzece, z której piła Agdistis, w wino. Kiedy wypła je, popadła w pijacki letarg. Wówczas Dionizos splótł sznur z włosów, który obwiązał wokół drzewa oraz wokół - jak wy to nazywacie w Ameryce - koguta Agdistis.

- Co dalej, opowiadaj, Bartolini - nalegał Jacky.

- Nie jestem wcale pewna, czy chcę tego słuchać - powiedziała Maddy.

- Jak już się zaczęło, trzeba skończyć.

- Po obudzeniu i gwałtownym szarpnięciu, Kybele - Agdistis była kastratem. A w międzyczasie bogowie odwracali uwagę Attysa od jego nienaturalnego związku, oferując mu rękę pięknej kobiety.

Podczas ceremonii ślubnej przybyła zraniona Kybele - Agdistis, a Attys na widok okaleczonej kochanki uciekł i ukrył się pod sosną, gdzie w przystępie szału pozbawił się męskości.

- To jakaś śmierdząca historia, Bartolini - powiedział Jacky.

- Ale, ale, to wcale nie koniec. Są jeszcze gallowie, kapłani - kastraci, oraz naprawdę niesamowite rzeczy. które odbywały się podczas orgiastycznych igrzysk.

- Koniec na dzisiaj - prosiła Maddy.

Lorenzo odchylił głowę, wypuszczając w górę długą, cienką smużkę dymu z cygara. - Jak chcecie. Ciąg dalszy może być jutro.

*

- Czemu tak bardzo chcesz się z nim spotkać? - dopytywał się Jacky.

- Nie wiem - odpowiedziała Maddy. - Mnie on interesuje. Przy nim czuję emocje życia na skraju przepaści albo jazdy motocyklem z szybkością sto osiemdziesiąt na godzinę.

*

O trzeciej w nocy Jacky wstał z łóżka i poszedł do łazienki z prysznicami. Włączył światło i rozebrał się do pasa przed lustrem.

Maddy miała rację, on naprawdę się zmienił. I nie chodziło tu tylko o jego osobowość, bowiem były i zmiany fizyczne.

Jacky uważnie obejrzał swą twarz. Całe życie był jasnowłosym, typowo amerykańskim chłopakiem, któremu wystarczyło ogolić się co drugi dzień. Teraz miękki puszek na brodzie ustępował miejsca sztywnym, czarnym odrostom.

Także na torsie, zamiast owłosienia blond, pojawiły się gęstniejące czarne włosy. Te zmiany całkiem mu się spodobały. Wręcz imponowały mu i chętnie pochwaliby się kolegom tymi oznakami męskości.

Jacky założył górę od piżamy i udał się z powrotem do łóżka.

*

Następnego dnia podczas pracy na plantacji zauważył, że Maddy także zmieniła się. Stawała się bardziej kobieca. Jej piersi, które

poprzednio były w doskonałej proporcji do całej figury, wydawały się teraz nabrzmiałe. Pośladki, dotąd szczupłe, rozsadzały jej dzinsy. Wszyscy mężczyźni spośród winobrańców spoglądali na nią łakomie.

Zmieniał się też mały Włoch. On jednak na gorsze. Dotychczasowa, ledwo zauważalna zniewieściałość, obecnie bardziej się zaznaczyła. Jego sposób chodzenia nabrał większej finezji. Głos zrobił mu się piskliwy, o wyższej tonacji.

Jacky czuł, że mógłby zabić Bartoliniego bez większych skrępowań; czuł też, że być może w końcu będzie musiał to zrobić.

*

Tego wieczora siedzieli przy swym stoliku w kawiarni. Jacky wpatrywał się w Lorenza z pogardą. Zauważył właśnie, że ciało Włocha nabierało pewnej miękkości, a pod jego koszulą zaczynały rysować się dwie wypukłości.

Maddy była zdenerwowana. Od dawna przywykła do spojrzeń pełnych podziwu. Jednak spojrzenia, jakimi obdarzali ją teraz mężczyźni - a także niektóre kobiety - napawały ją niepokojem.

Jedynie Lorenzo zdawał się być z tego wszystkiego niezmiernie zadowolony. Zamówił butelkę koniaku, by uczcić rozkwit urody Maddy oraz ich przyszłe bogactwo.

- Pozwólcie mi wreszcie dokończyć opowieść o kulcie Attysa i Kybele, co? - powiedział Lorenzo. Wydostał cygaro ze swych nieprzebranych zapasów, które przechowywał w czarnej kurtce. - Dokładnie 22 marca rozpoczynały się igrzyska. Kapłani - gallowie ścinali sosnę, którą spowijali jak zwłoki i przybierali girlandami z fiołków. Na trzeci dzień rozbrzmiewały trąbki. Przed zebranymi tłumami pojawiali się kapłani. Gallowie tańczyli do głośniejszej muzyki instrumentów, na których grali inni kapłani, a kiedy tańce stawały się coraz to bardziej dzikie, nacinali sobie ręce i zraszali krwią ołtarz Kybele. Kapłani mieli miecz, specjalny miecz zrobiony ze srebra i ostry jak brzytwa. Wino lało się strugami. Z czasem, wraz z muzyką i krwią, ekscytacja religijna ogarniała tłum.

Wielu mężczyzn rozbierało się, ujmowało miecz i na miejscu pozbawiało się swej męskości. Następnie rzucali swe członki na

ołtarz Kybele, gdzie kapłani zbierali je i przygotowywali do spalenia na polach.

- Przestań! - krzyknęła Maddy. Prosto w twarz chlusnęła mu koniakiem z kieliszka i uciekła od stołu.

Lorenzo wykrzywił się w uśmiechu, podczas gdy alkohol ściekał mu po twarzy.

- Tak, ale to jest tylko wierzchołek góry lodowej. Były jeszcze sekretne obrzędy wyłącznie dla kapłanów i nowo wtajemniczonych. Mówiono, że to one dopiero dawały im bliskie obcowanie z ich bogiem.

- Ale my już tego spróbowaliśmy, czyż nie, Amerykaninie? To umożliwia kapłańskie wino.

*

Jacky obudził się o trzeciej w nocy. Czuł nieodpartą żądzę napicia się wina. Narastała w nim jak pożądanie seksualne.

Po cichu ubrał się i wymknął z baraku. Księżyc rozświetlał mu drogę do pomieszczenia w grocie. Zapalił lampkę i opuścił się w dół.

Jacky wziął dzban i łapczywie pił. Wino ciekło mu po wargach. Roześmiany wycierał sobie usta rękawem. Rozpoczęło się znajome pulsowanie, tym razem znacznie bardziej intensywne. Ogarnęła go żądza, wypełniła, przepelniła, zatapiała go. Jak przez mgłę zobaczył zbliżającą się postać kobiecą. Ubrana była na niebiesko.

Cichutko poprowadziła go do groty, gdzie opuścili się w wąski korytarz. Zdeformowane korzenie zwieszały się pod sklepieniem. W bocznych salkach pracowały karły. Pochylały się nad ogniem w paleniskach, które płonęły wyrzucając iskry, jak z czarnych miechów.

Tajemnicza kobieta przywiodła Jacky'ego do sali z połączanymi ścianami. Reliefy ściennie w metalu przedstawiały jakieś sceny, w których Jacky rozpoznał historię mitu Kybele - Agdistis i Attysa.

Kobieta pomogła Jacky'emu położyć się na jedwabnych poduszkach wyściełających posadzkę. Miała zielone oczy w odcieniu liści winogron. Pocałowała go. Jacky wdychał woń jej czarnych włosów, która przypominała mu zapach ziemi.

Obejmowali się, po czym wszedł w nią. Ujrzał w jej oczach przelotne spojrzenie - jakby niebieskiej poświaty, wyraz energii, która zdawała się iskrzyć i lśnić. Jacky próbował jej dotknąć, ale zanim zdążył cokolwiek zrobić, zbudził się w wannicy mokry od rosy i swego nasienia.

*

Kiedy rankiem następnego dnia Jacky obudził się, poszedł zaraz pod prysznic. Wszedł do kabiny i długo kąpał się w parującej, gorącej mgle.

Gdy wychodził spod prysznica, spojrzało na niego bacznie kilku z kąpiących się chłopców. Zaczęli znacząco szturchać swych sąsiadów, a wkrótce wszyscy przebywający w łaźni otwarcie wpatrywali się w Jacky'ego. Ktoś klasnął w dłonie, pozostali podchwycili to i bili brawa.

Jacky patrzył na nich skonfundowany. Wreszcie spojrzał w dół. Jego penis ogromnie urósł. Jacky uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Ogier - rzucił ktoś.

Jacky roześmiał się, ubrał i zszedł na śniadanie.

*

Po lunchu Jacky udawał, że śpi, ale bacznie rozglądał się wokół spod przymkniętych powiek. Maddy przenosiła się z miejsca na miejsce. Gdziekolwiek poszła, zaraz zbierała się wokół niej grupa mężczyzn, aby rozmawiać z nią, zbliżyć się do niej, dotknąć jej ramienia albo pasemka włosów. Cały czas była w ruchu, to wstając, by uciec przed nimi, to znowu ponownie siadając.

Jacky czuł, jak na jej widok narasta podniecenie. Jego ogromny fallus niemal rozsadał mu džinsy, a on nie mógł opanować żądz. Zobaczył wówczas Elbę, Dunkę, która wpatrywała się w niego. Zdawał sobie sprawę, że przyciągał uwagę kobiet w nie mniejszym stopniu jak Maddy interesowała mężczyzn, tyle tylko, że kobiety miały bardziej oględne spojrzenia.

Jacky usiadł i posłał Elsie uśmiech. Odwzajemniła go. Skinął na dziewczynę, ruszył w stronę drogi i czekał za pagórką. Wkrótce zza

zakola wyłoniła się Elsa i podeszła bliżej. Jacky zawrócił i odszedł, zanim zdołała zbliżyć się do niego.

- Dokąd idziesz? - zawołała za nim Elsa.

Jacky nie odpowiedział. Szedł dalej w dół drogi. Skręcił w pola i czekał, aż wysoka blondynka dogoni go.

- Zobaczą nas - powiedziała nerwowo.

Jacky wziął ją mocno w ramiona. W podnieceniu ściągał jej bluzkę. Jeden z guzików oderwał się i odpadł, poły bluzki rozchyliły się. Elsa nie miała na sobie stanika, a Jacky zaczął żarłocznie gryźć jej piersi.

Elsa wydawała ciche, niemal zwierzęce odgłosy strachu i pożądania, a następnie powaliła Jacky'ego na ziemię z obawy, że ktoś ich zobaczy, gdy tak będą stali. Dłonie Jacky'ego znalazły się w jej kroczu. Ona z kolei położyła swe dłonie na jego członku, ale cofnęła je z przerażeniem.

- Jest za duży - powiedziała, lecz Jacky zdierał już z niej majtki i zsuwał je do kostek. Wziął ją jak zwierzę - bez uczuć, kierując się tylko żądzą. Wszystko sprowadzało się do energii, płynącej z ziemi poprzez korzenie i otaczające ich wokół krzaki winorośli. Z rozwartych, podrapanych ud Elsy sączyła się krew, a Jacky najchętniej zabiłby dziewczynę, gdy tak leżała - jako ofiarę poświęconą ziemi i winnicy.

Następnie przyszło spełnienie. Razem przeżywali dreszcze ekstazy i finał spełnienia na samym środku pola.

Jacky pomógł jej założyć dzinsy i otarł łzy. Kącikiem oka < zobaczył Lorenza ukrytego w winoroślach, jak przygląda się im z uśmiechem.

*

Ostatniego wieczora winobrańcy urządzili małą uroczystość.

Monsieur Gonet przyszedł do dużej sali, aby wypłacić zarobki. Prawie wszyscy zamierzali jechać na tydzień do Paryża na wielkie szaleństwo.

W czasie, gdy rozmawiali o planach, szef i jego dwaj serdeczni przyjaciele przynieśli skrzynki z winem. Rozdali każdemu po butelce z ubiegłorocznych plonów.

Korki wyjęto. Pojawiły się gitary. Zaczęło się picie i śpiewy. Później jeden z Duńczyków, który pracował tu w ubiegłym roku, powiedział, że trzeba wybrać króla i królową plonów. Jedna z Dunek zrobiła dwie tekturowe korony.

Poza kilkoma żartobliwymi głosami na szefa i monsieur Goneta, głosowano niemal jednomyślnie; wygrali Jacky Judd oraz Madeline MacVee.

Królowi i królowej wręczono nożyce do zbioru gron jako oznaki władzy oraz wojskowe koce jako monarsze płaszcze. Winobrańcy wzięli się za ręce i tańczyli wokół pary królewskiej. Potem mężczyźni pochwycili Jacky'ego i zaprowadzili do łaźni. Ktoś odkręcił kurek prysznicza z zimną wodą, a kilku z mężczyzn ze śmiechem zdejmowało z Jacky'ego ubranie. Gdy już był nagi, śmiechy ustały, a ci, co byli na czele grupy, wycofali się.

Jacky stał przed nimi z rozwichrzonymi włosami i brodą w nieładzie. Wyrwał butelkę wina najbliższemu się chłopakowi. Opróżnił ją trzema łykami. Odrzucił głowę w tył i zaśmiał się. A jego fallus, który nabrał monstrualnych wymiarów, obscenicznie dygnął.

*

- Maddy - szeptał Jacky, potrząsając nią na jej legowisku. -
Maddy - obudź się!

Zamrugwała powiekami.

- Co się dzieje? - wyszeptała.

- Dziś wieczorem - powiedział - Chcę, żeby to było dziś
wieczorem. Nie mogę już dłużej czekać. Rozumiesz?

Odwróciła oczy, ale przytaknęła głową.

- Chcę pić to wino - rzekł Jacky.

- Tak - powiedziała Maddy. Ubrała się zaraz.

Księżyc przybladł, więc Jacky przyświecał sobie lampką, by nie zgubić drogi.

- Zupełnie nie podoba mi się plan Lorenza, żeby jutro dzielić się winem - powiedział Jacky. - Lepiej będzie, jak weźmiemy swoją część już dziś wieczorem.

- Gdzie on się teraz podziewa? - spytała Maddy.

- Leży w łóżku, zwinięty w kłębek.

Maddy wzięła Jacky'ego za rękę i ścisnęła lekko. Samo dotknięcie wystarczyło, żeby jego ciało zadrżało z pożądania.

*

Uklękli nad dzbanem i chichotali jak dwoje małych dzieci. Jacky pociągnął z naczynia, a potem podsunął je Maddy.

- Dopijmy do końca - powiedział Jacky.

- Nie wiem, czy powinniśmy? - zapytała Maddy.

Twarz Jacky'ego rozjaśniła się.

- Kocham cię - powiedział. Odebrał dzban z jej rąk i pił wielkimi haustami.

*

Jego ciało jakby stało się płynnym ogniem, pulsującym od rozżarzonej bieli do czerwieni.

Maddy goniła cienie w sekretnej niszy. Ona się śmiała i śmiały się też cienie. Były jak żywe i kiwały na nich niczym czarne płomienie. Jednak kiedy tylko Jacky zbliżył się do Maddy, już jej nie było.

- Jacky - zawołała - jestem tu, na ołtarzu.

Jacky, potykając się, zmierzał w stronę miejsca, gdzie kamienna płyta wystawała ze ściany. Postać Maddy oświetlał krąg światła, rzucanego przez lampkę. Opierała się o górną część płaskorzeźby. Bluzkę miała rozpiętą i jej olbrzymie piersi zdawały się jeszcze większe przy tym świetle. - Jacky! - zawołała Maddy. - Chodź do mnie, Jacky. Weź mnie tutaj.

Jacky zrzucił z siebie koszulę i zdjął spodnie. Podszedł do niej.

Wtedy, spośród cieni, wyskoczył Lorenzo. Błyskawicznie znalazł się przy Maddy. Odsłonił dwie zakryte komory i wyciągnął z nich metalowe taśmy, których użył, by skuć dłonie dziewczyny. Uklękawszy, odsłonił kolejne dwie komory i przykuł jej kostki. Następnie obwiązał coś wokół głowy Maddy, zatykając jej usta.

Jacky obserwował tę scenę skamieniały ze zdumienia. W chmli, gdy Lorenzo wyszczerzył się do mego w uśmiechu, uderzył go. Lorenzo rozciągnął się jak długi.

- Puść ją! - wrzeszczał Jacky:

- Nie bądź kompletną dupą, Amerykaninie! - krzyknął Lorenzo wściekłym głosem. - W tym stanie pożre cię żywcem.

Jacky spojrzał na Maddy, której głowa powoli zataczała się w tył i w przód. Miała szeroko otwarte oczy, które błyszczały w przytłumionym świetle.

Lorenzo podszedł do niej, zasłaniając Jacky'emu widok. Kiedy się cofnął, Maddy leżała naga, a jej dzinsy były rozcięte.

Jacky ujrzał obraz jak z horroru. Całą przestrzeń jej ciała od pępka do ud zajmowały potworne szczęki, pokryte czarnymi, najeżonymi włosami, przypominające odwłok pająka.

- W co ty ją zamieniłeś? - wyszeptał przerażony Jacky. - Jest tym, czym zawsze była - powiedział Lorenzo. Pogłaskał jej policzek. - Czyż nie tak, Matko?

Szczęki zwarły się. Wyływał z nich płyn, gęsty jak ślina, który utworzył małą kałużę na posadzce.

Wówczas spośród cieni wyłonili się szef i Gonet. Obaj byli nadzy, więc Jacky zauważył, że nie mieli penisów. Na ich miejscu widniały tylko postrzępione szramy. Nieśli razem małe wiaderko z zamocowanymi na obrzeżu dwoma łańcuchami.

Gonet siłą wepchnął wiaderko w rozwarte szczęki i po chwili już nie było go widać. Wtedy obaj mężczyźni, trzymając owe łańcuchy, uklękli po obu stronach kamiennej tablicy.

Jacky wpatrywał się. Po części napełniało go to obrzydzeniem, po części odczuwał intensywne pobudzenie.

Lorenzo rozebrał się, ukazała się wtedy i na jego pachwinie poszarpana szrama.

- Powiedz mi, co czujesz, Amerykaninie - powiedział. - A może ja mam ci powiedzieć? Ustępują twoje emocje czy - mówiąc lepiej - twoje ludzkie żądze. Zaczynasz sobie zdawać sprawę z tego, do czego zostałeś wybrany. To co widzisz, jest tak stare jak człowiek. Starsze nawet. Tak stare, jak samo życie. Nie możesz się temu oprzeć - podobnie, jak ocean nie może odeprzeć przyciągania księżyca ani dzień nie może zapobiec zapadnięciu nocy.

Jacky zobaczył w oczach Maddy błysk niebieskiej energii, tej samej siły, którą widział w oczach bogini podczas swej wizji. Następnie odczuł tę moc pod stopami, wypływającą jak uśpiona burza. Wiedział, że bez czerwonej energii wewnątrz siebie była ona zbyt słaba. Konieczna jej była jego krew, jego męskość, dla swego pobudzenia musiała dostać jego nasienie.

- To co poznałeś, można ujrzeć tylko raz w życiu - powiedział Lorenzo - a raz poznane, nigdy nie zostanie zapomniane.

- Najlepszy czas w mym życiu - wyszeptał Jacky. Szczęki Maddy zwały się ponownie. Przez ziemię przelała się niebieska poświata energii. A Jacky, ze sterczącym penisem parł do przodu. Z impetem wszedł w tę, która zawsze była jego kochanką, jego boginią, jego królową.

A. R. MORLAN

0 wampirach i dżentelmenach

Krótko przed północą...

O spokojnym czasie, kiedy nawet delikatne oddechy dwudziestu dziewcząt w sypialni akademika zdawały zlewać się w jedno, z niemal bezszelestnym przepływem nocnego powietrza przez zakryte bielą przejrzystej tkaniny okna, o czasie, kiedy ciemności oznaczały nie tylko sam brak światła, ale także dodatek czegoś, czego brakowało ponuremu dniu: woni, która nie miała określonego zapachu, ciśnienia w nic nie ważącym powietrzu, dodatkowym ciepłe

chłodnego raczej pokoju - wtedy właśnie, w tej godzinie, którą dziewczęta nauczyły się nazywać „czasem wampirów”, Elizabeth stwierdziła nagle, że gwałtownie i całkowicie się rozbudziła z jedną dłonią na piersi, a drugą na okrytym koszulą nocną wilgotnym, rzadko porośniętym włosami, gorącym pagórku. Wsłuchiwała się, natężając słuch w biały szum stłumionych oddechów i przepływu powietrza, czekając aż usłyszy je o ożywione trzepotanie skrzydłami, skrzydłami odmieńca, usłyszy szelest jego peleryny w zetknięciu z tkaniną jej kołdry, usłyszy lekki odgłos wydawany przez jego rozwierające się wargi, cienkie wargi pomalutku, nieskończenie pomalutku otwierające się z dźwiękiem, który dla niej i tylko dla niej tak wiele znaczył. Potem, dopiero potem nastąpić miał suchy chrobot podnoszonej powłoki i poły jej koszuli nocnej, ostrożny odgłos jego suchej, chłodnej dłoni ocierającej się o koronkowe obszycia przy guzikach nocnej koszuli... a Elizabeth zastanawiała się, czy guziki wydają jakiś dźwięk... przy wysuwaniu ich z dziurek.

O tych kwestiach wcześniej nie myślała, nie wyobrażała ich sobie, nie słyszała o nich od innych dziewczyn. Nic też nie mówiła pozostałym dziewczynom z grupy, wtedy, gdy stwierdziła, że i ona miała swój „czas wampirów”... a szczęśliwie żadna nie uważała tego za na tyle ważne, by było godne zadawania jakichkolwiek pytań.

Leżąc teraz w łóżku - jej ciało było spięte, ciepłe i gotowe - w oczekiwaniu na miękki odgłos jego przybycia, jego czas z nią, Elizabeth powiedziała sobie, że tym razem będzie naprawdę wiedziała dokładnie, wszystko co się czuje... nawet nie dlatego, by początkowo jej nie wierzyły. Najgorsze było to, że ona sama także prawie sobie uwierzyła. Elizabeth nie chciała ryzykować, by fantazja stała się zbyt doskonała, zbyt perfekcyjna, do tego stopnia, że trzeba by z niej zrezygnować... Ona nie była winna temu, że wampir tak długo zwlekał z przyjściem do niej, tak długo zwlekał.

To otwierała oczy, to zamykała. W końcu zdecydowała się zostawić je na wpół przymknięte, mając nadzieję, że taki seksy marzycielski wyraz twarzy będzie dla wampira pociągający. Musi on być pociągający dla wampira. Podciągnęła kołdrę aż pod brodę, podobnie jak czyniły to inne dziewczyny. Pod kołdrą jej dłonie pracowały po cichu, powoli, aż wilgoć ogarnęła fałdki w krętych

włosach, a powłoczka naprężyła się na jej piersiach. Spod przymkniętych oczu Elizabeth widziała okno naprzeciw swego łóżka i czekała aż ciemność za powiewnymi zasłonami odezwie się furkotem skrzydeł. Pamiętała, obserwując i czekając...

*

Skąd przybywał, nie wiedziały. Dlaczego przychodził do nich, niezbyt je to obchodziło. Doskonale za to orientowały się, kiedy przybywał, chyba że którejs udało się utrzymać to w sekrecie, zanim się inne dowiedziały.

Cecilly była pierwsza, a być może to ona pierwsza im powiedziała. Dziewczyny, wszystkie dziewczyny z akademika Elizabeth z pierwszego roku College'u dla Młodych Dam im. Mirandy Hawthorne - limit przyjęć nie mniej niż sto dziewcząt na semestr, zakaz pobytu mężczyzn na kampusie, przepustki na weekend tylko dla studentek starszych lat, zakaz palenia, żadnego alkoholu, podobnie narkotyków, korporacje i stowarzyszenia studenckie niedozwolone, ciąża wykluczona, same nie, n i e i n i e o cokolwiek by zapytać; instytucja, która miała wychowywać młode, wartościowe, wysoko wykształcone damy; instytucja, która zapewniała rodziców, że o przyjęte na studia (koleżanki Elizabeth powszechnie mówiły „skazane”) dziewczęta nie muszą się martwić, a za to z dumą oznajmiać „Moja córka się kształci” i jest tak naprawdę - otóż wszystkie one były w długiej, wąskiej łazience akademika. Wycierały się ręcznikami, pudrowały, myły zęby, płukały gardła i robiły to wszystko, co każdego ranka robią dziewczyny w domach akademickich w całym kraju, przekrzykując w rozmowach typowo kobiecej harmider. Wtedy to właśnie głos Cecilly przeciął wrzawę poranka, jak syrena strażacka symfonię:

- B y ł a m z wampirem wczorajszej nocy! - oznajmiła wszem i wobec, pochylając się nad jedną z umieszczonych w szeregu wzdłuż ściany umywalek, noszących ślady tuszu do rzęs, pasty do zębów i mydła i wskazując różowo zakończonymi palcami na swą białą szyję. Nie minęła sekunda, a już otaczało ją wkoło dziewiętnaście ociekających wodą, osypanych pudrem, na wpół ubranych dziewcząt, a każda z nich usiłowała dopchać się dostatecznie blisko, ale bez dotykania, aby móc wpatrywać się w dwa czerwono podbiegnięte krwią otworki

na jej szyi. Natychmiast zabrała głos Patty, studentka literatury angielskiej, która znała się na takich sprawach jak wampiry.

Odepchnęła koleżanki, doskoczyła do sąsiedniej umywalki i pochyliła się, wbijając wzrok w szyję Cecilly. Zaczęła ją zasypywać pytaniami:

- Czy źle się czujesz? - Uhm... raczej tak.

- Czy widziałas jego cień na ścianie? Czy była pełnia księżyca?

- Poczekaj, była, ale on nie... To znaczy, nie, nie widziałam!

- Czy on wszedł czy przyleciał?

- Jedno i drugie, to znaczy wleciał, a potem podszedł do okna, ale ja myślałam, że to sen, rozumiesz, więc ja nie... - Czy on ... hm... no w i e s z?

- Co wiesz?

Wtedy wszystkie roześmiały się nerwowo, a twarz Cecilly na chwilę spłonęła rumieńcem. Patty podskoczyła, a Cecilly wyjąkała:

- No wiesz, nie wiedziałam, że on był p r a w d z i w y, gdy to robiliśmy... nie sądzisz chyba, że on może być chory? Na przykład na AIDS? To znaczy, gdyby on... gdybym ja złapała...

Katie studiowała biologię, mając nadzieję na przejście na medycynę (tam przynajmniej na roku są prawdziwi mężczyźni - powtarzała często przy porannej filiżance kawy), stąd też wyraziła własne zdanie:

- Sądzę, że to zależałoby od tego, z kim był przed tobą, chociaż właściwie wampiry to nie ludzie, więc może wirus nie mógłby przeżyć... Do licha, n i e wiem...

- Czyż nie mógł to być sen? Mogłaś zadrapać się podczas snu... - powiedziała Leslie, która z racji studiowania psychologii uważała się za młodego Freuda. Katie wbiła wzrok w podwójne otworki i oznajmiła:

- Rany klute. Tego się nie da zrobić paznokciami ... nawet tymi twoimi, sztucznymi, Leslie.

Zanim obie dziewczyny zdołały podjąć próby sprawdzenia, czy prawdziwe albo sztuczne paznokcie mogą spowodować rany klute,

Cecilly, drząc w swej brzoskwiniowej, obszytej jasną koronką koszulce (pod której lśniącej materią uwypuklały się brodawki piersi), zapytała:

- Czy to ma znaczyć, że ja także zostanę wampirem? Nie lubię nigdzie chodzić po nocy!

Patty przemyślała to przez chwilę i orzekła:

- Świeżona woda powinna pomóc, jeżeli naleje się ją bezpośrednio na ranę ... przynajmniej tak jest w książkach. Ale książki są o fikcyjnych wampirach i nie zostały pomyślane jako poradniki. Kaplica chyba jest otwarta. Czeka - wewnętrzną powierzchnią dłoni uderzyła się w czoło - nie trzeba nic więcej, jak tylko położyć na tym miejscu krzyż. Jeżeli ukaże się dym i wystąpi pieczenie, no to wtedy to jest prawdziwe ugryzienie wampira.

Cecilly była oburzona:

- Nikt nie będzie mi robił takich testów!

- Ale my sobie nie życzymy, żebyś czała się i kąsała nas po nocy - powiedziała piskliwym głosem Elizabeth, i zanim Cecilly zdołała zdobyć się na dalsze protesty, Jeanie zdjęła swój gustowny naszyjnik z krzyżykiem; podczas gdy dziewczyny przyparły Cecilly do zimnej, białej umywalki, Jeanie przyciskała krzyżyk dokładnie w miejscu dwu małych otworków, a wtedy...

A wtedy nic się nie stało. Dziurki pozostały na swoim miejscu, a kiedy wreszcie dziewczyny puściły Cecilly (brodawki sterczały jej jak małe marmurowe pączki róży, wypychając cienką koronkę koszulki), była wściekła na nie, ale nie toczyła piany z ust po zetknięciu się z krzyżem. Zabiło to Patty klina. Katie przyłożyła na ranki nieco nadtlenku; od niego zrobiły się tylko małe pęcherzyki, ale tkanka wokół pozostała bez zmian. Leslie wypytywała, czy Cecilly mogła chodzić we śnie i nadziać się na coś, ale dziewczyny przyjmowały to z jednakowym znudzeniem. Cecilly miała skłonności do dramatyzowania, wspomagane fikuśną, powiewną bielizną z koronkami, koronkowymi sukienkami, czarną jak skrzydło nietoperza mascarą... i rzeczywiście, jeżeli wampir fruwał w nocy, to z pewnością Cecilly stanowiła dla niego najbardziej ponętny cel, z jej długimi, kręconymi włosami i kremową cerą. Wysoce

prawdopodobne, że - zgodnie z tym co mówiła dziewczynom Elizabeth podczas lunchu (w College'u dla Młodych Dam im. Mirandy Hawthorne studentki pierwszego roku zajmowały osobny stół) - nie był to typ wampira, jaki spotyka się w czytanych przez Patty horrorach - być może był to d o b r y wampir.

Począwszy od tego dnia, Heather i Cecilly zawsze siedziały razem przy posiłkach, a wkrótce ich ekskluzywne szeregi zasilila Jeanie, która przez pomyłkę w nocy nosiła swój krzyżyk, a m i m oto miała gościa, co skłoniło Leslie do ożywionego szczebiotu:

- Może to jest wampir ateista, co? - zapytała Carol. A Patty dodała:

- Nie można wierzyć we w s z y s t k o, o czym się czyta w książkach.

Kiedy minęło kilka dni, w czasie których żadna z dziewcząt nie urządziła pełnego ekspresji pokazu w łazience, pośród szesnastki „nie wybranych” narastało potężne napięcie, a każda zastanawiała się: Czy on jeszcze wróci? Czy chciał tylko tych kilku? Leslie żartowała, że może wyszukał dla siebie zdesperowaną studentkę trzeciego roku albo brzydką magistrantkę, ale rzecz w tym, że wszystkie studentki wyższych lat w college'u były dość atrakcyjne, popularne i żadnej z nich nie można by określić mianem „puszczalska” ani „chamka”. Wieczorem drugiego dnia od czasu jak przestał się pojawiać, Leslie powiedziała:

- A może to Patty tak go urządziła, no wiesz, może zaraził się od niej mołem książkowym.

Patty niemal zapomniała, że jest Młodą Damą i próbowała dorwać Leslie zza stołu nad pieczeniową wołową. Jej siostry w neowampiryzmie powstrzymywały ją i zdołała tylko wymamrotać:

- Masz szczęście.

Nad talerzem surówki ze szpinaku Patty kręciła głową z dezaprobatą, ale pozostałe słuchaczki wysoce zaintrygowane prosiły, by Elizabeth mówiła dalej.

Z pewną dozą zażenowania (w końcu była przecież studentką matematyki) Elizabeth powiedziała:

- No cóż, może on wcale nie chce krwi, ale ... założmy, że to taki uczuciowy facet, może zanim został wampirem, był seksownym, zmysłowym typem faceta i o to mu najbardziej chodzi. Noto gdzie jest wtedy lepsze miejsce niż tutaj? Tu nie ma stałych par co noc...

- U nas jest inaczej niż wśród dorosłych - wtrąciła Heather, z frustracji tnąc na strzępy liść szpinaku. Dziewiętnaście głów wokół długiego stołu przytaknęło, podczas gdy w ich sąsiedztwie, tylko z pozoru bliskim, stoły studentek starszych lat rozbrzmiewały pełnymi zadowolenia i radości śmiechem i gwarem. Chociaż żadna dziewczyna nie wypowiedziała tego wówczas, to jednak pomyślały jednakowo: W innych akademikach nie doceniono by go, nie zauważono.

Stopniowo, podczas zajęć pomiędzy lunchem a kolacją, studentki pierwszego roku doszły do przekonania, że być może, tylko być może, ich wampir był z rodzaju tych dobrych i nie zamierzał nic więcej, jak tylko dodać im trochę otuchy jako rekompensatę za krew, którą tak delikatnie im zabierał. Na tę myśl Elizabeth odczuła miłe ciepło i w czasie ćwiczeń z algebry powiedziała sobie: Równie dobrze i mi przydałoby się trochę otuchy i nie miałabym nic przeciwko temu. A w chwilę później, przypomniawszy sobie nabrzmiałe brodawki Cecilly i talerz Heather z niemilosiernie posiekany szpinakiem, dopowiedziała sobie znad diagramu Vena: Z pewnością pozostałe dziewczyny też nie miałyby nic przeciwko drobnej dozie otuchy.

Podczas kolacji (dłoń Cecilly ciągle błędziła wokół spowitej szalem szyi) rozmawiały o „swoim” wampirze; próbując ustalić, gdzie jest jego miejsce spoczynku (każdy wiedział, że nietoperze były w skrytce na narzędzia nad stajnią, a także - o ironio losu - w dzwonnicy kaplicy), stwierdziły, że na pewno wyczuł on zapotrzebowanie wśród najmłodszych studentek college'u (- Już ja wiem, Leslie, on usłyszał twój wibrator! - Wcale nie!), a podczas deseru jednomyślnie zadecydowały (bez względu na nieziemskie choroby, w końcu przecież i tak nauka stworzy szczepionki na wszystko, wcześniej czy później), że j e ż e 1 i miałyby on znowu przyjść, nie będą się opierać...

Przybył ponownie. Dziewczęta nie czyniły żadnych specjalnych przygotowań - poza zostawieniem otwartych okien (w ich zabytkowym budynku nie było siatek w oknach; ceną, jaką przyszło

płacić za świeże powietrze bywała obecność nielicznych na szczęście komarów) i baczeniem, by ubierać się w najlepszą, najbardziej zmysłową bieliznę nocną - a jednak następnego ranka Heather powolnym krokiem udała się do łazienki i bez słowa stanęła na środku, odsuwając dłonią piękne, żółtawe włosy z szyi, czekała, aż zwrócą się na nią wszystkie oczy. Tym razem pytały o nieco inne rzeczy:

- Czy ... c z u ł a ś też chłód? (To Cecilly, która powinna była pamiętać).

- Nie, raczej nie, ale, no wiesz, ciepły też nie był... - Czy ciebie też całował? .

- W s z ę d z i e, gdzie tylko chciałam. (Chichoty po tym i niejedna para wilgotnych majtek).

- Czy coś powiedział?

- Nie, Patty, ale ja wcale nie miałam czasu o cokolwiek pytać!

- Czy rzucał c i e ń? - spytała Leslie z sarkazmem, spoglądając na Patty. Przesuwając się w stronę najbliższej umywalki (z wampirami czy bez, Heather nadal przyciągała uwagę, podobnie jak Cecilly w różowym kompleciku składającym się ze skąpego stanika i mini - majtek), Heather ucisnęła skórę wokół swej rany i powiedziała:

- Byliśmy zbyt zajęci, abym mogła to z a u w a ż y ć. Następnie spytała samą tylko Cecilly:

- Czy on ... - pochyliła się nad nią i szeptała jej coś do ucha. Cecilly spłoszyła, stając się równie różowa jak jej bielizna i energicznie przytaknęła głową, po czym jej usta znalazły się w grzywie włosów Heather i zaczęła szeptać jej coś, co spowodowało, że Heather mocno ścisnęła razem nogi i wykrzyknęła:

- N i e m o ż l i w e, on? - Wtedy wszystkie pomału zaczęły wychodzić z pomieszczenia.

Jak się okazało, właśnie Leslie tej nocy z o s t a ł a tą szczęśliwą... podobnie jak, na swój sposób, Elizabeth. Łóżka w akademiku dzieliła odległość około pięciu stóp, przy czym dwa rzędy po dziesięć łóżek stały naprzeciw siebie wzdłuż przeciwległych ścian, a pomiędzy każdymi dwoma łózkami znajdował się nocny stolik, z

wyjątkiem skrajnych, które miały osobne stoliki pod ścianą. Pod pozostałymi ścianami stały rzędem szafy na ubrania, z przerwą w miejscu, gdzie przypadają drzwi na korytarz i do łazienki. Leslie miała jedno z łóżek na skraju rzędu, ze stolikiem nocnym między łóżkiem a ścianą. Łóżko Elizabeth sąsiadowało z łóżkiem Leslie, a w tę właśnie wrześnieową noc księżyc w pełni oświetlał salę tak, że panował w niej tylko półmrok. Elizabeth stopniowo zaczęła zdawać sobie sprawę, że rama łóżka obok niej porusza się w prawo i w lewo, w jedną i w drugą stronę, trzeszcząc cicho. Rzuciła szybkie spojrzenie na Paulę z następnego, sąsiadującego z nią łóżka (leżała zwinięta w kłębek, plecami do Elizabeth), a następnie szybko odwróciła głowę, by popatrzeć na łóżko Leslie... a pierwszą 'rzeczą' którą ogarnęła umysłem, było: Nie ma cienia... w ogóle żadnego cienia; obserwowała cień Leslie na ścianie przy łóżku, który wydawał się wznosić do góry i opadać w dół, z nogami obejmującymi ciasno nicość wokół...

Elizabeth była na tyle onieśmielona, że nie spojrzała na niego, nie mogła jedynie powstrzymać się przed przelotnym rzutem oka (ciemność, taka ciemność) i to krótkie spojrzenie wystarczyło, że do czasu nim zasnęła, leżała z zaciśniętymi mocno powiekami, wyteżonym słuchem, aby uchwycić najcichszy nawet dźwięk, najdelikatniejszą pieszczotę spowitego w satynę ciała... a podczas gdy tak leżała, wsłuchując się (Coś do niej szeptał, słyszałam to), w jej umyśle zaczął się tworzyć plan.

Jakkolwiek zmysłowym wydawał się ich wampir, to jednak był nieobliczalny. Przez dwa dni pozostawił je gotowe i w napięciu, oczekujące i w końcu spierające się o to, która - jeżeli w ogóle któraś - będzie następna. Stąd też doszło do tego, że obawa, iż n i e przyjdzie (niespodziewany dwuznacznik, 1 e c z...) bardziej trapiła dziewczęta niż obawa przed robieniem naprawdę t e g o z wampirem, nieziemską istotą, śpiącą w ukryciu na ziemi, zwieszającą się na stopach, obdarzonych skórnymi błonami, ukrytą pośród innych n i e t o p e r z y na kampusie. Wytworzył się nowy układ i podział na „wybrane” i „nie wybrane”, podział ważniejszy i o większym znaczeniu niż stare kwestie: która jest kapitanem drużyny piłkarskiej na boisku, która decyduje o składzie drużyny, a która będzie kierować kołem studenckim. Ten nowy układ był odmienny, bardziej znaczący.

Główną rolę odgrywało w nim coś, co było poza nimi, poza ich małymi paczkami i narzuconymi regułami społecznymi, coś, czego przemożnemu wpływowi wszystkie podlegały. Ni stąd ni zowąd dostrzeżenie dwu małych otworków na szyi było t y m właśnie, co odróżniało Dziewczyny od Kobiet, Wtajemniczenie od Niewtajemniczenia. Nawet cyniczna, zimna, przed niczym nie wzdragająca się Leslie, na to nie była uodporniona. Nawet ona siedziała, żując gumę przy wewnętrznej powierzchni policzka, i kiedy, jak sądziła nikt nie patrzył - bez wątpienia zastanawiała się: Dlaczego nie przyszedł do mnie?

Elizabeth wiedziała, o czym przemyśliwała Leslie ze swego osobistego doświadczenia. Ona również czuła wilgoć w majtkach, kiedy tylko pomyślała o n i m i zastanawiała się, czy wieczorem nadejdzie magiczny czas, ten niewyobrażalny moment. I ona także zaraz po obudzeniu wędrowała do łazienki, żeby wpatrywać się w swe ostro oświetlone odbicie i zastanawiać, dlaczego znowu się to nie stało. W przypadku p r a w d z i w y c h mężczyzn dziewczyna ma przynajmniej szansę choćby dostania kosza. Ale tu...

Elizabeth starała się udawać zaskoczenie, gdy Leslie zaczęła podskakiwać w górę i w dół przed lustrem, jej bosc stopy plaskały o zimną posadzkę z zielonej terakoty, a niewielkie piersi wznosiły się i opadały pod białą piżamą. Leslie wkrótce otoczyły 'siostry' w cielesnym, zmysłowym wampiryzmie, a pozostałe dziewczyny wiedziały już wszystko i nie potrzebowały zadawać żadnych pytań. Znały dość szczegółów, by stworzyć tysiąc fantastycznych historii... jednak Elizabeth miała w zanadrzu asa, czego pozostałe „zawodniczki” nie były świadome. Mimo że sama nie doświadczyła tego przeżycia, to jednak dzieliło ją od niego tylko pięć stóp. A słuch miała doskonały.

Następnie pojawiał się przez dalsze pięć dni (Paula - Elizabeth spała wtedy - później Katie i Chris, a potem Lisa i po niej Erika), po czym ich ulotny Romeo znikł na tydzień, dwa, minął pierwszy semestr, a pozostawianie otwartych okien, choćby szparki, zaczęło być niedogodne (Leslie zaproponowała, że być może powinny zabić okna gwoździami, bo: - Już i tak jest za zimno na nietoperze - Elizabeth życzyła sobie, żeby Patty „przyłożyła” jej, jak za starych,

dobrych czasów) w chłodnym jesiennym powietrzu Minnesoty - a jednak grupka „nie wybranych” z religijną żarliwością pilnowała, by okna były otwarte, a one miały na sobie starannie dobraną najlepszą bieliznę i co wieczór dokładnie myły zęby.

Jednakże nieszczęsna dziewiątka budziła się codziennie, na próżno wypatrując i usiłując wyczuć upragnione małe dziurki. Widoczne było, że ich wampir miał zasadę jednej tylko nocy; jedenastka „wybranych” nigdy nie wspominała o jego powtórnej akcji, ale też i nie narzekały. Nawet kiedy ranki już całkiem znikły, miały je przecież, a podczas pozornie oderwanych od tego tematu rozmów pomiędzy „wybranymi” a „nie wybranymi” studentkami, wystarczyło dla zdobycia przewagi, by „wybrana” dziewczyna po prostu wskazała palcem na swą szyję:...

Elizabeth stale przemyśliwała swój plan wymyślony podczas nocy, w której on był z Leslie; czasami mówiła sobie, że plan jest niemądry, dziecinny, a innym znowu razem (wtedy, gdy „wybrana” dziewczyna delikatnie wskazywała palcem właściwe miejsce na szyi i obdarzała Elizabeth wymownym uśmiechem) myślała sobie, że jest coś wart, warto za niego cierpieć; nawet gdyby udało im się odkryć prawdę i nazwać ją kłamczuchą. Wszystko byłoby lepsze niż być „nie wybraną”. ...

Wybrała noc dokładnie w siedemnaście dni od czasu jego wizyty u Eriki. Oczekała aż usłyszy spokojny oddech wszystkich dziewczyn, wysunęła się z łóżka, bosy przemierzyła przestrzeń dębowej posadzki dzielącą ją od drzwi, a następnie ostrożnie przekreśliła klamkę i weszła do łazienki akademika, gdzie (zupełnie w stylu więziennym) nigdy nie gaszono lamp nad lustrami. Zamknęła za sobą wielkie, ciemne drzwi, aby jak najmniej światła wydostawało się na korytarz. Gdyby któraś ze studentek obudziła się i znalazła ją tutaj, zawsze mogłaby powiedzieć, że musiała iść do łazienki... faktycznie, najpierw m u s i a ł a , gdyż zimne posadzki pokoju i łazienki (otwarte okna też pod tym względem nie pomagały!) przyprawiły ją o ból pęcherza.

Skorzystała z toalety i dopiero wtedy podeszła do najbliższego lustro i wydostała coś z chusteczki do nosa, zrolowanej i ukrytej w spodniach od piżamy. Drżącymi palcami (trochę z zimna

przenikającego jej ciało od bosych stóp, a trochę z obawy, że ktoś ją przyłapie) wydobyła z futerału scyzoryk, a otwierając go niemal nie odcięła sobie opuszka kciuka. Dostała się do właściwego nożyka z dwoma zakrzywionymi, ostro zakończonymi ostrzami, które w świetle nad jej głową intensywnie połyskiwały, kiedy wzięła nożyk w prawą rękę; rękę tę powoli zbliżała do gardła, szyję wygięła do tyłu, modląc się do nieokreślonego bliżej świętego, ażeby nie przebić sobie tętnicy szyjnej.

Doprowadziła podwójne ostrze do styku z szyją i po ułamku sekundy trwającym wahaniu, wbiła je.

*

Następnego ranka piski zachwytu dochodzące z sypialni dziewcząt w akademiku rozchodziły się na pół kampusu. Powrócił! Przyszedł! Elizabeth w otoczeniu dziewczyn, pozostałych „wybranych”, do końca dnia musiała ciągle na nowo przedstawiać swe „przeżycie”, była wręcz zadowolona, że przygotowała dokładny plan swej opowieści i przepowiedziała ją sobie w duchu kilka razy w czasie, który upłynął od momentu, kiedy to zrobiła a godziną pobudki studentek. Kiedy podawała im wszystkie pikantne szczegóły przy porannej kawie i kakao, wszystko to wydało się jej tak bardzo prawdziwe, z każdym powtórzeniem całej historii obrazu, dźwięki, odczucia i wonie intensyfikowały się w jej umyśle tak dalece, aż sama szczerze uwierzyła, że on naprawdę przyszedł dla niej. O zakrwawionym ostrzu nawet nie myślała, jak gdyby już nie istniało wcale... i nigdy. Jeśliby nie widziała, co on robił z Leslie, własne fantazje zupełnie by ją zadowolily, jako że były tak żywe, tak głęboko zadowalające (i wolne od chorób) i niemalże jak prawdziwe. Było to jak kopulacja z mężczyzną jej marzeń, bez względu na to czy prawdziwym, czy migoczącym obrazem na ekranie filmowym, a który robił w każdym najdrobniejszym szczególe dokładnie to, co w tajemnicy wymarzyła sobie, że mężczyzna robiłby z nią. Gdy opowiedziała o tym swym „siostram”, przekonana była, że jej uwierzyły. Dlaczego miałyby nie wierzyć; po tym, jak opowiedziała swą historię, każda z dziewcząt kolejno mówiła o tych chwilach, gdy była z nim - o pieścizotach i całowaniu piersi, o języku penetrującym zakamarki ciała, o chłodnych, suchych dłoniach głaszczących i

dociekliwych, o nogach oplecionych wokół jego krytej przez pelerynę ciemności ('A więc to nie był sen, naprawdę t o widziałam!') - i wkrótce Dwunastka miała znowu wilgotne majtki i bolące miejsca, a Elizabeth próbowała nie patrzeć za bardzo z góry na pozostałą Ósemkę, jako że sama dobrze wiedziała, jak to jest po drugiej stronie.

*

Jest faktem, choć nie do udowodnienia, a mimo to jednak faktem, że kiedy bezpłodna para adoptuje dziecko, ni stąd ni zowąd drzewo może wydać owoc, a zamiast jednego dziecka będzie dwoje... Następnego ranka przyszła kolej na Val, która wyniośle brylowała w zimnej łazience wyłożonej zieloną terakotą, pozwalając by ją rozpieszczano i podziwiano. Natomiast Elizabeth musiała się powstrzymać przed zajrzeniem na dno kosza na śmieci, pod zużyte ręczniki papierowe i starannie wypchane opakowania chusteczek do nosa, aby nie sprawdzić, czy nie było tam zużytego ostrza albo wielkiej agrafki do pościeli, albo czegoś ostrego i teraz zakrwawionego. A jednak była przecież zawsze szansa, że wrócił naprawdę. Jeśli miało to być wynikiem fortelu Elizabeth, to nic złego. Jeśli nie, to czy komukolwiek mogłoby przeszkadzać, by i Val miała trochę s w o j e j fantazji dla s i e b i e?

I tak było ich Trzynaście, a Siódemka sumiennie uczęszczająca w milczeniu na zajęcia, jeżeli miała jakiegokolwiek wątpliwości, zachowywała je dla siebie. Minęły dwa dni, trzy dni i nie powrócił, jeżeli w ogóle można było mówić poprzednio o powrocie.

Elizabeth zastanawiała się, dlaczego inne dziewczyny nie pomyślały, by zrobić to - czy ze względu na galop w popłochu bosymi stopami w surowy świat terakotowej łaźni i brzydkie, stare armatury, ostre narzędzie w dłoni, wygiętą w łuk szyję, oczekiwanie na ostry, przelotny ból. Potem przypomniała sobie coś, co ktoś (może to nawet była ona sama) powiedział po przypadku Cecilly, coś o tym, że on wyczuwa u dziewczyn żądzę i w zamian za ich krew udziela otuchy? Być może pozostałe dziewczyny nie mają takiej samej żądzę albo też jest ona tak bardzo owiana strachem i obawą, że nie jest on w stanie nic dobrego dla nich zrobić. Podczas sporządzania diagramu Vena na ćwiczeniach powiedziała sobie: To jest niemądre. Przecież ty odczuwałaś taką samą żądzę jak wszystkie one, a jednak do ciebie nie

przyszedł. Może on dokonuje wyboru... a to by nie bardzo przemawiało na moją korzyść, prawda?' Jednakże wspomnienie o czymś, co widziała przed kilkoma dniami podczas rannych kąpiei pod prysznicami, skłoniło ją, by zastanowić się, czy wampir był w stanie zorientować się w ich rzeczywistych potrzebach i zareagować na nie. Cecilly rozmawiała z nią w chwili, gdy nad umywalkami robiły sobie makijaż i kiedy starała się nie zgubić wątku, zobaczyła, że coś się dzieje pod prysznicami za jej plecami (prysznice były typu obozowego, rozmieszczone wzdłuż tylnej ściany, wspólne, bez osobnych kabin, oddzielone od pozostałej części pomieszczenia długą zasłoną).

Nie była ona całkowicie zasunięta i w oparach gorącej wody wydawało się jej, że widzi jak dwie dziewczyny z „nie wybranej” Siódemki z czułością namydlają się wzajemnie z wyrazem rozkoszy na twarzach. Wówczas Cecilly zapytała ją o coś i w momencie gdy ponownie spojrzała w lustro, już ktoś zaciągnął szczelnie kotarę. Miała jednak pewność, że Nancy i Elaine świetnie sobie tam nadal radziły, a paragrafu: zakaz pieszczot ze współlokatorkami akademika - nie było. Wspominając ten incydent, Elizabeth zachodziła w głowę, czy wampir pominął te dwie, ponieważ one nie przyjęłyby z zadowoleniem jego chłodnego uścisku? Jest faktem, że i one brały udział w strojeniu się na noc, wyrażały rozczarowanie po przebudzeniu z nie tkniętą szyją, jednakże czy tak naprawdę były tym bardzo zasmucone?

A sama Elizabeth, a ona sama? Czyż nie przyciskała watki nasączonej nadtlenkiem na zadaną samej sobie ranę zaraz po tym, jak to zrobiła? L e s l i e nie wyskoczyła zaraz z łóżka, żeby przyłożyć nadtlenek na prawdziwy ślad od ugryzienia, a kto może wiedzieć w co wgrzyzały się te zęby poprzednio? A jednak, mimo zarazków, Elizabeth chciała, by wampir przyszedł do niej, dotykał ją i odkrywał tajniki jej ciała, by wziął tak mało w zamian za tak wiele, by wyszeptał do ucha:

- Jesteś m o j a - tak, jak zrobił to wobec Leslie i (zapewne) wobec Erki i Val, żeby zrobił to jej... a mimo wszystko, będąc w grupie „wybranych”, odczuwała dziwne zadowolenie. Nie była jak Nancy i Elaine, nic ją nie popychało, by ścisnąć namydlone, różowe

ciało i pieścić owłosiony, krągły srom, nie martwiło ją nawet to, że któraś z dziewczyn rzucała badawcze spojrzenie na jej ciało. Nic ją nie obchodziły fantazje seksualne innych, skoro tylko trzymały swe ręce przy sobie - chociaż nie była sama siebie dostatecznie pewna, by nie martwić się o skłonności homo, tak jak gdyby było to coś, czym można r z e c z y w i ś c i e zamartwiać się. Z drugiej jednak strony... nadal była dziewicą, z wyboru, nawet zanim rodzice przekonali ją, by poszła do t e g o college'u. Na razie więc odpuściła sobie tę sprawę i skoncentrowała się na matematyce...

*

Leżąc w łóżku, spięta i falująca pod kołdrą, Elizabeth zobaczyła go, w jego zwierzęcej postaci frunącego i trzepocącego skrzydłami w futrzanej ciemności za oknem, a jego niewielkie ciało rzucało niesamowite, nieziemskie cienie na powiewne, białe zasłony. Okna (tylko kilka z powodu zimna) były otwarte na kilka cali... na tyle szeroko, by zmieścił się mały nietoperz. Kiedy nietoperz prześliznął się już przez tę wąską szparę, rozsunął przy niej zasłonę zamiast przelecieć przez salę do jej łóżka, zaczął się powiększać. Tracił swój zwierzęcy kształt, stawał się amorficzny. Przenosząc się w ciemnościach w górę i dół, chwilami był tak przejrzysty, że widziała prześwitujące przez niego światło księżyca, chwilami zaś był masywny, gęsty jak welwet. Jego o d g ł o s... jak gdyby futro ocierało się o jedwab, łagodnie zmysłowy, odczucie maksymalnego c i e p t a, pod którego wpływem delikatne włoski na jej ramionach i udach podniosły się i spokojnie ułożyły. Bezszelestnie podszedł do jej łóżka, a pod kołdrą jej dłonie działały bez przerwy i rytmicznie, nie tracąc uderzenia... następnie zatrzymały się, kiedy stanął przy niej, plecami do leżącej w swym łóżku Leslie. Pod kołdrą Elizabeth była gotowa. Leżała w pozycji orła, wpatrując się w ciemności w jego oczy rozświetlone ich własnym światłem... a gdy on popatrzył na nią, Elizabeth poczuła swą ż ą d z ę - i po raz pierwszy, w p e ł n i ją zrozumiała.

- Chcę wytworów wyobraźni, nad którymi panuję, które zależą ode mnie, a nie od rzeczywistości, na którą nie mogę wpływać ani jej przewidywać... - i w tym momencie, z rzeczywistością niemal pod ręką, z wampirem stojącym przy niej, gotowa, wiedziała, że bez

względu na to co o n zrobi, nigdy nie będzie to tym, co chciałaby, ażeby jej zrobiono, nawet gdyby próbowała wyjaśnić mu, czego pragnie. Przy wyjaśnianiu coś mogłoby ulecieć... coś, czego mogłaby p o ż ą d a ć.

Zrozumiawszy jej potrzebę, wampir pochylał się coraz to niżej i zanim ugryzł ją w szyję (on przecież też odczuwał potrzebę), wyszeptał oddechem o zapachu ziemi, miedzi i podstawowej woni czegoś, czego nie znała:

- Wiem, kiedy jestem potrzebny... a kiedy nie. Jesteś teraz naprawdę 'wybrana' ... w twojej rzeczywistości, na t w ó j sposób. - Zamknęła oczy, podczas gdy on szybko zaspokajał swą potrzebę i nie spojrzała, jak oddalał się od jej pozostawionego w spokoju ciała, odlatywał nie wykorzystany i bez tęsknoty. Kiedy już go nie było, jej dłonie powoli gładziły ciało pod kołdrą, tak długo aż znalazła miejsca żądź. Niespiesznie oddając się marzeniom, Elizabeth i wampir spędzili resztę nocy kochając się najlepiej, jak tylko może śmiertelna kobieta, a Elizabeth postanowiła, że nic n i e p o w i e współlokatorom o jego powtórnej wizycie.

Jej wampir nie pochwalał zachowań, które mogły wzbudzić zazdrość innych ludzi. Był przecież dżentelmenem.

DAVE SMEDS

Życiowa dawka

Dom miał w sobie coś specjalnego. Od samego początku. Był wielki, w wiktoriańskim stylu, położony tuż za miastem, na trzyakrowej działce. Konieczne były drobne prace tynkarskie i malowanie, ale dzięki nieco zaniedbanemu wyglądowi nie mógł mieć wygórowanej ceny. Za to zbudowany był jak najlepszy czołg, a gdy to wszystko naprawić, jego cena skoczy ostro w górę.

Już od ośmiu lat żyłem z remontów i przebudowy kolejnych domów, w których mieszkałem, a potem sprzedawałem z dużym zyskiem, wynikającym ze wzrostu ich wartości. Dom właśnie nabyty

bez wątpienia stanowił najlepszą z mych dotychczasowych inwestycji.

Wprowadziłem się natychmiast po załatwieniu formalności prawnych, z zapalem do rozpoczęcia prac. W ciągu tygodnia rozprawiłem się z chwastami, zakupiłem tarcicę i nowe narzędzia oraz zainstalowałem opiekacz w kominku. Zadzwoiłem do mej sympatii, wychodząc z założenia, że zasłużyłem sobie na drobną nagrodę za wytrwałą, uczciwą pracę. Świetnie, powiedziała. O siódmej.

Starłem sadze z okapu, pozostałość po modyfikacji kominka i odszedłem o krok, by z perspektywy podziwiać połysk stołu w jadalni. Uśmiechnąłem się do siebie i poszedłem na piętro, żeby tam posprzątać. Dopiero wtedy zobaczyłem, że niebo zrobiło się całkiem szare.

Deszcz lunął w godzinę później, w chwili, gdy z kluczykami od samochodu w ręce, kierowałem się w stronę drzwi wejściowych. Zadzwoił telefon.

- Tu Trudy - odezwała się. - Jest straszna burza. Przełożmy to na inny wieczór.

Nie spierałem się. Jeśli się rozeźli, to następnym razem nic t tych rzeczy. Chciałem za to, żeby ta cholerna burza spowodowała przecieki w dachu jej domu.

Trzeba by pomyśleć o nowej sympatii. Czas mija. Kłopot w tym, że pracując samotnie w domu, nie spotykałem zbyt wielu kobiet.

Zanosilo się na kolejny wieczór przy magnetowidzie i filmach z kaset. Otworzyłem szafkę z ich kolekcją. Zanim zdołałem dokonać wyboru, zgasło światło.

- Szlag by trafił! - powiedziałem, nie mając zielonego pojęcia, który z nadal nie rozpakowanych kartonów zawierał świece i lampy naftowe.

W chwili, gdy wyjmowałem latarkę ze skrzyni z narzędziami, w hallu dało się słyszeć pukanie.

Otworzyłem drzwi. Na ganku stała młoda kobieta, zmoczona od stóp do głów. Blondynka, wysoka i szczupła, z cyckami, o jakich można tylko marzyć.

- Czym mogę służyć? - zapytałem, a mój wzrok przykuł widok brodawek, uwypuklających się pod cienką, a teraz właściwie przezroczystą koszulką polo. Do diabła, co ona robi poza domem tak lekko ubrana w listopadzie?

- Właśnie miałam wypadek samochodowy - powiedziała głosem tak miękkim, że uznałem, iż zbyt głośna odpowiedź wystraszyłaby ją.

- Proszę wejść - zaprosiłem ją do środka. Weszła stawiając drobne kroczki, jak gdyby zapomniała jak się chodzi, a w progu niemal się potknęła.

- Czy nic pani nie jest?

- Myślę, że nie - odrzekła. - Ale samochód nie chce zapalić.

Podąłem jej koc i przykazałem, by usiadła przy kominku. Znalazłem jedną z lamp naftowych i zapaliłem ją. Na jej policzki wróciła naturalna barwa.

- Nie jest pani ranna? - zapytałem po to tylko, by się upewnić.

- Nie - odpowiedziała mocniejszym już głosem.

Tym razem uwierzyłem jej. - Pójdę teraz i sprawdzę samochód. Pani zostanie tutaj i ogrzeje się.

- Dziękuję.

Stwierdziłem, że samochód nadział się na słup energetyczny tuż za podjazdem przed moim domem. Jego wygląd sprawił, że parasol niemal wypadł mi z ręki.

Widywałem gorsze, ale tylko na złomowiskach rozbitych aut. Dziewczyna miała więcej niż szczęście, że wyszła z tego bez draśnięcia. Nagle zacząłem się o nią martwić. Tylko ktoś naprawdę oszołomiony mógłby próbować uruchomić t a k i e c o ś. Pospieszyłem z powrotem do domu.

Siedziała przy ogniu owinięta w koc. Uśmiechnęła się do mnie. Jej rzeczy leżały porozkładane na ceglach susząc się.

- Z całą pewnością potrzebna będzie pomoc drogowa z holowaniem - powiedziałem.

- No tak, wiedziałam - odpowiedziała. - Nie wiem, czemu zgodziłam się, by pan tam poszedł. Pewnie straciłam zdolność precyzyjnego myślenia.

To przynajmniej miało sens. Zadzwoiłem do najbliższej pomocy drogowej.

- Teraz nie możemy przyjechać - odparł dyspozytor. - Z powodu burzy mamy masę zgłoszeń. Musicie poczekać co najmniej dwie godziny.

- Nie szkodzi - odpowiedziałem. - Będziemy w domu. Dziewczyna nie wydawała się tym zbyt zdenerwowana. - Może do tego czasu wyschną już moje rzeczy.

Ta uwaga zwróciła mój wzrok na jej majtki, wiszące na okapie kominka. Pod kocem była zupełnie naga. Kiedy zmieniała pozycję, kokon z koca rozchyłał się częściowo. Uchwyciłem mdok szczytu jej świetnych, jędrnych piersi, które widziałem już wcześniej pod koszulką polo. A zatem może nie będzie to jednak stracony wieczór.

- Jak ci na imię? - zapytałem.

- Roksana - odparła. - Przez jedno 'n'.

- Wiesz, Roksano, wygląda na to, że to ty pozbawiłaś mnie prądu.

- Mam nadzieję, że nie całego - odparła z uśmiechem. Spojrzała w stronę stołu w jadalni. - Czy to wino?

Była to butelka, którą przygotowałem na randkę z Trudy. Nalałem po kieliszku.

Kiedy pochylała się, by sięgnąć po swój kieliszek, koc znowu przesunął się, ukazując kawałek gładkiego, białego uda. Super! Była po prostu rewelacyjna.

- Nie wiem, jak mam dziękować za tę całą pomoc - powiedziała.
- Nie wiem, co zrobić, żeby się odwdzińczyć.

- Po... pomyślę o czymś - powiedziałem, krztusząc się

Było to najłatwiejsze uwiedzenie w całej mojej karierze. Przez godzinę rozmawialiśmy, koc jakoś tak sam opadł, później znaleźliśmy się na piętze, w moim łóżku.

- Mam nadzieję, że samochód pomocy drogowej złapie gumę - wyszeptała Roksana. Ustami błądziła w pobliżu ego koguta.

Zajęła się nim w taki sam sposób jak wysławiała – bez podniecania się. Zamknęła go w przestrzeni swego języka, warg i wewnętrznej strony policzków. Jej usta dawały cudowny napór z każdej strony, bez zaciskania. Bez gryzienia, bez trudnych do odczucia szarpnięć językiem. Była doskonała!

Pomrukiwała z zadowoleniem i miała mnie tak długo, aż usta jej dotarły do mojego łona, a nos zakryły włosy łonowe. Otworzyłem oczy, żeby to sprawdzić, bo nie chciałem uwierzyć memu zmysłowi dotyku. Mój kutas nie jest przecież krótki; nigdy dotąd nie spotkałem dziewczyny, która miałaby mnie aż tak głęboko w gardle.

Tak długo kierowała mym tłokiem do środka i na zewnątrz, że usta musiały jej całkiem omdlewać, a ja musiałem mocno się skoncentrować, żeby zachować reputację mężczyzny na całą noc. Nie chciałem jeszcze spuszczać się. Teraz była kolej na piczkę.

Chyba czytała w moich myślach, bo przestała ssać i usiadła na mnie okrakiem w pozycji jeźdźca.

- Gotów? - spytała. Opadła.

- Uhm - zdołałem wykrztusić. Kiedy mówiłem sobie, że była superdobra, nie miałem jeszcze pojęcia, jak bardzo miałem rację.

Jej wargi sromowe otaczały powoli koniec mego koguta, wtulały go i kierowały w głąb. Wilgotne, jędrne ścianki nie stwarzały wchodzącemu coraz głębiej wałowi żadnego oporu. Nasze miednice zetknęły się. Cały czas będąc w mej, odczuwałem słodycz jej delikatności.

Zaczęła mnie rżnąć.

Światło lampy migotało na jej naprężonym brzuchu, uwypuklając zmieniające się napięcie mięśni. Ujeżdżała mnie energicznymi suwami. Zamknęła mnie swym zadkiem i udami, a potem wznosiła się i opadała, za każdym razem ciągnąc mego kutasa. Wokół brodawek wystąpiły krople potu, które połyskiwały także w załamaniach kości obojczyków oraz na czole, oddając refleksy światła migoczącej słabym płomieniem lampki.

Kiedy mnie ujeżdżała, trzymałem w ustach jej cycki. Stękała w ekstazie. Brodawki nabrzmiały i z lubością pieściłem je językiem. Podobało się jej to.

Minęła godzina, po której byłem bliski spełnienia. Nawet w chwili, kiedy jak z armaty wypełnił ją już mój ładunek, nie przerywała pompowania. Krople potu kapały jej z brodawek i z nosa. Jęknąłem i zwałem się na materac. Klapnęła na mnie, a jej ciepłe naczynie nadal obejmowało mój usatysfakcjonowany świder.

Światła zapaliły się w czasie, gdy byłem w klo.

- Hej, to jednak nie twój samochód uszkodził linię - powiedziałem, wracając do sypialni.

Łóżko było puste.

- Roksana! - zawołałem. Sprawdziłem w pokoju obok. Nie było jej. Zszedłem na dół, by stwierdzić, że jej rzeczy zniknęły z kominka. W całym domu jedyny ślad, jaki po niej pozostał to cudowny zapach, którym przesiąknęła pościel.

O, Boże. Idź się wysiusiać, a stracisz dziewczynę.

Usłyszałem pukanie do drzwi. Wciągając pospiesznie płaszcz kąpielowy, poszedłem otworzyć. Przedemną stał kierowca z pomocy drogowej. Przyłożył dłoń do czapki, zobaczyłem wtedy, że miał ręce brudne od smaru po całonocnej pracy.

- Więc gdzie jest ten wrak?

- Nie widział go pan po drodze? - Nie - odpowiedział.

Zmarszczyłem brwi. Dobrze, że chociaż przestało padać. Wrzuciłem na siebie coś cieplejszego i pojechaliśmy w to miejsce.

Słup od elektryczności wyglądał dokładnie tak samo, jak w dniu, w którym wprowadziłem się do domu. Całkiem hak nowy, nic szczególnego. W pobliżu żadnego samochodu. - To coś niesamowitego - wydusiłem po chwili.

- Czerwona Toyota? - zapytał kierowca.

- Taak - odrzekłem. - Więc widział ją pan.

- Nie dziś wieczorem - odparł. - Ale trzy lata temu latem holowałem czerwoną Toyotę, która wpadła na słup, co tu wtedy stał. Fatalna scena. Z ofiarą.

Wino w moim żołądku zamieniło się w ocet. - Ktoś tu zginął?

- To właśnie oznacza wypadek z ofiarą. Wypadek z udziałem jednego samochodu. Naprawdę piękna studentka z college'u, nazwiskiem Roksana Mortensen.

Facet zauważył na pewno, jak krew odpływa mi z głowy, bo patrzył na mnie tak, jakby wiedział, że trzeba mnie podtrzymać, zanim się przewrócę.

- Niech pan słucha, zwykle już tu nie przyjeżdżam na takie wezwania. Ale usłyszałem, że jest nowy właściciel domu, pomyślałem więc, że lepiej będzie sprawdzić mimo wszystko. Domyśliłem się, że być może nie powiedzieli panu o tej historii.

Widziałem ją. Roksanę. - Do diabła, przeleciałem ją.

- Wszyscy wiedzą, że w tym domu straszy. Nie sądzę, żeby pana poinformowali, że już od dwóch lat próbowali go sprzedać?

- Nie, nie raczyli. - Podziękowałem mu i powlokłem się z powrotem do domu. Zabrałem klucze i portfel, wziąłem samochód i pojechałem na noc do motelu. Aż do brzasku obmyślałem, jak zamordować pewnego pośrednika handlu nieruchomościami.

Następnego dnia udałem się do biblioteki, gdzie odnalazłem gazetę z relacją o śmierci Roksany. W artykule potwierdziło się wszystko, co opowiedział mi kierowca z pomocy drogowej. Bibliotekarka dziwiła się, że nic o tym nie słyszałem. Każdy wiedział, że dom był nawiedzany przez ducha.

Dzięki Bogu nie wyśmiała mnie. Spodobała mi się. Stwierdziłem, że nie mam nic do stracenia i zaprosiłem ją na randkę. Byłbym wściekły, gdyby się nie zgodziła.

Pośrednik od nieruchomości zaoferował pomoc w sprzedaży domu za połowę należnej mu prowizji. Tak szczerze przeproszał i tłumaczył się, że darowałem mu wyrok śmierci.

Jednak na razie stale byłem właścicielem posiadłości, a wszyscy w mieście wiedzieli, co z nią było nie w porządku. Nadal

prowadziłem przebudowę. Co mogłem innego robić? Jednakże pracowałem wyłącznie za dnia. Noce spędzałem w motelu. W ciągu dziewięciu dni nie napotkałem na żaden znak ducha Roksany.

Pierwsza randka z bibliotekarką minęła dobrze. Buziak na dobranoc. Na drugiej randce zaproponowałem coś więcej.

Grzecznie, ale stanowczo, poinformowała mnie, że może mieć stosunek tylko z mężczyzną, który ma negatywny wynik badania na wirus HIV i zobowiąże się do absolutnie monogamii wobec niej - a i to dopiero po sześciomiesięcznym okresie odczekania, w którym nawet kondomy były zbyt ryzykowne. Wszystko ograniczyła co najwyżej do operacji ręcznych.

Uprzejmie poinformowałem ją, że z operacjami ręcznymi radzę sobie dobrze sam i bardzo serdecznie jej dziękuję.

Następnego dnia wyżywałem się w pracy, by pogrzebać frustrację. Tak bardzo pochłonęło mnie przekładanie kafelków w łazience, że w ogóle nie zauważyłem, kiedy zapadł zmrok i nie mogłem z braku dostatecznego światła kontynuować pracy.

Byłem gotowy do wyjścia. A jednak powstrzymałem się.

Żałowałem, że tyle wysiłku wkładam w to wszystko, właściwie na darmo. Ależ tak, wiedziałem, że ktoś w końcu kupi ten dom, prędzej czy później, ale piękna cena, którą sobie wymarzyłem, była jak gwiazdka na niebie. Będę miał szczęście, jak pieniądze ze sprzedaży pokryją koszty modernizacji. A teraz w dodatku marnowałem jeszcze forszę na cholerny pokój w motelu.

Zasłużyłem sobie co najmniej na nocleg w moim własnym łóżku chociaż tej nocy. Położyłem się zadowolony z okazji do wypoczynku.

Niebo zaciemniło się na kolor peleryny Drakuli. Nie włączałem lamp, przypominając sobie ten ostatni raz, gdy wślizgiwał się i połyskując wilgocią wysuwał z gorącej Roksany.

Usłyszałem jak skrzypnęły drzwi szafy.

Wnętrznosci opadły mi do moszny i podskoczyły do gardła - wszystko w jednej chwili. Pozostałem na materacu tylko dlatego, że byłem zbyt przestraszony, żeby się poruszyć.

Nic więcej jednak nie nastąpiło.

Dopiero po około dwudziestu minutach byłem w stanie przemówić.

- Kto tam? - zawołałem, mając nadzieję, że odpowiedzi nie będzie.

- A jak myślisz do cholery, kto to może być? - z szafy odezwał się słaby głos. - Proszę cię, przestań się bać. Jak jesteś przestraszony, nie mogę się zmaterializować. Nie włączaj też światła.

Powiedziała to właśnie, o co mi chodziło. Wiedziałem już dokładnie, jak się jej pozbyć. Położyłem palce na włączniku lampki na nocnym stoliku. Jeden pstryk, żarówka zapali się i po duchu. Wiedząc o tym, nagle przestałem się bać.

- Dlaczego nie wychodzisz? - zapytałem.

Ostrożnie uchyliła drzwi, jakby na próbę i powoli wyłoniła się.

- Bałam się, że nigdy już nie dasz mi kolejnej szansy - powiedziała głosem o niemal normalnym brzmieniu. - Jesteś pierwszym i jedynym, który wrócił.

Była naga. W świetle księżyca, przenikającym przez okno, wyglądała tak samo cudownie, jak wtedy.

- Przed nocą z tobą nie byłam w stanie choćby dotknąć czegokolwiek.

- Podobał mi się sposób, w jaki mnie dotykałaś - powiedziałem:

- Tak. No właśnie, dlatego mogłam cię dotykać. Duchy nie działają, o ile żywi ludzie im nie pomagają. Ci, co z nami nie współpracują, są jak elektryczność - skazują nas na niebyt.

- Pozbawiasz mnie zarobku.

- Wiem wszystko na ten temat - odparła. - Słyszę każdą rozmowę, która toczy się w tym domu, na przykład jak rozmawiasz przez telefon. Wydaje mi się, że mogę ci pomóc.

- Możesz? - szczerze mówiąc, bardzo wątpiłem.

- Oczywiście. Ale najpierw trzeba będzie włożyć trochę trudu w sztukę przekonywania.

- Jaką sztukę przekonywania?

- Na razie połów się i zrelaksuj - mruknęła z zadowoleniem w głosie. - Chcę ci odświeżyć pamięć.

Rozpięła mi zamek błyskawiczny i wydołała mego dzięcioła. Pobudziła go jednym pociągnięciem wzdłuż swym ciepłym językiem. Połykała każdy cał po calu, aż był sztywny jak z kości słoniowej.

- Leż spokojnie i pozwól, że ustami zrobię, co trzeba - zarządziła.

Wilgotne palce ułożyła wokół swych ust tak, by obejmowały mój członek i przedłużyły zasięg działania. Mój kutas powiększył się i napiął do maksimum, dodatkowo usztywniały go jej palce, ściskające go niczym obręcz.

Dokładnie wtedy, gdy był już tak sztywny, że więcej nie byłbym w stanie wytrzymać, wypuściła go, używając ust wyłącznie do lekkich, ciągłych suwów. Wtedy, jakby wystrzelił korek z szampana, w moim kutasie zagotowało się. Jedna, trzy, pięć potężnych strug, nagromadzonych przez ostatnie dni, dosięgły jej gardła. Łapczywie spijała je. Chlipnięcia językiem trwały do momentu, aż mój pał stał się cienki, jak drżąca dżdżownica, bez sił, ale pełen szczęścia.

- W porządku - powiedziałem. - Pamięć mam odświeżoną. Opowiedz teraz, jaki masz plan.

- Więc tak, najpierw musisz dowiedzieć się czegoś o duchach. Nie powstajemy tak sobie, bez powodu. Zdarza się to tylko wtedy, gdy ktoś ginie śmiercią gwałtowną lub nagłą, a coś w jego życiu pozostaje nie zakończone. Ja nie jestem, dokładnie mówiąc, całą 'duszą' Roksany Mortensen. Jestem tą jej częścią, która nadal domaga się spełnienia.

- Nie bardzo rozumiem - odparłem.

- Cierpliwości - powiedziała, ściskając delikatnie me jądra. – Zginęłam dopiero trzy miesiące po utracie dziewictwa. Prawdę mówiąc, tę kraksę miałam dlatego, że będąc całkowicie pochłonięta planowaniem, jak cudownie zerznę mego chłopaka, za bardzo się rozpędziłam na śliskiej od deszczu drodze. Ta nie spełniona żądza zatrzymała tu na Ziemi tę część mnie, która pożąda seksu i uczyniła duchem nawiedzającym dom najbliższy miejsca mej śmierci.

- To smutne - powiedziałem. I naprawdę tak pomyślałem.

- Muszę tu pozostać, nawiedzając tę posiadłość, aż doświadczę należnej mi dawki seksu. Muszę nadrobić to, czego nie dostałam za życia.

- Zaczynam łapać twój plan - przerwałem jej. - A zatem, nie trzeba nic więcej, jak tylko powiedzieć kupującemu dom, jakiego rodzaju ducha w nim zostanie i można sprzedać dom za dobre pieniądze.

- Tak bardzo chcesz się mnie pozbyć?

- Właściwie, wcale nie. Ale jak go me sprzedam, nie będę miał gotówki na kupno następnego domu do remontu. A co innego miałaś na myśli?

Zatoczyła ręką po całym pokoju, szczególnie wskazując na wysoki sufit.

- Pomyśl tylko, jaki to duży obiekt. Pomyśl o twoich talentach budowlanych. Co ci przychodzi na myśl?

Zamrugalem oczami, potem zachichotałem i wreszcie szeroko uśmiechnąłem się. Skinęła głową z aprobatą. - Mieszkania!

- ... Tak wygląda cała ta historia, John - zwróciłem się do siedzącego po przeciwnej stronie stołu potencjalnego lokatora. - To było dwa lata temu. Przebudowałem dom na pięć mieszkań, jedno dla mnie, cztery dla lokatorów. Wiem, że czynsz wydaje się wysoki, ale teraz widzisz, jakie są dodatkowe zalety.

John nie był jeszcze przekonany, ale zasięgał już języka u pozostałych lokatorów i wiedział, że warto spróbować, nawet jeżeli duch wydawał mu się stale jeszcze bardzo odległy.

- Mówisz, że nic innego się nie robi, jak tylko leży na łóżku, gasi światło, niczego się nie boi, a ona sama przyjdzie do mnie?

- Jeśli nie przyjdzie, to nie ma sprawy. Próba nic nie kosztuje.

- Nie mogę się zdecydować. Tu chodzi o duże pieniądze. Zawsze tak mówią, żeby się przekonać, czy spuszczyć cenę. Nigdy nie godzę się na to.

- Posłuchaj tylko - odrzekłem. - Czy kiedykolwiek miałeś dziewczynę, która jest do twojej dyspozycji co noc, która zrobi wszystko, czego zechcesz, która nigdy nie musi używać środków antykoncepcyjnych ani stosować bezpiecznego seksu i która nigdy nie żąda, żebyś był jej wierny?

- Ale będę musiał dzielić się nią z innymi.

- Nie było z tym nigdy żadnego problemu. Wytrzymuje wszystko, trzeba tylko nieco czasu poświęcić planowaniu. Zapamiętaj sobie, żeby nadrobić, ona musi jeszcze bardzo dużo rypać.

- Jeżeli już o tym mówimy, co będzie, jak jej dawka wyczerpie się?

- Spytałem ją o to. Prawdopodobnie będzie wtedy mogła odejść tam, gdzie są wszystkie inne duchy. Ale nigdzie nie jest powiedziane, że m u s i odejść. Jak znam Roksanę, na pewno zostanie tutaj.

- Brzmi to intrygująco - powiedział John. - Kiedy próba?

- Jeśli ci odpowiada, dziś wieczorem.

- Odpowiada.

Późno w nocy, po tym jak skończyły się hałasy dochodzące z mieszkania Johna, Roksana, cała w ogniu, przysiadła na moim łóżku.

- Sukces, jak sądzę - powiedziałem.

- Myślę, że on zostanie - oświadczyła. Jej osąd w tych sprawach był zawsze trafny.

- I co, jesteś wykończona? - spytałem. Oczywiście żartem.

Zaniosła się śmiechem i wsunęła sobie w usta mego koguta. Podsunęła piczkę do lizania. Była tak świeża, jak u dziewicy, która wyszła właśnie spod prysznic. Duchy nie przyjmują brzydkich woni.

Po jakimś czasie zachciało się jej, żebym pompował. Wszedłem na nią, zatopiłem w niej wał i pompowałem. Jak po dniu uczciwej pracy. W końcu, Roksana była moim współnikiem w interesach, a ja postępowałem fair, pomagając jej uzupełnić życiową dawkę seksu.

A poza tym, ja też musiałem myśleć o dawce seksu w moim życiu.

DEAN WHITLOCK

Inspektor numer 11

Była mewką, to rzucało się w oczy, jak tylko wszedłem baru. Plotkowała z dziewczyną siedzącą obok niej, jak gdyby były starymi przyjaciółkami. Pochylała się ku niej, żeby nie musieć przekrzykiwać telewizora i zespołu muzycznego. Widywałem ją już, gdy przychodziła samotnie i rozpoczynała rozmowę. Kamuflaż. Siedziała w lekkiej mgiełce rozproszonego, niebieskiego światła tuż pod jedną z lamp, oświetlających salę snopami skupionych promieni, w takim miejscu, żeby każdy mógł ją od razu: dostrzec. I tak naprawdę w ogóle nawet nie spoglądała na dziewczynę obok niej. Rozglądała się cały czas wokół, wypatrując odpowiedniego klienta, którego ściągnęłaby wzrokiem.

Wobec tego spojrzałem na nią tak, by napotkała mój wzrok. Uśmiechnęła się. Równe zęby, pociągała twarz. Włosy nieco zbyt jasne, opadające na plecy. Wokół oczu zmarszczki, mimo makijażu. O reszcie trudno powiedzieć. Miała na sobie coś z niebieskiego jedwabiu, co wyglądało na splątane szale i udrapowane na jej sylwetce. Dawało to korzystny efekt przy każdej figurze; ręce pozostawały całkowicie odsłonięte. Nikt nie musiał prosić, by pokazywała przywieszkę identyfikatora.

Wzniosłem kieliszek do toastu i głową wskazałem miejsce obok siebie. W pół słowa przerwała rozmowę i zaraz podeszła do mnie.

Wsunęła się na barowe krzesło i powiedziała:

- Wino w wiaderku z lodem. Cytryna. - Natężyła głos tyle tylko, by przebił się ponad hałas. Widać było u niej duże obycie w zachowaniu się w barach.

Przywołałem kelnera i zamówiłem dla nas obojga.

- Dziękuję - powiedziała. - Miałam nadzieję, że znajdę towarzystwo.

- Tylko towarzystwo? - zapytałem. Znałem nerwowy śmiech i uprzejmy sposób wysławiania, który brzmiał tak, jak u prawdziwego klienta. Nie miała podstaw do wątpliwości.

- Stawiając drinka zdobywa się przyjaciół - powiedziała, przybliżając się do mnie. - Jeżeli interesuje cię coś ciekawszego, możemy o tym porozmawiać.

Uchyliłem się od odpowiedzi i rozejrzałem wokół baru, następnie posłałem kłopotliwe spojrzenie na jej przywieszkę. Oczywiście była to tylko zgrywa - przywieszka to pierwsza rzecz, jaką u niej zobaczyłem. Wyglądała na oryginalną, z wyraźnym kołem i widocznymi numerami, w kolorze niebieskim, nie wyblakłym w większym stopniu niż po upływie dwu tygodni, jeśli założyć, że data była prawdziwa. Wokół było przecież wielu doskonałych fałszerzy. Przywieszka wydała mi się nieco zbyt niebieska, nieco zbyt wyraźna.

Zauważyła moje spojrzenie i uśmiechnęła się. Potem zwróciła ramię w moją stronę, żebym mógł ją lepiej odczytać.

- Nie obawiaj się, kochany - powiedziała. - Co miesiąc mam badania okresowe.

Pozwoliłem sobie spiec raka i lekko się zaśmiać.

- Przezorny zawsze ubezpieczony - zacytowałem slogan z najnowszego ogłoszenia rządowego.

- Zgadza się - powiedziała, po czym także przytoczyła pod moim adresem inny slogan: do tanga potrzebne są dwie osoby.

Znowu zaśmiałem się, kolejny raz zlustrowałem nerwowo salę, podniosłem do góry naszywkę na lewym rękawie, aby mogła zobaczyć znajdującą się tam moją przywieszkę. Była w porządku. Sam ją tam umieszczałem co miesiąc, po każdej zmianie twarzy.

Położyła swą dłoń na mojej, abym nie mógł zakryć przywieszki i bardzo dokładnie się jej przyjrzała. Prawdziwa profesjonalistka. Następnie ścisnęła mi dłoń i wypuściła ją. Przysunęła się bliżej, tak, że nasze uda dotykały się.

- Przyjmuję zakład, że z ciebie może być naprawdę świetny kompan - powiedziała.

W zapachu jej perfum odnajdywałem zdrową dawkę feromonu. Pozwoliłem, by pobudził mnie w takim stopniu, żeby wyglądało to naturalnie, po czym zablokowałem go. Przesunąłem się trochę na swym stołku barowym.

- Odpręż się i dokończ drinka, kochanie - powiedziała. - Te dziesięć minut cię nie zbawi. Poza tym cena jest i tak równa.

Położyłem dłoń na jej dłoni i uśmiechnąłem się nieśmiało. Następnie odczytałem dane o jej wydzielaniu wewnętrznym, wyrównałem trochę mój własny poziom feromonu, tak by odpowiadał jej gustom. Nie chciałem, żeby się to zbyt przeciągało. Odwzajemniła uśmiech, tym razem szczerze. Oczywiście, nic na to nie mogła poradzić pod wpływem środków chemicznych, zastosowanych przeze mnie.

- Z drugiej strony - odezwała się - nie ma najmniejszego sensu, żeby tu tkwić, prawda?

Pozwoliłem, by wyprowadziła mnie przez zadymione powietrze schodkami w górę, na ulicę. Przenikliwie zimno szokowało po ciepłej mgiełce baru. Objąłem ją ramieniem w talii i mocno przyciągnąłem do siebie. Sądzę, że spodobało jej się to, gdyż przywarła do mnie. Dałem jej kolejny raz sztachnąć się feromonem, żeby zachować jej radosny nastrój. Jest to jedna z jego pozytywnych stron - mogę dzięki niemu usatysfakcjonować kogo zechcę.

Zaprowadziła mnie do małego mieszkania, niedaleko baru, na drugim piętrze. Najwidoczniej nie mieszkała tam, trzymała ten lokal tylko w celach usługowych. Jak tylko wprowadziła mnie do środka, natychmiast zaczęła mnie rozbierać. Bez marnowania czasu na pocałunki i pieszczoty. Była pod znacznym wpływem feromonów, lecz mimo to nie zatraciła poczucia interesu. Być może, nie miała po prostu w ogóle wyobraźni.

Cały czas zgrywałem się na klienta i powstrzymywałem ją, nalegając na pocałunek. Następnie rozebrałem ją pierwszą, zdejmując jej suknię. Żaden facet nie lubi stać nago przed ubraną kobietą. Okazało się, że pod zwojami szarf nie kryło się nic szczególnego. Była chuda i obwisła, równie wymęczona jak jej oczy.

Przez chwilę głaskałem ją, po czym pchnąłem na sfatygowane łóżko - właściwie bardziej przypominające koję. Wówczas zdjąłem z siebie resztę rzeczy. Rozszerzyła nogi i pociągnęła mnie w dół, na siebie. Kiedy wchodziłem w nią, ugryzłem ją lekko w szyję, aby nie podpadło jej równoczesne ukłucie igły.

Zrobiłem analizę, przeglądając od razu pełne spektrum. Ślina z pierwszego pocałunku powiedziała mi bardzo dużo o tym, jakie stosuje używki - tytoń i alkohol, nic więcej. Analiza krwi też nic nie wykazywała. Dawno przechodziła rzeżączkę, ale była wyleczona. Teraz zmagала się tylko z przeziębieniem. Nic groźniejszego. Jej przywieszka była oryginalna.

W chwili, gdy zakończyłem już próby, zaczęła leciutko pojękiwać. Ten feromon, to wyśmienita rzecz. Pozwoliłem, by jeszcze trochę podziałał, a potem wstałem. Wyglądała na zaskoczoną.

- O co chodzi, kochasiu? Na ciebie to nie działa?

- Obróć się - powiedziałem.

Ciężko westchnęła.

- Przykro mi kochasiu, żadnych niedozwolonych numerów. - Wyciągnęła ręce przed siebie i roześmiała się. - Wracaj do mamusi. Spisywałeś się tak dobrze.

Wróciłem, lecz jak tylko znowu odczuła wiadome działanie, przesunąłem się tak, by ona znalazła się na górze. Odpychała mnie, jak gdybym ją parzył.

- Przestań , kochasiu - powiedziała. - Żadnych niedozwolonych numerów.

- To jest już dozwolone - odpowiedziałem.

- Taak, ale nikt mnie nie będzie niepokoił, o ile tylko będę czysta i pozostanę na plecach pod tobą.

Użyłem swego najlepszego uśmiechu nieśmiałego klienta. - Coś ty, dziecino - rzekłem. - Kto się o tym dowie?

- Ja wiem.

- Przecież sama na siebie nie doniesiesz. - Mocno przywarłem do niej.

- Kochasiu - powiedziała - w tym miesiącu już dwa razy byłem na poligrafie. Gliny znają mnie. Bądź dobrym chłopcem i pozostań na górze.

Udając potulnego, wróciłem na nią i skończyłem z nią najszybciej, jak tylko można. Niektórzy faceci przeciągają sprawę niepotrzebnie. Ja lubię widzieć finisz.

- Było naprawdę wyśmienicie, kochasiu.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparłem. Następnie przyłożyłem moją prawą dłoń do jej przywieszki i odnowiłem ją.

- Gówno! - odsunęła się ode mnie gwałtownie, złapała się za lewy bark i pocierała miejsce wklucia. - Do diabła, co mi zrobiłeś? - Spojrzała na przywieszkę, obecnie jasnoniebieską, z wytrawionym pośrodku koła moim numerem i datą.

- Po prostu zaoszczędziłem ci pięćdziesiąt patyków na nowe badania kontrolne - odpowiedziałem.

- Igła. Jesteś jedną z cholernych Igieł.

- Taak - odparłem - jestem Iglą. A ty jesteś czysta, nie masz się czym przejmować.

Nie oczekiwałem podziękowań i ich nie dostałem. Żadna z nich nigdy nie patrzy na to w ten sposób. Wszystkie one są tak cholernie przekonane o swym prawie do intymności. Tak jakby ktoś, kto sprzedaje swoje ciało, mógł zachować jakąkolwiek intymność. Kiedy wychodziłem, krzyczała za mną. Okazało się, że jednak miała dobrą wyobraźnię, przynajmniej gdy szło o pochodzenie.

Do północy zaliczyłem już trzy inne, podobne do niej. Wszystkie były czyste zarówno gdy idzie o krew, jak i zachowania. Wszystkie nudne, jak nadmuchiwane lalki. Nie rozumiem, co ich klienci mają z tego. To równie kiepskie jak małżeństwo.

Piąta tej nocy dawała za darmo, chyba mężatka albo dopiero co rozwiedziona. Była nerwowa jak wszyscy diabli, ale chciała kogoś trafić. Prawdopodobnie po to, by sobie samej coś tam udowodnić. Nie wiedziała, co robi, nie miała nawet przywieszki, a tylko dokumenty zwinięte w rulonik wewnątrz małej skórzanej torebki. Pewnie byłem dla niej pierwszym, z którym zetknęła się po wyjściu na miasto. Kiedy kazałem jej obrócić się, zbladła jak papier. Spytała, czy to nie jest zabronione. Naprawdę nie miała pewności. Była taka patetyczna, że nie nalegałem.

Zacząła płakać, kiedy założyłem jej przywieszkę, ale czy można spodziewać się czegoś innego? Poświęciłem trochę czasu, by ją ostrzec, co jej grozi bez przywieszki, a na dobrą sprawę - także z nią. Nie słuchała, tak samo jak mewki. Zacząła łkać o intymności, o tym, że każdy będzie widział przywieszkę i wiedział o niej. Dałem sobie spokój, zostawiając ją we łzach.

Takich jak ona nie spotykam zbyt wielu. Od czasu wprowadzenia Ustawy o Czystym Seksie, na ogół wszyscy wiedzą, co robią wychodząc na miasto. Dostają każdą swoją przywieszkę i dbają, by była zawsze aktualna, jeśli chcą spotykać się z ludźmi i nie podpaść policji. Wiedzą dokładnie, na co mogą sobie pozwolić i jak daleko pójść. Najostroźniejsze są mewki. Dla nich jest to kwestia dochodów.

Ci co dają za darmo, kobiety i mężczyźni, myślą, że uda się im wywinąć byle gównianą wymówką. Jednak zwykle nie na pierwszej randce. Dlatego Igłom nie jest łatwo. Jeżeli złapie się kogoś z wirusem, nie ma sprawy. Technologia pomiaru jest tak dobra, że nikt nie dyskutuje z dowodami. Poza tym, trzeba tylko udowodnić, że nie wiedziało się, że jest to wykroczenie. Zazwyczaj kończy się na grzywnie i pouczeniu. W najgorszym razie - miesiącem w więzieniu.

Jednakże gdy w grę wchodzi przepis o pozycjach lub nielegalnym stosunku, wtedy nie uchodzi im na sucho. W żadnym przypadku nie mogą powiedzieć, że nie wiedzieli. Niektórzy próbują obarczyć winą feromony, ale na to nie złapie się żaden sędzia. Przecież zawsze można powiedzieć: nie. To właśnie dlatego jesteśmy ludźmi, a nie zwierzętami.

W zakres szkolenia Komisarza Analiz wchodzi umiejętność odróżniania istot ludzkich od zwierząt. Umiejętność przewidywania, które z nich powiedzą: tak, a które powiedzą nie. A ponadto, umiejętność nakłonienia ich do powiedzenia tak. Najlepsze Igły nie częściej niż my wykrywają zakażoną krew. One jednak dostarczają wszystkich chorych.

Zaraz po tym, jak wyszedłem od płaczącej darmodajki, dorwałem jedną cizię z paragrafu o pozycjach. Dziewczyna także była nowa, ale próbowała rzeczowego, zawodowego układu. Czekala na ulicy prawdopodobnie z braku pieniędzy na drinka w barze. Na milę czułem woń narkotyków, więc mój nos skierował mnie prosto do niej.

Jakiś facio miał na nią oko, lecz ja byłem pierwszy. Kiedy przechodził obok mnie, wchłonałem woń jego smugi. Był ćpunem. Mrugnął do mnie i odczepił się od dziewczyny.

- Wyglądasz na samotną - powiedziałem do niej.

- Wyglądasz na całkiem miłego - odrzekła. Była tak wstawiona, że nie mogła powstrzymać chichotu. Prawdopodobnie haszysz i alkohol. Ten ćpun wiedziałby od razu, ja musiałem czekać do chwili, gdy ją pocałuję.

- Mogę ci postawić drinka? - spytałem.

- Nie jestem spragniona - odpowiedziała. - Chcesz mi postawić coś innego?

Była młoda, chuda, wstrząsały nią dreszcze, i gdybym nie był na służbie, nawet nie spojrzałbym na nią drugi raz. Pozwoliłem jednak, by poprowadziła mnie wąską uliczką do niewielkiej dziury, która była jeszcze gorsza od tej, w której byłem poprzednio, z tą różnicą, że ta dziewczyna tu właśnie mieszkała.

Gdy znaleźliśmy się w nieco lepiej oświetlonym miejscu, rzuciłem pośpieszne spojrzenie na jej przywieszkę. Była zupełnie wyblakła i o dwa dni przeterminowana. Już za samo to mogłem ją przyszpilić, ale domyślałem się, z jakiego powodu tak było i że wcale nie chodziło tu o brak pięćdziesiątka na badania kontrolne. Ona nie miała pięćdziesięciu tysięcy na leczenie. Miała wirusa, byłem tego pewny.

Próbowała gaworzyć i uwodzić mnie, lecz w superszybkim tempie zdjąłem z niej ubranie i położyłem ją. Szło to tak łatwo, że zaczynało mi sprawiać zadowolenie. Byłem przekonany, że ją mam z powodu wirusa.

Jednak analiza krwi kompletnie zaskoczyła mnie. Dziewczyna nie była nawet przeziębiona. Żadnego choćby śladu przeciwciał na cokolwiek. Ta mała kurewka oszukała mnie. Wzdychała i pojękiwała pode mną, a mi pozostał z tego wszystkiego tylko ból w plecach.

Podchwyciłem wobec tego swój własny rytm i zacząłem ruchy trące serio. Używki - haszysz i alkohol - tak jak myślałem - bardzo ją rozbudziły, a ja dodałem trochę feromonu. Po chwili ciężko

oddychała w ekstazie. Wówczas zsunąłem się z niej i zakryłem sobie oczy ręką.

- Hej, tak mnie przecież nie zostawisz - powiedziała. Spisujesz się wspaniale.

- No, nie wiem - odparłem. - Po prostu to nie wychodzi. - Wychodzi świetnie - powiedziała - naprawdę.

- Za bardzo boli - odparłem. - Bolą mnie plecy. - Wychyliłem się i pogłaskałem jej udo, po czym odwróciłem zaraz głowę, tak jak gdybym wstydził się tego. - Pewnie za bardzo się staram. Naprawdę chcę, żeby było dobrze. Dla nas obojga.

Podeksytowana znowu zachichotała.

- Jeżeli chodzi tylko o plecy, mój drogi, mam na to radę - powiedziała.

I głupia dziwka wkulnęła się na mnie na górę. Odczekałem nieco, ażeby upewnić się, czy nie zmieni zdania. Następnie położyłem lewą dłoń wewnętrzną stroną na jej udzie i wstrzyknąłem dawkę usztywniacza. Nie sądzę, by to w ogóle zauważyła. W jednej chwili pompowała mnie, w drugiej - leżała na mnie usztywniona, z wyrazem przerażenia w oczach. Środki paralizujące działają szybko.

Poinformowałem ją o przysługujących jej prawach, zdjąłem ją z siebie i odnalazłem telefon. Miałem bezpośredni numer miejscowego posterunku okręgowego.

- Tu Jedenastka - oznajmiłem. - Federalny Komisarz Analiz. Jestem przy ulicy Harrison numer 3210, dojazd alejką w lewo, trzecia brama. Z paragrafu o pozycji.

- Jedziemy - odpowiedzieli.

Ubrałem się, zanim przyjechali. Chłopaki z posterunku denerwują się, gdy przyjeżdżają i zastają nas jeszcze nagich. Poza akcjami aresztowań nie widzimy się z nimi zbyt często. Naszym szefem jest Prokurator Generalny i mamy swój własny urząd. Wydaje mi się, że oni chętnie wierzą w uliczne plotki o wielkości i kształcie naszych organów, wbrew temu, czego uczą ich w trakcie szkolenia. Bionika jest jednak doskonała. Wyglądamy zupełnie przeciętnie. Tu nie chodzi o to, co mamy - tu chodzi o to, co my z tym osiągamy.

Kiedy podjechał wóz patrolowy, nagrałem meldunek dla kierowcy, podczas gdy jego towarzysz przygotowywał nosze. Następnie wyostałem się stamtąd, zanim zebrał się zbyt duży tłum. Pozostawanie anonimowym bardzo pomaga. Nawet mimo comiesięcznej zmiany twarzy, nigdy dość ostrożności. Jest się tam przecież samotnie i nago. Rzecz jasna, dysponujemy środkami uspokajającymi i usztywniającymi, ale z drugiej strony, musimy być dostatecznie blisko, w zasięgu dotyku. Nie jest zbyt dobrze, jeśli jakaś suka ściga cię z pistoletem.

Była już wówczas prawie godzina pierwsza i skończyłem służbę. Noc robiła się coraz chłodniejsza, a od rzeki nawiewało lekką mgiełkę wilgoci. Przytłaczała mnie całonocna praca. Czułem zapach wszystkich kobiet, które poddałem analizom, a także kilku tych, których nie zbadałem. Szczególnie przyczepiła się do mnie ostatnia woń. Był to paskudny zapach i ja też czułem się paskudnie. Usztywnianie ich zabierało połowę radości. Z całą pewnością zasługiwały sobie na to, a jednak nienawidziłem odczucia, które temu towarzyszyło.

Użyłem sobie przy pomocy neutralizatorów, dzięki którym mój układ zaczął działać nieco normalniej. Jeszcze nie byłem gotów, by iść spać. Musiałem kogoś odszukać.

Skierowałem się do centrum miasta, w stronę klubu, do którego trafiłem pierwszy raz dwa tygodnie temu. Lokal był czysty i z klasą. Żadnych mewek, za to dużo darmodajek, które mają do dyspozycji znaczne dochody i nikogo, z kim można by w domu dzielić się dobrami doczesnymi. Szedłem szybko, z zadowoleniem wdychając chłodne powietrze i mgłę.

Klub był zatłoczony, ale nie dostrzegłem osoby, o którą mi chodziło. Poszedłem do następnego lokalu przy tej samej ulicy, troszkę głośniejszego, lecz także z klasą. Tu również bez skutku, a zatem wyruszyłem do kolejnego lokalu, tuż za narożnikiem ulicy. Wiedziałem, że jestem we właściwym miejscu - starczy tylko odnaleźć właściwy klub.

Wreszcie udało się - zobaczyłem mą damę od razu, gdy wszedłem do środka. W każdym klubie zawsze siedziała w tym samym miejscu, przy stoliku obok bocznej ściany, z daleka od

barowej lady. Wyszukałem sobie punkt, z którego widoczny był jej profil i zamówiłem drinka. Sącyłem go, obserwując salę przez pewien czas. Czuję się odpowiednio nastrojony, gotowy. Może to właśnie dzisiaj miała być ta noc.

Obserwowałem ją systematycznie od chwili, gdy zobaczyłem ją po raz pierwszy dwa tygodnie temu. Nie przebywała stale w tym samym klubie, a mimo to zawsze byłem w stanie ją odnaleźć. Kiedy zobaczyłem ją pierwszy raz, pomyślałem - oto jedna z tych dam z klasą. Miała nagą lewą rękę i przewieszkę, ale nie wyglądała na taką, która poleciałaby na pierwszego lepszego mężczyznę. Nie było dla mnie żadnym zaskoczeniem, kiedy tego pierwszego wieczora wyszła z lokalu z jakimś facetem. Wyglądał na czystego, a ona odrzuciła całe mnóstwo ofert, zanim zdecydowała się iść z nim. Pomyślałem, że pewnie to jej chłopak.

Jednakże kolejnego wieczora poszła z innym mężczyzną. Sądziłem, że być może ma dwóch chłopaków. Okazuje się, że ma ich bardzo wielu, ale nigdy drugi raz tego samego. Przez chwilę pomyślałem, że może fiest mewką, ale była na to zbyt wybredna. Potem przyszło mi do głowy, że może liczyła sobie tak dużo, że jeden na wieczór wystarczał. Wyglądała na tyle atrakcyjnie, że mogła się wysoko cenić - krążyła we wszystkich odpowiednich miejscach, przy tym naturalna blondynka. Miała z wyglądu miękką skórę, którą na pewno przyjemnie jest dotykać. Była to kobieta w moim typie, której pożądałem i poszukiwałem - ani zbyt szczupła, ani z nadmiarem ciała, taka, jaką na ogół lubi większość ludzi. Uznałem, że nie mogła być dziwką. Nie wyglądała mi na to.

A zatem musiała być darmodajką, jedną z tych wygłodzonych dam. Dziwki robią to dla pieniędzy, ona zaś dla zabawy. Zdecydowałem, że będzie moją następną zdobyczą. A więc obserwowałem, czekając na ten właściwy wieczór, kiedy już poczuję, że naprawdę jej potrzebuję. Obserwowałem, jak idzie z mężczyznami i zastanawiałem się, jakiego rodzaju rzeczy lubi robić.

Popijałem drinka, czując gromadzącą się we mnie energię. Nigdy dotąd nie wyglądała tak dobrze. Miała na sobie tę kombinację z szalami, taką samą jak moja pierwsza tego wieczoru dziwka, jednak na niej wyglądało to obiecująco. Odesłała z kwitkiem kilku facetów i

przyglądała się tancerzom. W tym lokalu występowali tancerze na żywo, nie z wideo, mężczyzna i kobieta w cielistych trykotach, za szybą w przeciwległej ścianie. Byli w tym dobrzy, poruszając się wokół siebie we wszelkiego typu pozycjach, ani razu nie dotykając się. No tak, narastała we mnie energia.

Podwinąłem mankiety rękawów, aby łatwo było zobaczyć mą przewieszkę i wstałem. Wówczas poczułem w sali woń innej Igły. Popatrzyłem w stronę drzwi, lecz nikt nie wchodził. Był to ktoś już znajdujący się w lokalu, ale nie wiedziałem kto. Wszystkie Igły wydzielają wskaźniki zapachowe, żeby nie natrafić na siebie wzajemnie. Było to dla mnie ostrzeżeniem, aby nie zdradzić się z moim zamiarem.

Usiadłem z powrotem na krześle i czekałem. Jakiś mężczyzna usiadł obok mej damy i próbował skłonić ją do rozmowy, a ja pomyślałem przez drzwi nie będę jej miał. Jednak spławiła go. Pięć minut później wybrał sobie inną dziewczynę i zniknął z lokalu, a wskaźnik zapachowy razem z nim. Znowu odzyskałem dobre samopoczucie. Przynajmniej jednej Igle nie ma zamiaru odmówić.

Wstałem i obok niej przeszedłem do sąsiedniego stolika. Siedziało przy nim kilka osób, rozmawiających ze sobą jak starzy przyjaciele. Stałem plecami do niej, niemal dotykając jej, pochyliłem się, by zagadnąć jednego z mężczyzn przy stoliku. Wcale go nie znałem, ale nie miało to żadnego znaczenia. Mogłem dzięki temu odczytać jej wskaźniki wydzielania wewnętrznego. Swój układ przyciemniłem na tyle, że mężczyzna, którego zagadnąłem, z całą pewnością me mógł mnie zapamiętać. Stałem się po prostu łagodnym głosem z tłumu.

Udawałem, że go znam, potem przeprosiłem za pomyłkę i podszedłem do baru. Kiedy za chwilę wróciłem, byłem już facetem w typie, w którym gustuje moja dama.

- Czy mogę się przysiąść? - zapytałem. Omiotła mnie wnikliwym spojrzeniem, po czym uśmiechnęła się. Miała miły uśmiech, jak u uczennicy, ale ja i tak wiedziałem.

- Oczywiście - odparła. - Przyda mi się trochę towarzystwa. -
Zawsze mówią te same rzeczy, lecz nikt tak naprawdę tego nie słucha.
One nie są tu przecież po to, by mówić.

Usiadłem tak, by widziała moją przywieszkę i zasunąłem zwykłe
banały: chłodna noc, może będzie padać śnieg, doskonali tancerze,
trochę zbyt tłoczno jak na środek tygodnia. Dzięki temu, wszystko
potoczyło się niejako automatycznie. Postawiłem jej następnego
drinka, pozwoliłem, by umożliwiła mi rzut oka na jej przywieszkę -
całkiem zwyczajna rutyna. Przede wszystkim obserwowałem ruchy
jej warg i sposób, w jaki wdychała powietrze. Była dobra, co najmniej
tak dobra, jak pozostałe damy, które wykryłem, a może nawet lepsza.
Gdy chemię układu pozostawiam samej sobie, lecę na pewien typ, tak
jak każdy, a ona była w tym moim typie. Tamte cztery - one też były
dobre, ale ta jest jedyna. Miałem nadzieję, że w ostatecznym efekcie
potwierdzi się to.

Czekałem, kiedy poruszy temat, jak spędzić resztę wieczoru.
Teraz, kiedy już ją rozpracowałem, wcale się nie spieszyłem. Z
każdym wdechem czułem w sobie coraz to większą moc, a było to
odczucie bardzo przyjemne. W każdym razie nie kazała mi zbyt długo
czekać. Naprawdę mnie pożądała.

Podąłem jej płaszcz i ująłem pod ramię, by poprowadzić przez
zatłoczony bar. Miała gładką skórę. Kiedy wyszliśmy już na
zewnątrz, pocałowałem ją tak naprawdę mocno. Przyłgnęła do mnie
najmocniej jak tylko można. Nawet przez gruby płaszcz wyczuwałem
jej miękkie ciało.

- Chodźmy do mnie. To tuż za narożnikiem - powiedziałem.

- Świetnie. Mi pasuje - odparła. - Im bliżej, tym lepiej. -
Powtórnie pocałowała mnie i pozwoliła prowadzić się pod rękę.

Mieszkanie było blisko, dlatego, że specjalnie dla niej wynająłem
je nazajutrz, gdy zobaczyłem ją pierwszy raz, tuż przed zmianą mojej
twarzy. Mieszkanie było umeblowane, z jedną sypialnią, bardzo
ładne. Musiałem tylko wstawić wyższe, szersze łóżko i zdobyć dobry,
ostry nóż rzeźnicki.

Pozwoliła, bym zdjął jej płaszcz, a jak tylko go odwiesiłem,
znowu mnie pocałowała. Nie chciała tracić czasu. Inne też nie tracą ze

mną czasu. Nie musiałem nawet myśleć o chemii mego układu, cała moc była we mnie.

Zdjąłem z niej sukienkę, szal po szalu. Śmiała się i pytała jak wróci do domu. Powiedziałem, żeby się nie martwiła, bo ja się tym zajmę. Łaskotaliśmy się tymi szalami i pierwszy raz zaliczyliśmy na kanapie. Wszystko absolutnie legalne, tak by mogła naprawdę czerpać radość, a ja żebym widział, jak dochodzi do finału. Zawsze daję im dobry finał.

Potem podniosłem ją i zaniósłem do sypialni. Była lżejsza niż mogło się wydawać i niższa. Poza tym była pulchna, słodka i gotowa.

- Dobry jesteś, naprawdę - powiedziała, gdy położyłem ją na łóżku.

- Dziękuję - odparłem. Następnie dałem jej małą szprycę środka uspokajającego. Twarz jej nabrała zabawnego wyrazu, coś mówiła, po czym zrobiła się śpiąca. Dawka była mała, w sam raz, by ją nieco bardziej rozluźnić.

Łóżko sięgało mi do pasa. Ułożyłem ją na skraju w taki sposób, w jaki chciałem ją mieć. Usiłowała usiąść i pytała: - Czy to jest legalne?

- Oczywiście, że tak - odparłem. - Zaufaj mi. Uśmiechnęła się, położyła z powrotem i przeczesała dłońmi włosy. Była wstawiona, ale nadal chętna.

- Okay - powiedziała. - W końcu jestem na plecach pod tobą. - Zachichotała znowu, niczym uczennica na pierwszej randce. Pochyliłem się i całowałem gładką skórę wewnątrz jej ud.

- Hej - powiedziała. - Hej, nielegalne.

Znowu próbowała usiąść, ale dałem jej niewielką szprycę usztywniacza, w sam raz, by zrobiła się nieporadna i dała sobą łatwo kierować. Kombinacja była doskonała: środek uspokajający wraz z usztywniaczem. Dawki ustalałem sam.

- Odpręż się, Damo Miłości - powiedziałem. - To ma być dla ciebie wielka przyjemność.

Położyła się z powrotem, a ja dalej ją całowałem. Zaprzestała walki. Zawsze tak robią, przestają. Tak naprawdę każda z nich,

głęboko w środku, jest po prostu grzejącą się suką. Z jej potem wydzielala się mieszanka obawy i seksu, mieszanina o wiele lepsza niż u innych.

Wykorzystywałem ją przez kilka godzin. Za każdym razem, kiedy przesuwałem ją w nową pozycję, troszkę walczyła, ale miałem nad nią pełną kontrolę. Poza tym, nic ją to nie bolało. Nie ma potrzeby robić im krzywdy. Kiedy przestawała walczyć, ja też byłem gotów przestać. Wszystkie one po jakimś czasie wypalają się tym sposobem. U niej, o zgrozo, trwało to dłużej niż u innych.

Zostawiłem ją na łóżku i poszedłem do kuchni po nóż, Ostatni raz na finisz, potem prysznic i przed brzaskiem wyjść stąd.

Gdy wróciłem do pokoju, przekonałem się, że zdołała się przesunąć i teraz leżąc na skraju łóżka wpatrywała się we mnie. Jak tylko zobaczyła nóż, jej oczy nabrały zabawnego wyrazu. Przedtem w ogóle nie zauważyłem, jak bardzo były niebieskie i naprawdę ładne. Inne kobiety były zbyt wyczerpane, by cokolwiek zauważyć.

- Wszystko w porządku, Damo Miłości - powiedziałem, - Jeszcze tylko jeden raz.

Oczy utkwiała we mnie, gdy podchodziłem do łóżka i wcale nie zwracała uwagi na nóż. Wciągnąłem w nozdrza woń jej narastającego podniecenia i strachu. Pochyliłem się, by ją pocałować, a ona ani na chwilę nie zamknęła oczu.

Wówczas poczułem gwałtowne ukłucie w udo. Odskoczyłem w tył, a ona klepnęła mnie. Następnie przesunęła się na łóżku, oddalając ode mnie. Zbliżyłem się do niej i podniosłem nóż, jednakże noga zakleszczyła się pode mną i zacząłem spadać. Nagle. poczułem, jak moim ciałem zawładnął narkotyk. Rzuciłem się w poprzek łóżka, starając się dosięgnąć ją i zarazem zablokować działanie narkotyku. Udało się jej jednak zsunąć na podłogę z drugiej strony łóżka, a nóż przeszył powietrze w miejscu, w którym przed sekundą leżała. Narkotyk dotarł do mych rąk. Był to jakiś rodzaj usztywniacza, ale nie wiedziałem jaki. Moje ciało nie było w stanie odczytać tego. Uruchomiłem blokadę, ale ta mieszanina była jeszcze gorsza. Całym moim ciałem wstrząsały silne dreszcze, a następnie stałem się tak wiotki, że nie byłem w stanie nawet poruszyć oczyma.

Nóż wypadł mi z dłoni. Usłyszałem, jak ugodził w coś miękkiego, a ona krzyknęła. Leżałem w poprzek łóżka ze stopami zwieszonymi z jednej strony, a prawą ręką - z drugiej. Lewy policzek wcisnął się w wilgotne prześcieradło. Prawym okiem widziałem niewielki wycinek pokoju.

Przez jakiś czas było cicho, sądziłem więc, że ją dostałem, jednak później usłyszałem, że się porusza. Zmagając się ze sobą wstała i stanęła nade mną. Kąt pod jakim ją widziałem sprawił, że pochylając się nade mną, wyglądała nieziemsko. Jej skórę pokrywały smugi zaschniętego potu, włosy były

Wilgotne i poskręcane w strąki. Na policzku miała ranę ciętą, z której krew spływała jej na pierś. Przez chwilę patrzyła na mnie, podniosła moją rękę, po czym pozwoliła jej opaść. Wtedy przeszła na drugą stronę łóżka.

Usłyszałem, że coś podnosi - słuchawkę telefonu. Po chwili zaczęła mówić:

- Tu trzydzieści dwa... Taak, mam go. Taak, to Igła, tak jak myśleliśmy. ... Uhm, z całą pewnością to on. Czekałam aż wyjął nóż... No, powiedzmy tylko, że jestem dobrą aktorką. .. Nie, nic mi nie zrobił. Nowe środki narkotyzujące działają. ... To nie twoja sprawa i nie wtrącaj się, do diabła..... Nie, ja się tym zadmę. Powiedz Prokuratorowi Generalnemu, że nie ma powodu do zmartwień. Nie będzie żadnej złej prasy. Będzie wyglądało na to, że dorwała go jakaś mewka. Możemy z mego zrobić męczennika. .. Uhhh, ty też.

Usłyszałem, jak odkłada słuchawkę. Następnie przeszła w miejsce, z którego mogłem ją zobaczyć. Krew na policzku już zaschła. Poruszała się zabawnie, jak gdyby ją coś bolało albo była trochę wstawiona, ale oczy miała rzeczywiście wyraziste i teraz wyglądały na szare. Oparła się plecami o ścianę i skrzyżowała ręce poniżej piersi. Widziane pod śmiesznym kątem, tylko jednym okiem, wydawały się ogromne. Krew na nich także zdążyła już zaschnąć.

- Poszukując cię, spałam z wieloma ciemnymi, seksownymi facetami - powiedziała. - Mogłam przepędzić połowę z nich, tyle tylko, że musiałabym odkryć karty. Boże, jaka strata czasu.

Pochyliła się i podniosła nóż.

- Masz odrażający umysł - powiedziała do mnie. Odeszła, więc straciłem ją z pola widzenia, ale po chwili poczułem, że chwyciła mnie za biodro. Popchnęła mnie na plecy i włożyła poduszkę pod głowę, abym mógł widzieć swoje ciało aż po stopy. Szeroko rozłożyła moje nogi. Czułem zapach własnego strachu.

Następnie uderzyła dłonią w moje udo. Czułem, jak przenika mnie jakiś dziwny środek uspokajający. Zrobiło mi się gorąco i poczułem senność. Jej oczy wyglądały znowu na niebieskie. Obróciła nóż w dłoni i uśmiechnęła się. Czułem zapach podniecenia. Jak grzejąca się suka.

- Chcę, żeby ci to sprawiło przyjemność - powiedziała.

M. DEAN BAYER

Podróż w czasie

Przypominając sobie, jak George Bradley o mały włos zostałby potracony przez samochód, Alonzo Webb niezwłocznie zorientował się, że znalazł doskonałe rozwiązanie sprawy romansu swojej żony. Zamorduje jej kochanka trzy dni temu.

Nikt nie przywiązywał większej wagi do eksperymentów, które prowadził w piwnicy, i z całą pewnością nikt nawet nie podejrzewał, że odkrył unikalną metodę podróży w czasie. Właściwie próbował zbudować zupełnie inne urządzenie. Wszystko zaczęło się od tego, że gdy umieścił w maszynie białą myszkę i rozpoczął próby, zwierzątko zdechło. Nie mógł wyczuć uderzeń serca, przyłożywszy swój kciuk, a na lusterku, które trzymał przy nosie i pyszczku myszy, nie pojawiła się mgiełka. Wobec tego wyrzucił mysz do pojemnika na odpadki, ale kiedy zabierał się do rozmontowania maszyny, usłyszał nagle mysie piski, dobywające się z kubelka, a chwilami zanikające.

- O, do diabła - powiedział Webb i zaczął przemyśliwać całą sprawę. Zajęło mu to sporo czasu, lecz po kilku dniach i większej liczbie eksperymentów wiedział wszystko. Mysz naprawdę odbyła podróż w czasie, a raczej odbyła ją jej astralna postać, pozostawiając tu tylko swe „martwe” ciało. A żeby potwierdzić swe domniemanie, Webb zbudował większą maszynę, dostał się do środka, zebrał całą

odwagę i wcisnął włącznik, żywiąc nadzieję, że zegar automatyczny, który uprzednio nastawił, po upływie godziny skieruje go z powrotem w jego cielesną powłokę.

Błysnęło światelko i, ku swemu zachwytowi, Webb stwierdził, że urządzenie działa. Według kalendarza jego ręcznego zegarka cofnął się w czasie o trzy dni i obecnie stał dokładnie w miejscu, w którym maszyna będzie za kilka dni w przyszłości. Ciało miał przezroczyste, jednakże stwierdził, że przekręcał klamki u drzwi z równą łatwością, jak gdyby jego spektralne dłonie były z prawdziwego ciała. Wyszedł na ulicę, gdzie przekonał się, że był całkowicie niewidzialny, lecz mógł mówić i słyszano go, a także zachował dotyk i czucie. Temu odkryciu towarzyszyły drobne przyjemności, gdyż mógł sobie pozwolić na to, by wyszeptać prosto w ucho kilku kobietom: „Chodźmy kopulować”, a także uszczypnąć je w pośladki. Kobiety zatrzymywały się z szeroko otwartymi oczyma i rozdziawioną buzią, rozglądając się wokół w paranoicznej frustracji.

Być może, pomyślał Webb, w taki właśnie sposób powstają duchy: jako astralni podróżnicy w czasie, przybywający z przyszłości. Krztusząc się ze śmiechu, Webb powrócił do swego laboratorium. Wówczas przyszedł mu do głowy taki pomysł. Odnajdzie Mirandę, troszeczkę ją postraszy, wyjawi swe odkrycie i prawdopodobnie w swej dziwnej astralnej postaci będzie się z nią kochał. Czyż to nie byłoby olśniewające? Być może ten niecodzienny pomysł pomoże mu przezwyciężyć problemy z brakiem erekcji i przedwczesną ejakulacją.

Poszedł do góry szukać jej. Wtedy to właśnie ich znalazł. Właściwie Alonzo Webb w ścisłym znaczeniu tego słowa nie był zazdrosnym mężem, był za to egoistą. Kiedy więc zastał swego sąsiada, jak w łóżku rypał Mirandę, był zdenerwowany, ale z innego powodu. Obawiał się, by Miranda nie rzuciła go dla George'a, bo wtedy skończyłby źle: sam musiałby gotować, sprzątać i troszczyć się o siebie. Po ostatnim zawale serca wszystko sprawiało mu trudność i łatwo się męczył, co było kolejnym powodem, dla którego cenił sobie swą astralną powłokę: nie powodowała zmęczenia. Trzeba zacząć od tego, że nigdy nie był w łóżku jak dynamit, a teraz jeszcze doszły zawały serca, przez które działał tylko na pół gwizdka. Miranda

mogła zatem dojść do wniosku, że długi, twardy kutas bardziej jej odpowiada.

Webba przyciągnęły do nich, do sypialni - jak pociągana sznurkiem zabawkę na kółkach - westchnienia i jęki. Drzwi od pokoju były lekko uchylone tylko na malutką szparkę, a kiedy ostrożnie poszerzył ją, popychając dłonią, ujrzał, że Miranda całkiem ostro sobie poczyną. Leżała z nogami rozłożonymi tak szeroko, że przyszedł mu na myśl akrobata cyrkowy - „człowiek bez kości”. George, w samych tylko skarpetkach, powoli wykonywał posuwiste ruchy wzdłuż jej długich, mocnych nóg. Miranda jęknęła i podniosła nogi wyżej. Pochyliła się do przodu, złapała za kostki i powiedziała: - Liź, George, liź mnie.

Wolno, cal po calu, George zbliżał się do niej, pocierając wargami jej duże sutki i twarde, ciemne brodawki. Przesuwał językiem w dół brzucha, lizał uda, a potem szybko i gładko, jak atakujący wąż, wsunął się pod jej uniesione uda i znalazł pomiędzy jej nogami.

Webb znał ten wspaniały obraz, gdy prosto przed oczyma pojawia się czerwona, wilgotna dziurka Mirandy. Przez całą długość pokoju czuł aromat jej słodkiej cipki. Dotarło do niego, że nie fiest w stanie zrobić jednego ruchu, że jest tym widokiem zafascynowany, że obserwowanie jak inny mężczyzna pogrywa z jego żoną przyprawia go o dreszcz emocji. Może - pomyślał - powinienem wziąć lampę i rąbnąć mą starego George'a w głowę. Jestem niewidzialny, więc nie zorientowałby się w mojej obecności tutaj, a potem już byłoby za późno. Jednakże przekonał samego siebie, że to by niczego nie rozwiązało. Miranda zostałaby oskarżona o morderstwo, a wynik końcowy byłby niezmienny; zostałby sam, nikt nie zatroszczyłby się o niego.

Poza tym, nie był zazdrosny, tylko trochę zmartwiony. No i cóż to za wspaniała podnieta, kiedy może obserwować, jak obcy mężczyzna kocha się z jego żoną. Bogiem a prawdą, zawsze miał skłonności do efektów wizualnych, które znacznie dominowały nad jego zwykłym męskim pożądaniem. Wolał raczej patrzeć na piękną kobietę, dosiadaną przez mężczyznę niż samemu być jeźdźcem, aż do spełnienia. Niektóre filmy porno znał prawie na pamięć. Uwielbiał

całe to rżnięcie i lizanie na ekranie. Dawało mu to więcej emocji, niż gdy wkładał swój własny pal między gorące, drżące i wilgotne wargi sromu.

A teraz tu w swojej własnej sypialni zajmował miejsce tuż obok ringu.

George lizał wewnętrzne powierzchnie ud Mirandy, co rusz zbliżając koniuszek języka bliżej i bliżej jej wilgotnego kanionu, ale ani razu naprawdę go nie dotykając. Czasami jedynie dosięgał jej owłosionego łona lub kierował język na skraj jej dziurki, ale dokładnie w chwili, gdy wydawało się przesądzone, że trafi językiem w jej gorącą wnękę, odsuwał się i wycofywał go. Miranda wydawała jęki z zachwytu i emocji oczekiwania, aż przestanie wystawiać ją na tak ciężką próbę.

- Drażnisz mnie - powiedziała miękko. - Gryź, ty draniu. Wyliź.

George roześmiał się.

- Wszystko w swoim czasie, słodka cipko, wszystko w swoim czasie.

Webb ostrożnie popchnął drzwi, a gdy się całkowicie otworzyły podszedł do łóżka. Żadne z nich, zatracone w zmysłowych rozkoszach, niczego nie zauważyło.

George przesunął się niżej, do sromu Mirandy i czubkiem języka smakował słodki śluz, sączący się spomiędzy jej szparki. Swym sondującym wnikliwie instrumentem George zbadał dokładnie zarys jej warg sromowych, lizał gwałtownie mięsiste ciało, po czym nagle zanurzył swój język w jej dziurce.

Webb obserwował z coraz większym podnieceniem, jak nos George'a raz za razem ginie w głębi krocza Mirandy; obserwował, jak wilgotna, różowa tkanka odbijała się od twarzy George'a, podczas gdy Miranda kręciła biodrami w dzikim zapamiętaniu.

George przytrzymał jej pośladki i przyciągał ją do góry, w swą stronę, wspomagając ruchy jej bioder. Webb obserwował twarz Mirandy. Była całkowicie zatracona w swej rozkoszy. Jej usta - ten wspaniały, głęboko zasysający instrument - były szeroko otwarte, cicho postękiwała, oczy miała wpół przymknięte.

- Zjedz mnie, kochanie, rozwierć. Chcę już orgazmu - jęczała.

Łykając soki namiętności Mirandy, George zaczął dotykać językiem jej łechtaczki, smagając w tył i w przód, używając języka jak paska do ostrzenia brzytwy. Miranda była jak zdziczała, podskakując wysoko na łóżku, bliska krzyku, a jednak z wielką determinacją zdołała go opanować.

Wówczas nastąpiło spełnienie; całe jej ciało zabarwiło się szkarłatnie, plecy wygięły w łuk, a wzgórek łonowy wypychał do góry twarz George'a, unosząc mu ramiona i klatkę piersiową ponad powierzchnię łóżka. George nadal zajmował się łechtaczką, ssąc ją, głośno przy tym przełykając.

Miranda jęknęła i opadła na łóżko, dysząc ciężko. Przez jakiś czas George zajęty był lizaniem jej łechtaczki, szparki i pochłanianiem stale na nowo sączącego się z niej śluzu.

- Jak dobrze - powiedziała Miranda. - Cholernie dobrze. George wyswobodził się spomiędzy jej nóg, a następnie przesunął na jej lewą stronę. Przez chwilę obejmowali się. Potem Miranda przystąpiła do działania - sięgnęła ręką, chwyciła potężnego koguta George'a i zaczęła delikatnie wodzić wzdłuż niego kciukiem oraz palcem wskazującym, przesuwając się do czubka wału, który lśnił od płynu lubrykacyjnego. Masowała mu kutasa, który wydzielał coraz więcej płynu.

- Pięknie to robisz, kochanie - powiedział George. Miranda zlizwała śluz z palców.

- Pewnie, że tak - odpowiedziała. - Mam w tym bardzo dużo doświadczenia.

- Czy on nigdy nie wychodzi z tego swojego laboratorium? - zapytał George.

- Nigdy przed piątą, Słonko. Powinieneś już wiedzieć o tym. Od sześciu miesięcy jest .dobrze, całkiem gładko, i dalej będzie dobrze.

Webb ze zdumieniem obserwował, jak już będący w stanie erekcji członek George'a nadal się powiększał. Wyglądał jak przeklęty banan, tyle że większy. Miranda uśmiechała się na widok wielkiego instrumentu.

- Milutki - powiedziała. Następnie skłoniła się i pocałowała George'a w usta, potem przesunęła twarz ku jego szyi i torsowi. Powoli prowadziła język w dół, przez cały brzuch, i skierowała go na owłosione łono.

George jęknął, gdy długi język Mirandy wyłonił się, by drażnić dotykiem koguta. Jej język wędrował w górę i w dół po całej długości grubego, oplecionego siatką błękitnych żyłek wału George'a, a następnie między nogi, gdzie zajmowała się jego jądrami, delikatnie zderzając jedno z drugim. Potem znowu wzwyż, do góry, powoli, tak wolno, że Webb w myślach poganiał ją.

W końcu sięgnęła samego końca wału George'a, poklepując go serią tak szybkich uderzeń na całym obwodzie, że ruchy jej języka stały się niemal niewidoczne.

Wówczas gwałtownie wchłonęła go i zaczęła głośno ssać, jednocześnie palcami jednej ręki pieściła mu jądra, a drugą wykonywała suwy. Kiedy pochyliła się nad palem, jej miękkie, obfite piersi zwieszały się, pocierając jego uda. George uchwycił bliższy cycek i zaczął masować brodawkę, błyskawicznymi ruchami ręki prztykając jej koniuszek.

Miranda ssała coraz to mocniej, jej głowa pracowała jak młot pneumatyczny. Webb dostrzegł jądra George'a przygotowane do eksplozji. Nagle George wydał głośny, przeciągły jęk, a wielkie sople nasienia kapąły kroplami z ust Mirandy, rozpryskując się w jej długich włosach i na udach George'a.

George przewrócił Mirandę na plecy, a Webb lekko zaszokowany zauważył, że pal mężczyzny już znowu rósł i sztywniał. George usiadł okrakiem na Mirandzie i umieścił swój pal pomiędzy jej masywnymi buforami. Przy pomocy dłoni przyciskała je mocno wokół jego organu. George rozpoczął ruchy frykcyjne. Chwilami ukazywał się koniuszek jego tarana, by ponownie wślizgnąć się między jej wargi. Szeroko otwierała usta i znowu wchłaniała między wargi długi, gorący drut.

Po pewnym czasie George odsunął się od piersi Mirandy i obniżył do jej owłosionego siodła. Miranda dłonią wprowadziła jego

monstrualnej wielkości dziecięcia w swą drżącą szparkę. Jednak zanim George zdołał zrobić pierwsze ruchy, Miranda delikatnie odsunęła go.

- Chwileczkę, George - powiedziała z figlarnym uśmiechem. - Mam dla ciebie niespodziankę.

George odzyskał głos dopiero w czasie, gdy Miranda przeszukiwała szufladę swego nocnego stolika.

- Miranda, co do diabła? Dlaczego mi przerwałaś? W odpowiedzi Miranda krzyknęła triumfalnie:

- Wiedziałam, że ją znajdę!

Wróciła do George'a z małą paczuszką w ręce. Uroczyście wręczyła ją George'owi. - To jest prezent... dla ciebie...

Otworzywszy pudełeczko, George znalazł połyskującą, srebrną obrączkę na członek. Miranda ułożyła go na plecach, wsunęła obrączkę na jego ogromny pal i wydyszała:

- Przeleć mnie teraz, George.

Gorączka ich uczucia wypełniła pokój jak dym, przenikając wszystko od podłogi po sufit, od ściany do ściany, i przesycając żądzami astralne ciało Webba. Prowokował go widok Mirandy chwytającej się za kostki i unoszącej nogi wysoko ponad głowę, podczas gdy George pompował ją, a jego mlgotne jądra klaskając zderzały się z jej mocnymi, krągłymi pośladkami. Wyptywający śluz uderzał jak krople deszczu o prześcieradło pod tyłeczkiem Mirandy, aż wkrótce zrobiło się wilgotne.

W końcu obojgiem zawładnął orgazm. Miranda dziko młóciła wokół nogami, podczas gdy George drżał w ekstatycznym zapamiętaniu. Potem, po kilku chwilach wzajemnych dotyków, paru czułych słówkach, rozdzielili się i leżeli obok siebie, ciężko dysząc.

Kilka minut później George wyszedł z łóżka i ubrał się, Miranda zaś założyła porannik. Jednakże dopiero to, co nastąpiło potem, podsunęło Webbowi jego doskonały plan, doskonały sposób na pozbycie się George'a.

Po pożegnalnym pocałunku Mirandy George przechodził przez jezdnię na drugą stronę ulicy. Nagle odwrócił się, by jeszcze raz spojrzeć na nią. W tym samym momencie zza narożnika wyjechał

długi, lśniący samochód, który prawie otarł się o niego, przejeżdżając w odległości zaledwie kilku cali. Gdyby się nie odwrócił, aby pomachać Mirandzie, już by nie żył.

W chwili gdy wyraźnie przerażony George doczołgał się na drugą stronę ulicy - upłynęła - właśnie godzina Webba. Przeniósł się w czasie o trzy dni w przyszłość i powrócił do laboratorium. Zadowolony, że obudził się w swym własnym ciele, w którym wszedł godzinę temu do wnętrza maszyny czasu, głośno powiedział:

- O to właśnie chodzi! Jeszcze raz wrócę tam. Tyle tylko, że tym razem George skończy jako ozdóbka na masce tamtego samochodu.

Myśl o tym tak bardzo go podekscytowała, że serce zaczęło mu walić jak młot i musiał usiąść. Radość z planu całkiem go opanowała, jednak przeliczył się z siłami.

Po chwili odpoczynku ponownie nastawił zegar czasowy maszyny na następną, tym razem czterogodzinną wyprawę w przyszłość. W momencie, kiedy miał ponownie wejść do wnętrza maszyny czasu, przyszedł mu do głowy nowy pomysł. Webb uświadomił sobie, że całkiem po prostu nie da sobie rady z przyszłym żalem Mirandy po zgonie kochanka, wobec czego szybko przestawił tarczę kalendarza tak, by jego powrót nastąpił dopiero po sześciu dniach w przyszłości i po upływie godziny w przeszłości. Pozwoliłoby mu to na sprzątnięcie George'a bez konieczności znoszenia przykrych tego konsekwencji. Szeroko uśmiechając się, Webb ponownie uruchomił maszynę.

Powracając, przybył w sam raz, żeby powtórnie zobaczyć, jak George i Miranda odbywają stosunek. Osobliwe było oglądanie tej bezpośredniej powtórki z wydarzeń, których świadkiem był dopiero co, przed kilkoma momentami, ale ponownie stwierdził, że to go fascynuje.

Kiedy rżnięcie, pompowanie, rypanie wreszcie zakończyło się, Webb żwawo wyszedł za George'em na ulicę. W chwili, gdy George odwrócił się, by popatrzeć na Mirandę, Webb swymi niewidzialnymi rękoma mocno złapał go za ramiona i popchnął. Doskonale obliczył czas. Długi, lśniący samochód wyjechał z za narożnika i uderzył, George'a, po czym wyrzucił ciało w górę jak szmacianą lalkę.

Kończył się właśnie czas Webba. Zanim przeniósł się w przyszłość, zobaczył jeszcze, jak Miranda wybiega na ulicę. W przyszłości znalazł się w kompletnej ciemności. Leżał na plecach i trudno mu było oddychać. Ponad nim była zamknięta przestrzeń, a bezpośrednio po prawej i lewej stronie - ścianki. Z całej siły naparł na płaszczyznę nad głową. Nic się nie zmieniło.

O co tu chodzi, pomyślał.

Do świadomości doszło powoli przerażające odkrycie. O, nie - pomyślał. To niemożliwe!

Ponownie zbadał swe otoczenie, w wyniku czego był jeszcze bardziej pewny niż przed chwilą.

Jego pusta powłoka cielesna leżała trzy dni w piwnicy, podczas gdy on podróżował w czasie tam i z powrotem. Miranda z pewnością znalazła ciało i uznała, że miał atak serca. A lekarze, nie stwierdzając bicia serca...

Zawsze podkreślał, że nie życzy sobie balsamowania zwłok, bo to tylko wyrzucone pieniądze.

Pamiętano o jego życzeniu. Nie zabalsamowano go, a jego postać astralna trafiła do swego ciała, jak pocisk do tarczy, przeniknęła je, a zatem... pochowano go żywcem.

LUCIUS SHEPARD

Próba wiary

Z ambony, wyrzeźbionej z hebanu w kształcie głowy gryfa o wydłużonym dziobie, widzę wszystkie grzechy moich parafian. Wydaje się jakoby z twarzy na twarz przepływał prąd, naświetlając tajemne znaczenie każdej zmarszczki i bruzdy na twarzy.

Parafianie - podobnie jak ich grzechy - są całkiem zwyczajni. Dzieci denerwujące drobnymi przykrościami. Mężczyźni o czerstwych policzkach, opanowani przez żądzę posiadania dóbr doczesnych, stateczni obywatele o ułomnych sercach, gotowi do brutalnych kłótni z żoną. Kobiety, których myśli nie licują z powagą

ich umysłu, a każda z nich ma za męża rozpustnika, robiącego skoki na prawo i lewo.

A jednak, przy całej ich pospolitości, wierni wyróżniają się tym, że ich grzechy ząbują się wzajemnie ze sobą, że pasują do siebie nawzajem. Na każdego potencjalnego pederastę przypada młody chłopak gotów ulec zboczeniu w pierwszym porywie, na każdy akt przemocy i gwałtu - żądza doznania bólu, a na każdą zgorzkniałą wdowę - zmysłowa lubieżność ostra jak szydełko, którym owa wdowa ceruje codzienność swych dni. Zawsze wydawało mi się, że warto to zgłębić, jednak do niedawna nie miałem żadnego pojęcia, jak należałoby to uczynić.

Nie tylko widzę grzechy mych parafian, ale także mogę je doświadczyć; przy czym obie te zdolności nawiedzają mnie w kościele i - jak sądzę - jemu je zawdzięczam. Jest to prastary dom kultu, wybudowany jako gwarant zasad purytańskich, o ścianach biało tynkowanych i czarnych belkach stropowych, uświetniony dwunastoma witrażami, z których każdy przedstawia dziką bestię w obramowaniu liści winorośli. Jak chce legenda, chłodne powietrze świątyni walczy z duchami starych, zamordowanych wiedźm, których większość padła z rąk pierwszego tutejszego pastora, niejakiego Jeremy'ego Caldera, człowieka, którego miłość do Boga przywiodła do krwawych czynów.

Wątpię jednak, by jego astralna obecność, albo obecność jego ofiar, dała początek szczególnym darom mej psychiki. Raczej sądzę, że są one wytworem miejsca i czasu, bowiem oddziałuje na mnie natura wszelkich skrajności, rzeczy dobrych czy złych. Zdolności me są zrodzone ze współdziałania tysięcy efemeryd, są skutkiem połączenia wszystkiego co normalne, a co w efekcie daje anomalie... Ale miałem przecież opowiedzieć, w jaki sposób doświadczam grzechów mych parafian.

Rankiem po mszy o godzinie jedenastej, gdy stoję w komży na schodach pośród czerwono - żółtych liści jaworów i brzoź, wyścielających ulicę, powiewających i migocących jak semafony w pełnym świetle słonecznym, witam się z każdym z parafian, wypowiadając jego imię i wymieniając uścisk dłoni, a każdy jej dotyk otwiera w mej głowie jakąś wizję.

Weźmy przykładowo Emily Prideau. Córka Bess i Roberta. Szesnastolatka na wydaniu; atrakcyjna. Jej piersi są wymodelowane w przesadne wypukłości pod różowym, wykrochmalonym przybraniem jej niedzielnej sukienki. Z jej palców emanuje jednak obraz lasu o północy, gdzie ściąga swój sweter, wyswobadzając ciężkie piersi, kuliste, jasne, doskonałe w świetle księżyca, a następnie, z uśmiechem odwiązuje sznurówki spódnicy, pod którą nie nosi żadnej bielizny, a chłopak obecny tam i przyglądający się jej sekretnym wdziękom w osłupieniu i z wyschniętym gardłem, ma wówczas erekcję.

- Najpierw zajmij się mną - mówi dziewczyna, a gdy on klęka przy niej, ja odczuwam przyjemność, którą wyzwała jego język.

- Cudowne kazanie, pastorze - mówi Emily, papugując swego ojca, a ja muszę siłą powstrzymać się od śmiechu, jako że zabawna jest me tyle niezgodność tego komplementu z jej myślami, co sam komplement. Moje kazania są łagodne i ledwo co strofujące, z częstymi wzmiankami o wentach dobroczynnych i wcale nie zmierzają do zbawienia. W jakim celu miałbym ich wszystkich prowadzić do zbawienia? Niebo? Ta mdła fantazja już od dawna umknęła mi z głowy, a brak Boga widać na każdym kroku... Chociaż miałem poczucie Jego obecności w moim kazaniu płaskim i ciemnym jak cień. Wiem jednak, że oczekuje On, by kazania przekształcały się w obraz Boga odpowiadającego naszym czasom. Taki jest rdzeń boskości, musimy ją wypełnić grzechami - jak to sam czyniłem przez sześć lat posługi - i zabić ją, a potem powołać do życia w nowej postaci. Boskość jest naczyniem przystosowanym do form współczesnego nam zła.

Torebka Emily z głośnym dźwiękiem opada na jej brzuch, gdy odchodzi podążając za Bess i Robertem w aureoli mitu jej dziewczectwa, zaś przede mną stoi bankier Miles Elbee, który jak uschnięta gałązka, grzesząc osiwił mając czterdziestkę, a zmarszczki i zwietrzała twarz nadają mu wygląd osoby o wiele lat starszej. Jego powierzchowny uścisk dłoni daje wizję połysku skóry bicza i okrzyku triumfu. Zawsze tak szybko cofa swą dłoń, że zastanawiam się, czy wie, że widzę jego uległość i że wstydzi się tego.

- Piękny poranek - rzuca i z wystudiowanym uśmiechem przyłącza się do innych i ich dyskusji. Ale oto Marge Trombley wyciąga do mnie swą dłoń w białej rękawiczce. Ma kasztanowe włosy i bladą twarz, w którą delikatnie wpisały się cierpienia z trzydziestu lat, a która wydaje się tak subtelnie wykuta jak kamea. Och, Marge! Twój grzech jest najśłodszym towarzyszem mego własnego grzechu. Uścisk koniuszków twych palców obdarza mnie błogosławieństwem obrazu ciebie i mnie złączonych na chórze w kościele. Poza tym obrazem jest coś jeszcze, ciemny karb najbardziej sekretnego grzechu. (Czy wspomniałem już o tym, że w każdym sercu wyryty jest zawiliły kształt najświeższej i największej niegodziwości, do jakiej jesteśmy zdolni?). Odwzajemniam uścisk jej dłoni, przeciągając go nieco dłużej niż wynikałoby to z nakazów przyzwoitości, co wywołuje rumieniec na jej twarzy.

- Mam nadzieję, że którejś niedzieli zobaczę tu Jeffreya - mówię. Stanowi to dla nas początek litanii. Jefferey jest tym, który nigdy nie robi nic dobrego, oddaje się sobotnio - niedzielnym pijatykom i biciu żony; nigdy jego noga nie postąpiła w kościele Świętej Maryi, zaś nasza wymiana zdań na jego temat z reguły przebiega podobnie.

- Zachorował - oznajmiła Marge. - A poza tym wpadł w depresję z powodu pracy. Marge uśmiechem pokrywa swe cierpienia. - Spróbuję przyprowadzić go w przyszłym tygodniu. - Następnie pochyła się w moją stronę i szepcze:

- Musimy porozmawiać, pastorze.

Odpowiadam, że niestety na cały tydzień wyjeżdżam na konferencję kościelną. Jest to oczywiście kłamstwo, ale informuję ją, że sobotni wieczór po powrocie mam wolny.

- Czy zechciałabyś wpaść tak gdzieś około siódmej...? Rzeczywiście, chciałaby. Marge, czy to ma być nasze rozkwitanie?

I tak to wszystko płynie, jedno życie po drugim: świątecznie wystrojone skorupy, zamykające w sobie chaos frustracji.

Z chwilą, gdy wszyscy już udali się do domu lub na lunch, albo na kort tenisowy, siadam sobie w tylnej ławie i dopijając wino mszalne, wpatruję się w zwierzęta w ich witrażowym, ograniczonym winoroślami świecie. Ze swych okien odwzajemniają one spojrzenia,

a jest w nich pełnia życia. One żyją. Nie w potocznym znaczeniu, ale w mistycznym. W tym sensie, jaki miał miejsce w epoce majestatu, w czasach Jeremy'ego Caldera i jego wiedźm, bowiem on świadom był prawdy, że prawdziwe życie to idea. Każde wybrzuszenie, każda wada szkła zawiera w sobie zawiązek reguły, ołowiane słupki okienne płyną wraz z wypływem rzek, a gdy je obserwuję, widzę, jak niedźwiedź unosi pysk ze złotej. bańki w metalu i mrukliwie wypowiada modlitwę w intencji mego zbawienia; jest on z nich wszystkich najświętszym, najsubtelniejszym potworem, który ostatni raz posilał się surowym mięsem tak dawno, że zdążył zapomnieć o zewie krwi, a teraz godziny mijają mu na klasztornej kontemplacji. Sowa, antyczna ciemność, osądzająco potakuje; baranek swawoli, machając kusząco swym krótkim, obciętym ogonkiem zaprasza mnie, bym grzeszył. Każde z nich ma jakąś ocenę mego postępowania, mego życia... każde, z wyjątkiem lwa. Przez te sześć lat ani razu nie poruszył się, ani razu nie przemówił, a ponieważ jest z nich wszystkich najpiękniejszy i najszlachetniejszy, od niego właśnie najbardziej chciałbym usłyszeć, co mi ma do powiedzenia. Zastanawiam się, na co on czeka. Mówi się, że Jeremy Calder często prowadził przesłuchania wiedźm właśnie pod tym oknem i czasami nie dawało się odróżnić dochodzących z kościoła okrzyków bólu od krzyków rozkoszy kobiet. Czyżby dlatego lew zamilkł? Czy Jeremy szukał Szatana, ryzykując całą męskością, oczyszczając te naczynia, czy też, jak ja, był tylko lubieżny? Być może, kiedyś miało to jakieś znaczenie. Dziś już nie. Czas przytłacza wagę intencji, a w końcu liczy się efekt, skutek, zysk.

Wypijam wino do dna, a osady miąższu z owoców utykają mi pomiędzy zębami. Przyjmuję to z zadowoleniem, upatrując w tym dobry znak, ponieważ to właśnie miąższu życia nieustannie poszukuję w cienkim winie egzystencji. Tego, co namacalne, co daje się przeżuć. Trudna fiest posługa pastorska bez wiedzy o tych obłędach, bowiem żyjemy we wszechświecie czarnych reguł i pozbawionych steru gwiazd, jak więc można prowadzić nawigację bez zakorzenienia się w głębokich pokładach tego medium? Stąd też muszę od czasu do czasu ulegać swym zachciankom... choć tak naprawdę nie potrzebuję żadnej wymówki dla swej słabości. Jestem krzepkim mężczyzną tuż po czterdziestce, moja żona nie żyje, a jak dotąd nie spotkałem

odpowiedniej osoby, która zastąpiłaby ją, chyba że poczciwa Marge Trombley miałaby uwolnić się od swego Jeffreya.

Gdybyż tak miało być! Spoglądam na swe wykrzywione odbicie w szkle butelki. Jestem tak próżny jak ona. Lecz nie na długo. Od jakiegoś czasu zawładnął mną cel, jaki chcę osiągnąć. Cel, który nie jest tylko uczuciem, ale czymś cielesnym, fizykalnym. Jest czymś łączącym w sobie obie te sfery. Możliwe, że wyjaśni się to na „konferencji kościelnej”.

*

Dwieście osiem mil od Fallon, gdzie bieli się Święta Marya, leży miasteczko Corn River, na którego południowym krańcu stoi stary, ceglany budynek, dom pięknej Sereny de Miron (de domo Carla di Luca), obsługujące Greków, Francuzów i różne narodowości Trzeciego Smata, tak egzotyczne, że nawet Biblia nie była dostatecznie przezorna, by przed nimi ostrzec. W domu tym mieszkają także inne dziewczęta, ale mnie podoba się tylko Serem... Serem, która dobrze wie, jakie z mych wymagań duchowych mają swe odpowiedniki w żądzach mego ciała. Ciemne włosy, blada, nieskazitelna cera, twarz anioła z płótna Degasa i para ostrych nabojów, jakich moje oczy dotąd nie widziały. Wszystko to oprawione pozą pełną niedbałości charakteryzującą osoby żujące gumę. Doskonała przewodniczka wyprawy do miąższu współczesnego życia. Czeka na mnie w pokoju, którego ściany pokryte są - jak minerał o barwie kremowej siatką żyłek - plakatami, z których większość przedstawia wyglądających na zdeprawowanych mężczyzn z gitarami.

- Frankie! - mówi piskliwym głosem, klękając i podrygując na łóżku. - Gdzieś ty się podziewał?

- Podróż w interesach - mówię, ściągając kurtkę. Rzeczywiście na imię mi Franklyn, ale powiedziałem Serenie, że jestem obwoźnym sprzedawcą sztucznej biżuterii, na dowód czego przy każdej mojej wizycie ofiarowuję jej jakąś błyskotkę. Z kieszeni spodni wydaję dwa długie kolczyki z kryształu górskiego - imitację diamentu, które

skręcają się i pobłyskują jak gąsienice z kryształu. Serem sięga po nie, przykłada do uszu, odgarniając do tyłu włosy, bym mógł ocenić efekt... doskonale pasują jak dla wiedźmy. Masz szczęście, Sereno, że zamiast mnie nie stoi przed tobą stary Jeremy.

Kilka godzin później, kiedy nadal złączeni leżymy twarzą w twarz, wspominam o mym zainteresowaniu Marge Trombley.

- Podoba ci się, co? - pyta.

- Podoba? - Przymyśliwuję nad istotą mych odczuć. -
Powiedzmy, że coś w niej pociąga mnie, coś czego w pełni nie mogę zgłębić.

Serem obdarza mnie od środka przyjaznym uściskiem.

- Jesteś taki wrażliwy, Frankie. Gdybyś był młodszym facetem.

To skłania mnie do udowadniania, że wiek nie pozbawił mnie do końca sił witalnych, więc przez następną godzinę rozmowa ustaje.

- Nie wiem, co ci powiedzieć - mówi potem. - Jaka ona jest?

Intuicja podpowiada mi, by nie wnikać w charakter Marge, ale czynię próbę analizy.

- Spokojna, konserwatywna. Przynajmniej powierzchownie. Zamknięta w sobie. I to właśnie chciałbym w niej zgłębić. Cokolwiek kryje się za tymi latami stłamszenia.

- Mąż ją bije?

- Regularnie.

- No wiesz - mówi Serem. - Wygląda mi na to, że ona sama nie wie, czego chce. To znaczy, ona wie, ale może trzeba ją do tego przekonać. Skoro mąż obija ją cały czas... to pewnie jej to nie sprawia przyjemności czy czegoś takiego. Ale prawdopodobnie przywykła już, by ulegać sile.

- Nie rozumiem.

- Ależ tak, rozumiesz - Serem nie może sobie znaleźć miejsca, a ja reaguję na bodźce. Chichocze.

- Ooo, to mi się podoba! - mówię. - Co miałaś mi powiedzieć?

- O czym?

- O Marge... o przekonywaniu jej.

- Widzisz - brwi Sereny krzywią się marsowo, a jej głos nabiera tonu powagi i uczciwości: - Powinna z tobą dochodzić do skrajnej przepaści, a potem trzeba ją popchnąć, no wiesz. Żeby upadła.

- Popchnąć? Serem śmieje się.

- Musisz być władczy, Frankie. Wiesz przecież, jak być władczym, prawda?

Wobec tego staję się władczy.

W czasie hulanki z Sereną nawiedzam burdel. To też świątynia, z bogiem bardziej zrozumiałym niż ten szczątek ciemności, który zamieszkuje Świętą Maryję, i jako taki udziela mi stosownych nauk. Stojąc w ponurym korytarzu i nasłuchując krzyków ekstazy, zarówno oszukańczych jak i nieklamanych, przypominam sobie pełne bólu krzyki mojej żony. To co przeżerało ją od środka, doprowadzało ją coraz bliżej śmierci. Kochałem ją tak bardzo, a jednocześnie oburzałem się na to umieranie, widoku którego nie mogłem znieść. Czasami trudno mi było nawet ustalić, czy do położenia kresu jej żalostnego życia popychała mnie litość, czy też irracjonalny morderczy impuls. Te miesiące przyglądania się jak umiera, prób złagodzenia jej agonii, całkiem wytrąciły mnie z równowagi, pchnęły mnie na drogę, z której dotąd nie uciekłem i zapewne nigdy nie zejdem... Czy zatem może kogoś dziwić, że mam świadomość nienormalności moich delikatnych uczuć? Być może jest to zaskakujące dla niektórych; jednakże zbyt długo żyję wewnątrz mej splekanej skorupy, by kłopotowała mnie przenikająca feeria światła i barwa myśli.

Szaleństwo w naszej epoce jest formą mądrości, soczewką, która pozwala ujrzeć niewyraźne prawdy i zyskać wiedzę, jak stosować to, czego się nauczymy. I tak, będąc bardziej szalonym niż inni, jestem tym samym mądrzejszym, bardziej zdolnym do działania, a działanie, a raczej to zlanie działań w jedność nachodzi mnie, gdy stoję w hallu. Jedność ta jest szczytem szaleńczej mej mądrości. Dlaczego nie pojmowałem tego wcześniej? Powinno to być dla mnie zupełnie oczywiste! Marge i nasza schadzka w sobotni wieczór, rada Sereny, tradycje kościoła i tak dalej. Wszystko wskazuje na fakt, że - jak

każdy dobry pasterz - muszę dawać dobry przykład memu stadu, kierować je na ścieżkę cnotliwe niegodziwości i rozpalić płomień nowego boga z żaru starego. Przykładem... i słowem, które pochodzi z tego przykładu. Tak, tak! Nareszcie odpowiedni temat na kazanie, właściwa okazja do upamiętnienia tego odkrycia. Śmiejąc się - wreszcie mam w polu widzenia zamglony dotąd cel - gwałtownie otwieram drzwi do pokoju Sereny, zaskakując ją. Kładzie się na plecach, a koszulę nocną unosi powyżej ud.

- Do licha, Frankie - mówi. - Wyglądasz... - Skłania głowę na bok, wyraźnie szukając właściwego słowa lub określenia. - Taki zmieniony, odmieniony czy coś.

Czyż moje oświecenie mogło wyrazić się zmianami zewnętrznymi? Sądzę, że jest to możliwe. Uważnie studiuje swe odbicie w lustrze na drzwiach, ale nie widzę nic nadzwyczajnego... z wyjątkiem większej życzliwości dla samego siebie. Zdaję sobie teraz sprawę, że miesiącami unikałem luster, nie chcąc oglądać nieszczęsnej mej duszy wysychającej w mym ciele. Teraz jednak dusza nie ujawnia się. Moje wyobrażenie w lustrze napawa mnie otuchą, daje wiarę godną lwa. I przepełnia zamiarem. O, już dojrzałem, by wyjawic mój zamiar.

- Widzisz przed sobą - mówię zwracając się do Sereny - człowieka, który stał się wielkim dzięki swemu posłannictwu.

Serena chichocze i poklepuje materac obok siebie.

- Frankie, nie pozwól, żebyś się zmarnował. Chodź tu, zanim staniesz się znowu mały.

Sobotni wieczór, ostatnia, biała poświata szarego dnia, naświetlająca okna z witrażami, świece palące się spokojnie na ołtarzu po bokach srebrnego krzyża takich rozmiarów, że nadawałby się do ukrzyżowania małego dziecka. Oddzielony od Sereny i Kościoła Rozkoszy Cieleśnych, moje przeświadczenie - jak chciała żartobliwie Serem - zmałało. Jestem zdenerwowany, pełen wątpliwości. Lecz mój cel pozostaje wyraźny. Targany wątpliwościami czy dokonam tego czynu. Gdy Marge wchodzi frontowymi drzwiami, zasuwam rygiel, zamykając nas w obrębie nieznannej krainy, której granice wkrótce mamy określić. Na odgłos

rygla gwałtownie podskakuje, ale ja uśmiecham się upewnijająco. -
Włamywacze - mówię. - Albo psotni chórzyści.

Marge odwzajemnia uśmiech, odprężona.

Chytrze mrugam porozumiewawczo do lwa i prowadzę ją na plebanię, połączoną korytarzem z garderobą na chórze. Wskazuję miejsce na sofie z czerwonego aksamitu. Przez jej włosy przeświecają ostatnie blaski światła, wargi ma czerwieńsze od aksamitu, a w dekolcie jej sukienki pomiędzy połyskującymi zakolami piersi dostrzegam kawałek koronki. Rozpięła o jeden guzik więcej niż zwykle. Ostateczny sygnał, Marge. Nie zawiodę cię.

Oferuję jej wino, waha się, nalegam. Wino ma taki sam bladoczerwony kolor jak jej włosy, a gdy pije, przyjemność sprawia mi wyobrażenie, że próbuje smak swego własnego jestestwa. Siadam przy niej nie za blisko, nie za daleko. Dystans nęcący, a jednak powściągam kuszącą bliskość i przejawiam szczerą troskę, słuchając skarg na jej Jeffreya.

- Nie ma go już prawie dwa tygodnie - mówi Marge. - I przysięgał, że nie wróci.

Dziękuję ci, Jeffrey, pomyślałem z wdzięcznością.

- Wróci - odpowiadam, głaszcząc ją po rękę. - Nie martw się.

Marge nie uchyla się przede mną, jedynie spogląda nieśmiało.

- Wiem, że pastor ma rację - mówi. - Ale...

- Ale co?

- Pastorze, to zabrzmiał okropnie, ale...

- Franklyn - wtrącam - proszę, mów do mnie Franklyn. - Dobrze.
- Słaby uśmiech. - Franklyn. - Wzdycha, a nad koronką nabrzmiewają krągłości jej białego ciała. - Mówiłam, że to zabrzmiał okropnie, ale wcale nie jestem pewna, czy chcę, by wrócił.

Udaję głębokie zamyślenie.

- To wcale nie jest okropne - mówię. Przecierpiałas już dostatecznie dużo przez niego.

Wpatruje się w kieliszek z winem, jak gdyby szukała w nim wyroczni.

- Nie wiem.

- Marge - zaczynam.

Poruszona spogląda na mnie.

- Wybacz mi mą poufałość - mówię, odwołując się do delikatnych tonów. - Czuję się bardzo bliski tobie, pokładam w tobie zaufanie.

- Ależ, oczywiście.

- Marge - ciągnę dalej. - Jesteście małżeństwem jak długo... prawie dziesięć lat, zgadza się?

Przytaknięcie głową.

- Gdybyś została z nim i nadal znosiła upokorzenia, postąpiłabyś nieroztropnie.

- Pewnie tak, ale to wcale nie jest taka prosta sprawa. Obawiam, że mogłabym rzucić go z niewłaściwego powodu. Tym słowom towarzyszy rumieniec.

- Rozumiem.

Naprawdę to rozumiem: Marge jest bliska wyznania, ja zaś udaję zakłopotanie.

- Ja... mmm. - Chrząkam. Odkasłuję.

- Czy mogę zapytać, czy masz kogoś innego?

Pochyliła głowę tak, że tym razem skinienie jest niemal niezauważalne.

- Czy z tym mężczyzną łączą cię silne uczucia?

- Tak.

- Miłości nie trzeba się wstydzić, Marge. Nie w twoim przypadku, nie ty, w której domu nie było miłości. Tobie należy się każda miłość, jaką zdołasz ocalić, musisz poddać się nakazom serca.

Inaczej zaplanowałem długo odkładane uwiedzenie, ale w ogniu mych własnych słów przysuwam się bliżej niej, nasze uda niemal dotykają się i przychylam się ku niej.

- Marge - mówię. - Wiem, ja wiem.

Próbuje ściągnąć twarz, ale mięknie. - Nie mogę - mówi. - Nie jestem pewna.

Jednak jej usta rozchylają się dla mnie. Rozpinam guzik, a ona pręży się w łuk pod mym dotykiem. Cał po cał, sukienka rozchodzi się, a me dłonie cieszą się ciężarem jej piersi. Szepczę, wyjawiając jej me od dawna skrywane pożądanie. Zsuwam jej z ramion ramiączko halki, twarz zanurzam w miękkość. Czuję, jak bardzo jest spięta.

- Nie! - Odpycha mą głowę. - Proszę, nie!

- Nie bój się - mówię do niej i chowam się w nią.

- Nie!

Ciągnie mnie za włosy, uderza pięścią w ramię, a ja zdaję sobie sprawę, że doszliśmy do punktu, który Serem przepowiedziała w swej mądrości. Teraz następuje próba przeświadczenia, realizacja zamiaru działania. Odrywam ostatnie guziki, a Marge krzyczy, próbując dosięgnąć mnie swymi paznokciami. Odrzucam jej dłonie na bok i ciągnę ją z sofy w stronę sypialni.

- No dalej! - mówię, dysząc bez tchu. - Krzycz. I tak nikt nie usłyszy. Dostaniesz to, po coś przyszła, wiedźmo! Zdumiewa mnie ten epitet oraz jad w moim głosie. Trudno mi uwierzyć, że to ja sam tak powiedziałem. Odsuwam tę kwestię od siebie i zwracam się do niej dalece łagodniej.

- Będzie cudownie, Marge. Zobaczysz. Po dzisiejszym wieczorze nie będzie żadnych żalów, żadnego wzajemnego obwiniania się.

W tym czasie przywiązuję jej nadgarstki i nogi do wsporników łóżka czterema kawałkami sznura. Dziwne... wcale nie pamiętam, bym je przycinał. No, cóż. Widocznie przewidziałem determinację, z jaką wyraża swój opór. „Wiedźma”, to jak sędzę najwłaściwsze określenie. Chociaż znałem ją na co dzień pokorną i delikatną, miłą oku moralności, to jednak widywałem to jej skryte wcielenie, które teraz stoi przede mną: lubieżna postać w ubraniu w nieładzie, ledwo zakrywające jej nagość z włosami rozwianymi przez wiatr, którego nie czuje nikt poza nią. Postać ta patrzy przed siebie - podczas gdy Marge wpatruje się we mnie w tej samej chwili - ze zgrozą i niepokojem, i już wiadomo, że na imię ma Kobieta, krucha i

cudowna, żądająca wskazówek. Kiedy jednak spenetrować w głąb to spojrzenie strachu, widać inne oko, błękitne i spokojne, oceniające w sposób wyważony, i wiadomo wtedy, że temu wewnętrznemu bytowi na imię Rozum. Jest wiele imion, a żadne nie wyraża całości, bowiem tworzą je cechy wewnętrzne istoty, z oczyma jak słońca, która znajduje się w kręgu wzroku Zła, wyjawiając mu uroki życia, przy pomocy których chce sprawować rządy nad wszystkimi ludźmi, to ta właśnie istota jest Wielkim Kłamstwem, wcieleniem otumanienia i reguł skorumpowania, a jej imię ludzie wymawiają z tęsknotą i lękiem, nie będąc świadomymi jej osłabiającego działania, a na imię jej Miłość...

Czuję lekkie zawroty głowy i uciskam nasadę nosa, próbując opanować je. Ton mych myśli niepokoi mnie, przypisuję je krańcowej naturze mych działań i konfliktowi pomiędzy ich niezbędnością a umartwianiem się wpojonym mi w seminarium; nie może tu zaskakiwać fakt, że gestem nieco zdezorientowany. Spoglądam w dół na Marge. Spowita w resztki ubrania, uniesiona na łóżku, przedstawia piękny widok. Rozbierając się, rozmawiam z nią... Właściwie nie, robię burkliwe i mrukliwe uwagi, które więcej mają wspólnego ze zwierzęcymi obietnicami niż normalną mową. Następnie, klęcząc między jej nogami, stwierdzam, że bez względu na jej protesty, bardzo już ograniczone, ta wiedźma jest gotowa na skonsumowanie.

Po spełnieniu siadam przy biurku nago, z piórem w dłoni oraz kartką papieru przed sobą i nie zważając na prośby Marge, zaczynam tworzyć kazanie na jutro. Nigdy dotąd nie czułem się tak uskrzydłony, tak wypełniony potencjałem grzmiących słów.

- Ja nic nie powiem - mówi Marge. - Nikomu nie powiem. Tylko wypuść mnie.

W półświatle blado połyskują jej piersi, dostarczając mi dalszej inspiracji. Wybieram tekst i przystępuję do krótkiego wstępu.

- Przysięgam - mówi Marge i wpada w szloch. Zdesperowany, wzdycham ciężko i odkładam pióro. Na jakiś czas zmuszony jestem odłożyć obowiązki duchowne na rzecz obowiązków kochanka; muszę dokończyć pouczenia dla Marge, wprowadzić ją całą do królestwa zmysłów, rozplątać ten ciemny węzeł w jej piersi, który dopiero zdołałem nieco poluznić.

- Kochanie - mówię do niej, ponownie wchodząc w nią. - To także przeminie.

Mimo iż wykręca głowę na boki, okazuje niechęć, to jednak wydaje krzyk satysfakcji, a nie bólu. Nie jest w stanie oszukać mnie. W tych sprawach jestem specjalistą.

Na przemian oddaję się kochaniu i pisaniu kazania. Pojmuję to tak, że oba te cele są ze sobą powiązane, a zatem na przemian jeden dodaje mi nowych sił i zapału dla drugiego. Marge próbuje wszelkimi sposobami zanęcać swe odczucia, by skłonić mnie do wypuszczenia jej. Przez pewien czas udaje, że jej satysfakcja jest tylko pozorna, sądząc, że skusi mnie tym do rozwiązania jej, nie wiedząc, że ja odczuwam w pełni jej prawdziwą ekstazę, jej absolutne zaangażowanie, jej zachwyty z nałożonych więzów. Pozwalam jej przekonać się, że wcale nie mam zamiaru tylko opowiadać jej o pewnej liczbie egzotycznych praktyk, które opanowałem w burdelu w Corn River, a które są Marge całkowicie obce, ale i przeciwiczyć jej. A jednak Marge szybko przyswaja je sobie i wycisza się jeszcze bardziej, kontemplując nowo doświadczane odczucia. W tej ciszy ciemna budowla jej sekretnego grzechu zaczyna tracić kształt i emanuje z jej ciała i ducha. Do rana staje się ona niczym innym jak jego ucieleśnieniem, a gdybym miał jeszcze godzinę zanim zacznie się nabożeństwo, byłbym w stanie zakończyć dzieło, które rozpocząłem. Na pewno i ona, i dzieło poczeka. Sprawdzam więzy, całuję ją w czoło, spoglądam w jej wpatrzony we mnie oczy, szeroko otwarte, badawcze wobec konieczności rozwikłania najgłębszej tajemnicy jej wnętrza. Są, jak mi się wydaje, trochę nieobecne. Cera ma właściwy kolor, wyjdzie z tego. Tak, ta wiedźma będzie błogosławić me imię w podzięce za tę noc wyzwolenia.

O godzinie jedenastej, odświeżony prysznicem, rzeński, w świeżo wykrochmalonej sutannie, stoję za mahoniowym dziobem gryfa, wpatrując się w zgromadzonych wiernych, wsłuchując się w grzmoty, przyglądając, jak przebijające się przez deszcz światło przenika fragmenty witraży, rzucając na wszystko szary mrok. Moje stado wydaje się podenerwowane, bez wątpienia jest to rezultat długiego namysłu nad słowami, które mam za chwilę wypowiedzieć. Jednakże już wkrótce wszyscy oni będą odprężeni jak nigdy dotąd i uwolnieni z

wieżów, które panowały nad ich przebiegłymi żądzami. Uśmiecham się, skłaniam głowę, a oni patrzą po sobie nerwowo. Być może, że - podobnie jak ja - przeczuwają pewną bliskość niepomiernej groźby. Wreszcie kładę dłonie na głowie gryfa i rozpoczynam.

- Pierwsze czytanie na dzisiaj - mówię - pochodzi z tekstów francuskiego poety i dramatopisarza, Antonim Artauda.

Powoduje to ogólne poruszenie. Nie dlatego, by w Fallon znano Artauda i jego kabalistyczne wierzenia, lecz dlatego, że wbrew ich oczekiwaniom zachwiany zostaje zwykły przebieg kazania.

- Czyń zło - pisze Artaud. - Czyń zło i popelniaj wiele grzechów. Ale nie czyń zła przeciwko mnie.

Nie zostawiam ani sekundy na jakąkolwiek reakcję, niezwłocznie przechodząc do zasadniczej treści kazania.

- To bezpośrednie pouczenie mogłoby wydać się stwierdzeniem sprzecznym ze Złotą Zasadą, a faktycznie fiest ono zgodne z samą istotą tej zasady, nadaje jej nowe treści, prawdy odpowiadającej naszym czasom. Bowiem wszyscy jesteśmy złem, czyż nie jest tak? Każdemu zasobowi dobra w nas przeciwstawia się zasób zła, a połączone wzajemnie obie te siły splatają się i zalegają w nas, aż do decydującego momentu, w którym ostatecznie przewagę zyskuje jedna z nich, i tylko ta jedna. Możemy siłą przyzwyczajenia skłaniać się ku dobrym uczynom, żyć w miłości, grzeszyć znikomo, a jednak przede wszystkim do takiego postępowania skłania nas nie wszechobecne promieniowanie dobra, lecz raczej strach przed uleganiem złu, przed czynieniem zła i poddaniem się mu. Nauczano nas, że aby zapanować nad złem, trzeba je pokonać. Wcale tak nie jest. Pokonywanie zła wykoślawia nas. Stajemy się naczyniami, wypełnionymi stłamszonymi żądzami i potrzebami, które w ciemności rozrastają się i ukorzeniają w mutujących formach.

Powszechne poruszenie. Kobiety szepczą między sobą; mężczyźni siedzą wytrąceni z równowagi, nie przejawiając chęci przeciwstawienia się sytuacji twarzą w twarz; dziecko radośnie śmieje się.

- W tym miejscu - ciągnę dalej - przytoczyć chcę cytaty z maga Aleistera Crowleya: „Róbcie, co tylko chcecie, bo takie fiest prawo”.

Poruszenie nasila się, ale w ogóle nie zwracam na to uwagi.

- Crowley nie nakłaniał nas do gwałcenia i mordowania, do niezgodnych z porządkiem natury czynów. Chodziło mu raczej o to, by zachęcić nas do wyzwolenia tego, co w nas złe, abyśmy dali upust grzechowi, zanim rozrośnie się on i stanie potężny i złowrogi. I Artaud: „...nie czynź zła przeciwko mnie”. Wyraża to przekonanie, że tak wyswobodzone zło rzadko angażuje swą ofiarę w zbrodnię, a raczej wyraża się w łagodnych postaciach, jak lubieżność. Kiedy już nastąpi ich uzewnętrznienie, wtedy nasze dobre uczynki - gdy je podejmiemy - stają się wytworami prawdziwie uświęcającego celu, a nie strachu.

Słowo „lubieżność” mogło być jak igła wbita w kościsty zadek każdej ze starszych kobiet w kościele, bowiem wszystkie one siedzą sztywno wyprostowane, z napiętą uwagą, jednakowo nieugięte. Moje palce zaciskają się na czaszce gryfa, a ja czuję przepływ energii z czarnego drewna. Zwierzęta z witraży drgają w swych prostokątnych trumnach. Właściwy moment jest już blisko. Wychyłam się do przodu, ton mego głosu łagodnieje.

- My, parafianie od Świętej Maryi jesteście błogosławieni. - Potakuję głową, nasycając ten gest tragiczną dawką roztropności. - Tak bardzo błogosławieni. Bowiem nasze grzechy, choć liczne i zróżnicowane, znajdują dla siebie dopełnienie w nas. A zatem nie musimy narażać się na ich wyjawienie w świecie zewnętrznym; nie musimy narażać się na pogardę, aby wyrazić własne pragnienia. Nie potrzebujemy nic ponad to, co zawsze czyniliśmy, a więc - zawierzyć współbraciom. Tutaj pośród przyjaciół i sąsiadów możemy ujawnić swe sekrety... i nie tylko odsłonić je, lecz także powiązać je z sekretami, które są odpowiednikami naszych sekretów. Tutaj możemy wszyscy dzielić radość i satysfakcję, będąc uwolnionymi od oczu na przespiegach oraz osądów moralnych, a czyniąc tak - odnajdziemy nowe treści w Bogu.

Na ich twarze wkrada się oburzenie i wściekłość, lecz mnie to nie zraża. Prawda wyzwoli ich.

- Znam wasze grzechy - kontynuuję. - Znam je tak dobrze, jak tylko wy sami możecie je znać. Tutaj, w tym miejscu nie ma żadnego powodu do wstydu. Tutaj możecie wszystko wyznać i otwarcie zająć

się tymi zabronionymi rozrywkami, o których latami marzyliście. Przyłączcie się do mnie w akcie wyzwolenia, usuńcie z siebie całe zło. Poznajcie smak, dotyk, woń i materię wolności.

Robię krótką przerwę, aby zdołali wchłonąć cały sens mych słów i mogli przygotować się do tego, co nastąpi.

- Wybrałem ten dzień, żeby przedstawić was nawzajem, jednego zapoznać z drugim, grzech - z odpowiadającym mu grzechem, żądę - z żądzą. Dzisiejszego ranka zapoczątkujemy naszą przygodę czystości i przyczynimy się do rozkwitu związków Boga w uniesieniu radosnej wspólnoty.

Obdarzam wszystkich zgromadzonych miłującym spojrzeniem; ich poirytowanie i niepokój skłaniają mnie do skrócenia preambuły. Nie pozwolę, by dłużej cierpieli z powodu uwięzionej w nich radości życia.

- Milesie Elbe - mówię - przedstawiam ci Corę Eubanks. - Uległość spotyka się z dominacją. - Ciężkie oddechy z tylnego rzędu, w którym siedzi z mężem piękna, pulchna Cora.

- Nie ma powodu do alarmu, Coro - wołam. - Nie ma już powodu chować w szafie czarnych pejczy i kolczastych ostróg, bowiem w Milesie masz osobę, która wyda dla ciebie te kilka kropli krwi i będzie się czołgać, ażeby ucałować spleciony w warkocz koniec twego bicia.

Miles zrywa się na równe nogi, bełkocąc coś w podnieceniu, a osłupiałe, blade twarze pozostałych zgromadzonych skierowane są na mnie.

- Emily Prideau - wołam. - Przedstawiam ci Billy Taggarta, Joey Grimesa oraz Teda Duninga. W ich marzeniach, jak w twoich, także przypada trzech na jedną, jak ucieleśnienie Świętej Trójcy.

Emily kryje głowę w ramionach swej matki, a chłopcy wymuszenie uśmiechają się i trącają łokciami.

- Carlton Dedaux - przekrzykuję narastające szemranie. - Przedstawiam ci małego Jimmy'ego Newly. Popatrzcie sobie w oczy, a zobaczycie w nich obraz waszych pokrewnych żąd.

Wszyscy stoją, wymachują pięściami, wymyślają mi, a ja kontynuuję prezentację. Głos mi się załamuje i drży. Czyż mogłem się pomylić? Na to wygląda. Jak to się stało, że niewłaściwie oceniłem ich usposobienie, ich gotowość na nowe?

Miles Elbee kroczy w stronę ambony.

- Ty skurczybyku! - wykrzykuje. - Zawiadomię o tym biskupa!
Ja...

Przeszywa mnie wściekłość, wychylam się z ambony w dół ku niemu.

- Zawiadam, no już - mówię. - Biskup nosi bieliznę tej samej firmy, co twoja, tylko obszycie z koronki ma trochę bardziej prowokujące.

Miles ogląda się w pasie, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście coś widać, a potem przeklinając mnie, wycofuje się. Innych mężczyzn, wśród nich ojca Emily, powstrzymują przed atakiem na mnie ich sąsiedzi, kobiety zaś opuszczają kościół. Dzieci cieszą się i bawią w berka wokół kościelnej chrzcielnicy. Cała koncepcja rozwoju duchowego jest w rozsypce, a rewolucja, którą zamierzyłem, została obalona, zanim zdążyła się na dobre zacząć.

Gromadzą się przy głównych drzwiach, rzucając na mnie pożegnalne spojrzenia, zaś w chwili, gdy wychodzi ostatni z parafian, miejsce wściekłości zajmuje poczucie beznadziejności. Od kamienia rozpryskuje się okno ze starym niedźwiedziem, raz na zawsze niwecząc wszelkie jego poszukiwania miodopłynnej filozofii. Ktoś przyzywa mnie, oskarżając o zło, jak gdyby zło było tym, czemu nie chciałem się przeciwstawić. Nie usłyszeli jednego słowa z tego, co mówiłem.

Schodzę z ambony, idę wzdłuż kościoła i opadam na ławkę pod lwem, który zdaje się teraz wyrażać dezaprobatę lub co najmniej - surowy osąd. Nie myli się, mając o mnie złe wyobrażenie. Nie dość, że nie powiódł się mój zamiar, to jeszcze straciłem synekurę. Próbuję dociec, co mnie czeka. Czy przyjdzie mi powiększyć rzeszę bezrobotnych i błąkać się po ulicach z torbą, w której znajdzie się wszystko, co posiadam? Ależ nie, będzie jeszcze gorzej. Muszę przecież mieć na uwadze Marge. Wątpię, czy zechce mi wybaczyć,

mając na uwadze porażkę wobec całej parafii. Być może, szpital dla umysłowo chorych. Wolałbym raczej więzienie niż całą złożoność kaftanów bezpieczeństwa, torazyny i wstrząsów elektrycznych.

Na zewnątrz kościoła ściemnia się szare światło, a oczy lwa stają się kuliste i ołowiowe. Grzmot i zapach ozonu w chwili, gdy błyskawica przecina niebo z rozdzierającym uszy łomotem, wyrrywają mnie z posępnej zadumy, uczulając na zmianę atmosfery tego, co wydaje się samą fakturą rzeczywistości. Z pyska gryfa dobywa się para, ściany drżą, a wszystkie zwierzęta z witraży, oprócz lwa, poruszają się w oknach. Zdumiony, zrywam się na równe nogi. Tego właśnie oczekiwałem w kulminacyjnym punkcie mego kazania, gdy łączyłem me stado w pary. Jak się to mogło stać... zawiodłem, czyż nie tak? Wkrótce świta mi w głowie wyjaśnienie. Widzę je teraz w całej precyzji. Moje kazanie nie było zasadniczym zdarzeniem, które wywołało tę przemianę, a jedynie iskrą, która wznieciła prawdziwy ogień. Rozumiem także, że wcale nie zawiodłem. O, tak, me stado publicznie wyprze się tego, co wyjawilem, będzie mi ubliżać. Jednakże, gdy już skandal wygaśnie, popatrzą jeden na drugiego, przywołają mą listę grzechów i ich odpowiedników i z początku skrycie, a później bardziej otwarcie, zaczną się wzajemnie poszukiwać, by spełnić cele oraz intencje, które im uświadomiłem. Zanim jednak to nastąpi, musi palić się rozniecony ogień - co z nim? Wywołuje to we mnie przerażenie, które ścina mnie z nóg i z powrotem siadam na ławce. Może mam niepotrzebne i przedwczesne obawy, może nic się nie stanie, może gryf wcale nie wykrzywia się, skracając swą głowę w piórach z hebanu i może... Jakiś odgłos spod chóru, biała postać przenikająca cienie.

- Marge!

Naga, ze strzępami sznura zwieszającymi się z nadgarstków i czymś połyskującym w dłoni.

Gdy dostrzega mnie, zastyga, po czym rusza do przodu, początkowo niepewnie, ale z każdym kolejnym krokiem coraz bardziej pewna siebie. Jej oczy są czarne, białek nie można dostrzec, a gdy schodzi z ołtarza do nawy kościoła, wysoko unosi w górę błyszczący nóż.

Przez chwilę ogarnia mnie obawa, wstaję, by podbiec do niej i odebrać nóż. Jednak po chwili pojmuję i pryskają obawy. Oczywiście, oczywiście! Wszystko staje się dla mnie jasne. Przy narodzinach każdej nowej religii konieczna jest ofiara. Było z mej strony niedorzecznością, że nie brałem tego od razu pod uwagę, ale teraz gdy ma się przesądzić mój los, jestem radosny, ponieważ i ja zrozumiałem, że śmierć będzie dla mnie wyzwoleniem. Że był to zawsze jedyny środek, przy pomocy którego usunąć można ciężar codzienności. Marge przemawia do mnie w jakimś pogańskim języku, jakiejś mowie zła, ślina cieknie jej z ust. Jest to dla mnie jak źródło, wraz z oczyma bez źrenic, które pozwala mi czerpać mądrości. Zbyt pospiesznie odbrazowałem mit Jeremy'ego oraz jego ofiar, krótkowzrocznie założyłem, że zjawiska nadprzyrodzone nie będą odgrywały żadnej roli w nieskończonej spójności zdarzeń i momentów zasadniczych dla stworzenia świętości. Jest oczywistą prawdą, że każdy pyłek i cząstka z przeszłości muszą być reprezentowane w tym akcie zapłodnienia. Marge stanowi niepodważalny dowód opętania przez wiedźmy, zrodzonego przez uraz gwałtu. (Być może to właśnie był ten węzeł w niej, sam w sobie nierealny, lecz będący raczej gniazdem, które mógłby zasiedlić demon uwodzący ją we śnie). Gdy zaś przywołam na myśl moje jadowite uwiedzenie, widocznym się staje, że jestem znacznie bliżej powiązany z Jeremym niż wynikałoby to z samej tylko tradycji.

Marge zatrzymuje się przy mnie, nad głową trzyma drżący nóż, ma spocone ciężkie piersi, które uwalniają ciężki grzech, opuszczający ją - wszystko to sprawia, że jest piękna jak nigdy dotąd; fiest przedmiotem świadectwa, czystek zasady chaosu.

- Ach... ach - mówi - starając się znaleźć przetłumaczenie nakazów jej szatańskich obowiązków na słowa zrozumiałe dla mnie, nieświadoma tego, że teraz właśnie osiągnąłem pełne wtajemniczenie.

- Czyń, co ci jest nakazane - mówię, utkwivszy wzrok w lwie. Czemu odmawia on udzielenia mi błogosławieństwa swą potężną wiedzą? Wkrótce będzie już za późno.

Kolejne niespokojne spojrzenie Marge, odgłos prychnania, który wydaje się świadczyć o frustracji, o jakimś wewnętrznym zmaganiu.

- Żadnych wyrzutów sumienia - mówię do niej.

Nasze oczy spotykają się, nasza ciemność splata się razem, a ja odwracam się, zaabsorbowany przemyśliwaniem mego uwolnienia, nie zamierzając jednak być świadkiem ruchu narzędzia wyzwolenia po łuku w dół. Mija kilka sekund, a ja zaczynam obawiać się, że powstrzymuje ją jakaś ludzka słabość.

- Pośpiesz się, Marge - mówię do niej.

- Ty... uch... - odpowiada, a jej dłoń szuka mego ramienia. Potrzeba jej zachęty, musi dowiedzieć się, że ja tego pragnę, że pojmuję wymogi boskiego rozwiązania.

- Marge - mówię - nigdy nie wydawałaś mi się tak godna pożądanego jak teraz. Naprawdę szczerze kocham cię.

Z jej ust wydobywa się okrzyk, ja zaś czuję stanowczość jej decyzji na moment przed tym, zanim nóż zanurza się we mnie. Ból jest ostry, szok wszechobecny. Jednak jest w tym bólu słodczy - w sile, którą wydobywa, w dogłębnej pewności, którą wyzwala z zakamarków mego jestestwa. Nie pozwalałam sobie na to, by upaść, chcę czuć smak każdej sekundy zanim odejdę, chcę poznać wszystko, co pozostało do poznania. Gryf przeciągle ryczy, a ja czuję wilgoć na piersi. Prawda jest wszechobecna, kościół jest czarny od Boga. Stwierdzam, że wcale nie umieram. Będę trwał nadal w jednym ze składników tej ciemnej mocy. Jak Jeremy, będę znowu cieniem cienia, wskazaniem na spektakularną możliwość. Marge zadaje następny cios, wilgoć pochłania mnie. Moje serce - chociaż przebite - raduje się, dusza moja zaznaje spokoju. A gdy przewracam się na ławkę, patrząc w stronę okna połyskującego boskim światłem, lew z witraża - mój odwieczny faworyt - podnosi łeb i wydaje ryk.